

Wielmożnemu Panu
Adolfowi Černemu
Redaktorowi Slovanského Přehledu
oddany
K. Ostaszewski-Barański

Z MORAWSKIEJ ZIEMI

K. OSTASZEWSKI-BARAŃSKI.

Z MORAWSKIEJ ZIEMI

(NOTATKI.)



LWÓW
NAKŁADEM DRUKARNI M. SCHMITTA I SPÓŁKI
pod zarz. J. G. Piotrowskiego
1908

PREZESOWI TOW. DZIENNIKARZY POLSKICH

ADAMOWI KRECHOWIECKIEMU

W ROKU JUBILEUSZOWYM ĆWIERĆWIEKOWEJ
PRACY REDAKTORSKIEJ

Z WYRAZAMI CZCI SKŁADA
TĘ SKROMNĄ DAŃ

AUTOR

WIELCE SZANOWNY PANIE!

Mam zaszczyt przesłać Panu moją najnowszą pracę, owoc Zjazdu Dziennikarzy Słowiańskich w Hradyszczu, w r. 1906.

Gdyby WPan dał jaką wzmiankę o niej w Szan. piśmie, proszę o łaskawe przysłanie takowej w jednym egzemplarzu.

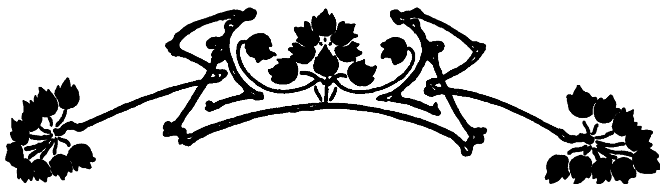
Z prawdziwym szacunkiem
i pozdrowieniem koleżeńskiem

Dr Stanisł. Banasz.

Lwów, ul. Chorążczyzna 17.

TREŚĆ





I.

„Lašsko“.

Wstęp; ziemia kravarska; z dziejów wielkiego rodu; napływ niemiecki; twierdza przemysłu; Przybor i Hukwald; romantyczna ruina; podanie o napadzie Mongołów; Nowy Iczyn; baśń o jego powstaniu; kiedy pasterz żenił się z królewną... Skąd pochodzi nazwa rodu Kravar?; Hodosławice, miejsce urodzenia Fr. Palacky'ego; ziemia „lašska“ czyli lacka; właściwości narzecza; próby piosnek; „polsky prizwuk.“

„Za mało jest stosunków pomiędzy Polakami a Czechami, jak na tak blizkie sąsiedztwo narodu czeskiego z obecnem ogniskiem naszego życia kulturalnego i politycznego, z Krakowem. W cztery godziny jazdy z pod Wawelu stajemy na ziemi czeskiej; przejeżdżamy granicę śląską i jesteśmy na Morawach. Taka blizkość musiałaby wytworzyć wielkie ożywienie wzajemnych stosunków, jak tego pragną obie strony, gdyby tylko sprawa była należycie zorganizowana. Organizację poznaje się po szczegółach, a mianowicie po celowem ich urządzeniu i wyzyskaniu. Otóż w stosunkach polsko-czeskich uderza ten szczegół, że pobliże Moraw nie jest wyzyskane w Krakowie, ani też na Morawach pobliże Krakowa. Świadczy to o tem, że stosunki dwóch narodów, są zorganizowane

nieroztropnie, a przez to też ich wydatność polityczna jest — jak to wszyscy musimy uznać — wcale nieznaczna."

Zdanie to wielce zasłużonego redaktora *Świata słow.* p. Konecznego, wypowiedziane w zajmującej, a pełnej głębokiej myśli rozprawie p. t.: *„Polityczne znaczenie Moraw,"* niech usprawiedliwi wydanie dorywczych notatek turysty, o życiu i dziejach sąsiedniej krainy. Sądzę, że dając swym współziomkom bezpretensjonalny obrazek kraju i ludzi, przeszłości i teraźniejszości, zwracając uwagę na drogi, jakiemi kroczyło i kroczy odrodzenie tej odwiecznie słowiańskiej, a w ciągu wieków tak bardzo zgermanizowanej ziemi, zachęcę ich do bliższego poznania sąsiadów, a tem samem dorzucę może cegiełkę do gmachu trwałej organizacji, o której mowa powyżej.

Stosunki polsko-czeskie ułożą się niezawodnie lepiej, skoro powiemy sobie, że będziemy je organizowali przez geograficznie nam bliższą ziemię morawską. Związek Krakowa z Pragą, — jak w powołanej rozprawie słusznie zauważył p. Koneczny — musi mieć z konieczności cechę ideologiczną, podczas gdy stosunek z Bernem i Ołomuńcem możnaby oprzeć na bardzo konkretnych łącznikach. Morawy w pierwszym rzędzie powołane są do tego, żeby wytworzyć podstawę przyjaźni polsko-czeskiej i położyć trwałe podwaliny do „oczekującej nas w przyszłości wielkiej wspólnej akcji politycznej..."

Tymczasem, właśnie ziemia morawska, jej lud, życie, przeszłość i obecne stosunki, są ogółowi naszemu bardzo mało znane; dziesiątki tysięcy Polaków rok rocznie przejeżdżają przez Morawy, dążąc do naddunajskiej stolicy, lub dalej — a iluż zatrzymało się w kraju, niegdyś tak nam blizkim, a zawsze bratnim? Kto zboczył z drogi, ażeby oglądnąć stary Ołomuniec z jego katedrą i książęco-arcybiskupim dworem, kto umyślnie skręcił ku Bernu, ażeby podumać w kazamatach Grajgóry, przepełnionych łzami naszych najzacniejszych rodaków, kto zwiedził owe przedziwne groty

w okolicy stolicy Moraw, które nie ustępują najświetniejszym pałacom stalaktytowym?... Zaiste niewielu takich wśród nas! Ci nawet, którzy przejeżdżają kilka razy do roku przez Morawy, nie korzystają z możności poznania choćby bliższych ich drodze miejscowości, jak Kromierzyża, pamiętnego sejmem 1849 roku, błogosławionego kraju Hany, którego lud tak pięknie zachował swe stroje, starożytnego Welehradu, obok węgierskiego Hradyszcza, gdzie w czasie świąt gromadzą się tysiące Słowaków w malowniczych kostjumach, a choćby tylko Lednic obok Brzecławia, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszych i największych w Europie parków, własność panującego na Lichtensteinie księcia.

Ale prawda, napisałem „Lednice obok Brzecławia" — niewątpliwie zapyta się większość czytelników: a gdzież to? Więc dodaję, że Brzecław, to stara słowiańska nazwa dzisiejszego *Lundenburga,* a Lednice przeinaczono dziś na *Eisgrub!*

Zmieniono nazwy — ale lud i jego duch po dziś dzień żyje i zadaje kłam nadziejom germanizatorów...

Otóż po tej bratniej ziemi, a raczej po wschodniej jej połowie, zamierzam oprowadzić czytelnika i opowiedzieć mu, co obaczyć warto, choćby z turystycznego tylko punktu widzenia. Są tam bowiem prześliczne okolice, które każdy lubownik z zadowoleniem oglądnie; są zabytki, które sięgają dalej wstecz, aniżeli dzieje i tradycja; jest lud pełen świadomości narodowej i patrjotyzmu; są wspaniałe, dźwignięte ofiarnością ogółu instytucje, które stały się twierdzami narodowego ducha i zwycięzko odpierają fale zaborczego germanizmu, słowem — nie brak ciekawych rzeczy i spraw!

. . . .

U wstępu na ziemię Maraboda, Samona i Świętopełka, wita nas potężne ognisko przemysłu morawskiego: M o r a w s k a   O s t r a w a, słynąca kopalniami węgla. Wjeżdżamy na ziemię „kravarską" bogatą nietylko w skarby mineralne, ale słynącą też owocami

i hodowlą bydła, które niczem nie ustępuje najlepszym rasom. Zdaje się, że dzięki tej ostatniej okoliczności, poczciwi Niemiaszkowie, którzy nie znając nazw, nie wiele o historyczne pochodzenie ich się troszczyli, przezwali kraj *„Kuhlaendchen"* — coś niby „krowiarnią!" Tymczasem ostry ów klin, zamknięty z jednej strony Odrą, z drugiej dopływem jej Ostrawicą, rozdzielający Śląsk na stronę cieszyńską i opawską, wywodzi swą nazwę od starego a możnego rodu morawskiego, który tu niegdyś władał: panów z *Kravar*. Był to ród wielki i dzielny, odrośl rodu Beneszow, który sam też rozpadł się na liczne gałęzie, a który podobnie jak potężne ongi rody panów z Hradca i Cymburka, wygasł już w piewszych latach XVI. wieku. Na kartach dziejów Moraw, znajdujemy z tego rodu wiele nazwisk: Benesz, który należał do gałęzi krumłowskiej, zakłada i uposaża klasztor w Fulneku, Piotr, z linji plumlowskiej, czyni toż samo w Prościejowie, Lacek z głównej linji, piastuje w XV. w. godność biskupa ołomunieckiego, Piotr z linji strażnickiej, piastuje na początku XV. najwyższą godność hetmana ziemi morawskiej; oświadczywszy się jednak za Taborytami, zostaje tej godności pozbawiony na rzecz swego bratanka, Henryka z linji plumlowskiej, wiernego sojusznika Zygmunta Luksemburskiego. Henryk ginie pod murami Wyszehradu w walce z Prażanami (1420), a Piotr, który wraz z panami z Kunstatu i Łomnicy długo podtrzymywał ducha oporu przeciw Niemcom, ostatecznie musiał się także ukorzyć. Gdy umarł, pozbawiono jego syna Wacława dóbr dziedzicznych wyrokiem cesarskim; Wacław staje wówczas pod sztandarem Zygmunta Korybutowicza i wraz z nim i Prokopem W. bije wojska niemieckie pod Uściem nad Łabą. Był on ostatnim z głównej linji panów z Kravar; poboczne zaś zubożały i niebawem wymarły.

Tak to szli Niemcy w swem odwiecznem *„Drang nach Osten..."* I tu widzimy ślady ich „kulturalnej" działalności. W zniemczonych nazwach trudno nieraz

poznać słowiańskie pierwiastkowe miano, na tej rdzennie słowiańskiej ziemi! Oto kilka przykładów: Sybotendorf — to Zirotice, Jastendorf — dawny Jestrab, Zauchtel — Suchodol, Kattendorf — Katerince, Wirben — Vrbno, Kötnitz — Skotnice, Eilowitz — Iilovce, Stauding — Studenka, a Stolmütz — to odwieczny Tlustomost. I tak dalej, i tak dalej w całem „Kuhlaendchen“ i w znacznej części Moraw!

Ostrawa leży na samym niemal szczycie klinu, wbijającego się w Śląsk, nad rzeką Ostrawicą, która na północ od miasta oddaje swe wody Odrze. Formacja zagłębia ostrawskiego przedstawia kształt elipsy, kilka mil długiej i szerokiej; w rejonie ostrawskim jest 370 warstw, z których tylko 117 daje się wykorzystać. Na całym terenie węglowym, szczególnie jednak w najbliższej okolicy Ostrawicy, wydobywa się z szczelin ziemnych t. zw. „modrak“ (niedokwas węgla), przyczyna częstych nieszczęść i katastrof. Węgiel ostrawski jest pierwszorzędnej jakości, daje podobno 60—70% koksu, a tylko 3·5 do 14% popiołu, stosownie do urządzeń paleniska. Obfite pokłady, które na stulecia całe kryją w sobie cenne skarby, sąsiadują z wielkiemi fabrykami i hutami żelaznemi w Witkowicach. Osada ta oddalona o pół mili od Ostrawy, jest formalnym warsztatem cyklopów; zakład olbrzymi, prowadzony na wielką skalę, nie bez słuszności bywa nazywany: „morawskim Seraing“, choć porównania ze światowym zakładem belgijskim ani co do rozmiarów, ani co do ilości robotników, a tem mniej co do rozmaitości wyrobów nie wytrzymuje. Morawska Ostrawa i Witwice — to środowisko wielkiego przemysłu. Setki kominów dymią tu dzień i noc, przysłaniając całą okolicę ponurą, ciemną chmurą; w nocy zwłaszcza widok ogni dobywających się z olbrzymich rur kominowych sprawia fantastyczne wrażenie. W Witkowicach są największe huty żelazne w monarchji, a założył je w r. 1828 arcybiskup ołomuniecki arcyks. Rudolf,

brat casarza Franciszka; — dziś należą one do Rotszyldów. Są tam olbrzymie piece, walcownie, lejarnie, kuźnie, w których wyrabiają się najrozmaitsze lokomotywy, wagony, szyny, konstrukcje żelazne, płyty pancerne, kotły parowe i t. d. Elipsa węglowa zagłębia ostrawskiego zajmuje powierzchnię 200 klm^2. Widzimy tam szacht przy szachcie: w roku 1906 było ich 42, z tych najgłębszy miał 700 metrów. W całym okręgu pracuje około 40.000 robotników, którzy wydobywają rocznie prawie 60 miljonów metr. cent. węgla. Miasta: Morawska Ostrawa, Polska Ostrawa (połączona z pierwszą mostem przez Ostrawicę), Witkowice, Przewóz, Hruszów, Marjańskie Góry i Małe Kuńczyce, są właściwie jednem wielkiem miastem, liczącem do 100.000 mieszkańców, tak blizko ze sobą sąsiadują. Jest to ogromne mrowisko ludzi, którzy ciężko na kawał chleba pracują.

Dolina Odry, którą przebiega nasz pociąg na przestrzeni prawie 100 klm. aż do Jasnika, przedstawia się powabnie zwłaszcza w początkach wiosny, gdy pierwsza zieleń pokryje olbrzymie łąki i pastwiska, które się rozłożyły po obu brzegach rzeki; nie brak też tu starannie utrzymanych kwiecistych sadów, które czasem robią wrażenie małych gaików. Wszelkie rodzaje owoców znajdziesz w nich i to w najszlachetniejszych gatunkach. Lud czeski mówi tu inaczej niż w Koronie, znać silny wpływ Śląska i języka polskiego, niemiecka zaś ludność używa odrębnego narzecza, które różni się nawet zupełnie od narzecza najbliższych sąsiadów, zamieszkujących podgórze Sudetów. Lingwiści twierdzą, że w narzeczu tem przechowały się pierwiastki języka Gotów i Anglosasów. Jest też to kraj baśni, które ożywiają wspomnieniem dalekiej przeszłości każdą miejscowość, każdy zabytek dawnych lat, których niemało w dorzeczu Odry.

W sercu krainy Kravarskiej, w trójkącie utworzonym przez Odrę, Ostrawicę i Beczwę, leży miasto Přibor (Freiberg), które już w XIII. stuleciu było

miastem biskupiem, odznaczającem się zawsze przywiązaniem do Kościoła katolickiego. Niedaleko od miasta, na potężnem wzgórzu widnieją okazałe rozmiarami ruiny H u k w a l d u, zamku, który około roku 1234 należał do rycerza Arnolda, piszącego się z Hukheswage, a w trzydzieści lat później przeszedł na własność biskupów ołomunieckich, stał się jedną z głównych siedzib zarządu dóbr i po dziś dzień, wraz z okoliczną ziemią do księcia-arcybiskupa ołomunieckiego należy. Na podłóżnej górze, wznoszącej się dosyć stromo wśród dużej doliny, odgrodzonej jarami od Babiej góry i Kaźnicowej (góra skazańców) widnieją szczątki murów, baszt i budowli starego zamczyska. Niewiele podobnie pięknych widoków, jak panorama, odsłaniająca się z bastjonów tego upadłego grodu: od południa piętrzą się Karpaty, porosłe gęstym, ponurym lasem, ku północy pieści oko falista równina, upstrzona wioskami, rozsianemi łańcuchem aż ku granicy Śląska, której strażują od wieków siostrzane miasta fabryczne: Mistek morawski i Frydek śląski, podobnie jak na wschodzie Bielsko i Biała. Pięknie utrzymane aleje zwierzyńca, pełne cienia i majestatycznej ciszy, wiodą nas na szczyt góry, na której w początku XIII wieku stanął silny i warowny zamek. Przyłączony do dóbr biskupstwa za czasów słynnego w dziejach morawskich Brunona, został znacznie rozszerzony i umocniony, ale niestety, stał się równocześnie głównem centrem germanizacji całej okolicy.

Biskup ołomuniecki Bruno z rodu Holsztyńsko-Schaumburskiego, kanclerz króla Ottokara, położył niewątpliwie olbrzymie zasługi na polu osadnictwa kraju; dzielna ręka kolonistów cięła drogi w lasach i miejsca pod nowe osady, które grupowały się dokoła zamczyska, ale też z osadnikami wkradał się duch teutoński, od morowej gorszy zarazy... Burg trzymali lennem dawni jego panowie i założyciele, korzystając z rozwoju i bogactw okolicznych włości, aż do czasów Zygmunta Luksemburskiego, szwagra naszego

Jagiełły. Wojny husyckie nie tylko spustoszyły kraj, ale wywołały wielkie przesilenie ekonomiczne; skutkiem zubożenia kleru, zamek był kilkakrotnie dawany w zastaw i ciągle zmieniał panów, co mu na dobre nie wychodziło. Czas jakiś należał do słynnego rodu Boskowiców, o którym wspomnimy przy innej sposobności; dopiero w r. 1581 wykupił go biskup Stanisław Pawłowski, i od tego czasu pozostał już nieprzerwanie pod władztwem biskupów ołomunieckich. Niejedną przetrzymał on burzę, niejednego u swych bram widział wroga — zawsze jednak potrafił męstwem ocalić swą całość. W latach 1420—1430 złamała się o jego mury siła Taborytów, w dwa wieki później oblęgał go przez dziesięć miesięcy hr. Mansfeld, który wreszcie musiał uchodzić przed odsieczą cesarską. Nie lepiej udało się Szwedom (1645), później Madjarom i Turkom, a w końcu Prusakom w latach 1742—1758. Do roku 1760 mieściły się na zamku niektóre działy władzy djecezjalnej i lokale rekolekcyjne dla księży; w dwa lata później padł zamek ofiarą pożaru, który pochłonął także cenne archiwa, datujące się z końca XIII. w. Miasteczko Přibor dzieliło losy grodu; mieszkańcy jego znajdowali w zamku ochronę, a odwdzięczali się wierną służbą, za co domy ich raz po raz obracały się w perzynę. W XVII. wieku, gdy już zamek rozpadł się w gruzy, był Hukwald widownią buntu chłopskiego, dzięki agitatorom, którzy fałszywie przedstawili znaczenie komisji urbarjalnej, twierdząc, że cesarzowa Marja Teresa zniosła wszelkie powinności poddańcze, a tylko panowie umyślnie to zatajają. Rozdrażniona ludność podniosła otwarty bunt, który bronią trzeba było poskromić!

U stóp góry zamkowej wznosi się dziś pałacyk myśliwski, bardzo elegancko urządzony. Z ruin zamczyska wnosząc, był on jednym z największych i najobszerniejszych burgów na Morawach; bramę wchodową zdobią herby arcyks. Leopolda, biskupa ołomunieckiego w latach 1637—1662, brata Ferdynanda III.,

który godniej władał szablą niż pastorałem. W pierwszem podwórzu uderza wzrok nasz potężna, pięcioboczna wieża, która od sześciu wieków z niewzruszoną obojętnością patrzy na rzeczy i ludzi; z wnętrza bramy prowadzi droga do olbrzymich piwnic, które, wedle wierzeń ludu, kryją niezmierzone skarby, pilnowane przez złego smoka, Na placu turniejowym, do którego dochodzimy półokrągłą, sklepioną bramą, znajduje się kaplica poświęcona czci św. Andrzeja, zbudowana przez słynnego w dziejach Moraw kardynała Dietrichsteina. Ciche to i puste zazwyczaj miejsce, w dzień swego patrona roi się tłumami pobożnych pątników z całej okolicy. Wysoko, na południowym bastjonie, założono starannie utrzymywany ogródek, odsłaniający widok na dziwnie romantyczną i pociągającą swą tajemniczością okolicę.

Nieco dalej, ku południowi wysunięty wznosił się gród *Stramberk*, leżący w gruzach już od r. 1646. Tylko potężna wieża przetrwała burzę czasów i widnieje niby olbrzymi puhar napełniany codziennie świeżą rosą niebios. Lud zowie tę samotną wieżę „sztramberską trąbą“; stoi ona groźna, ponura, spoglądając na resztki leżących u jej stóp murów i rozsiane po dolinie domki starożytnego miasta, osłonionego od południa i północy t. zw. „Białemi górami“. Są to skały K o t o u c, wapienne, bruzdami poorane olbrzymy, pełne jaskiń utworzonych przez wodę; dwie największe noszą nazwy „czartowskiej jamy“ i „psiej budy“; naturalnie przywiązane są do tych skał legendy i opowieści ludowe, a jedna z nich sięga czasu napadów mongolskich.

„Kiedy nad Odrą pojawiła się dzicz tatarska, ludność wraz z dobytkiem kryła się w niedostępne bory i pieczary. Jednem z takich schronisk był Kotouc, którego podziemne groty daleko i szeroko się rozciągają. W pieczarach ukryto starców, kobiety, dzieci i dobytek, mężczyźni zaś zabrali się do pracy, porobili zasieki i jak mogli najlepiej, umo-

cnili górę, gotując się do rozpaczliwej obrony. Nie długo trwało, gdy nagle rozbrzmiały karpackie góry echem przeraźliwych wrzasków mongolskich najeźdzców. Ataki ich, raz, drugi i trzeci zostały odparte, ponieważ jednak oblężenie przeciągnęło się, poczęły wątleć siły obrońców, zwłaszcza, gdy przecięto im wodę. Nękani pragnieniem mężni wojownicy, zwrócili się z gorącą prośbą o ratunek do Wszechmocnego i Matki Najświętszej. I oto Bóg począł razić wojsko tatarskie piorunami, a deszcz, który odwilżył gardła spragnionych był tak ulewnym, że mała zazwyczaj rzeczułka wezbrała i zalała koczowisko Tatarskie. Poganie przerażeni rzucili się do ucieczki i oparli się dopiero aż pod Ołomuńcem, gdzie bohaterski Jarosław ze Stemberku poraził ich na głowę i wypędził za granice kraju".

Na pamiątkę tego zdarzenia, które zajść miało 1241 r. odbywa się tu corocznie w dzień Wniebowstąpienia wielkie święto ludowe. W czasie tej uroczystości sprzedawane bywają różne słodycze i pierniki, w kształcie ręki lub uszu, które to członki Tatarzy zazwyczaj odcinali jeńcom. Kopiec ów nazywany dziś bywa także górą „Oliwną" z powodu, iż po bitwie białogórskiej, urządzili tu OO. Jezuici drogę Krzyżową, potok zaś płynący u stóp białej skały nazwany został Cedronem.

Zdaniem badaczy przeszłości, mylnem jest zdanie Středowsky'ego, jakoby pierwotna nazwa tej góry związaną była z czcią bóstwa Kotouc, gdyż takiego w słowiańskiej mitologji nie ma, nie przeszkadza to jednak, że z tym kopcem skalistym łączyły się i łączą dotychczas różne przesądy i wierzenia, sięgające czasów pogańskich; roi się ona i dziś jeszcze w wyobraźni ludu rusałkami, karzełkami, duchami strzegącemi skarbów, które tu zazdrość ludzka ukryła...

A dokoła życie takie pospolite, szare, ciężkie; nie wszędzie ziemia jest tak bogatą i żyzną jak nad brzegami Odry, gdzie złocą się kłosy i tęczową

barwą świecą owoce. Ot, nieco dalej, na wschód w okolicy Misteku bywa zima dotkliwą i niezwykle ostrą; głęboko zagrzebane w śniegu leżą wioski, tak, że ledwie od chaty do chaty przejść można. Wówczas w licho ogrzanych izbach warczą kołowrotki i bawełnice i snuje się przędza, dając jednak marny tylko zarobek. Podobnie jak Bielsko-Biała z wyrobu sukna, tak Mistek-Frydek słynie z wyrobów wełnianych i bawełnianych, do których materjału dostarcza cała okoliczna ludność. Dokoła są bielarnie przędzy (blichy), drukarnie perkalu, farbiarnie, tkalnie płótna i t. p. Są też w romantycznej dolinie Ostrawicy, góry, gdzie „żelazo w szachtach kwitnie" — jak n. p. we Frydlandzie, Czeladnej (huty arcybiskupie) i t. d.

Głównem miastem tej ziemi jest Nowy Iczyn, miejscowość nad rzeką Iczynką, licząca do 15.000 ludności. Komuż ze starszych nie przypomni ta nazwa dawnych naszych bryczek i wózków zwanych „najtyczankami"! Były one znane i używane w całej Galicji i stanowiły prawie nieodzowną część każdego porządniejszego gospodarstwa.

Miasto powstało na podgrodziu — a o jego założeniu opowiada legenda jak następuje:

. . . . „Przed wiekami, przed latami, mieszkał w zamku na Iczynie władny rycerz z córką, której Bóg dał nie tylko wdzięki ciała i serca, ale także cale nie białogłowskie męstwo. Namiętnie lubiała ona łowy i często dosiadała rumaka, ażeby na czele nielicznego orszaku puszczać się w gąszcz leśną, gdzie krył się zwierz dziki. W miejscu, gdzie dziś wznosi się Nowy Iczyn, rozciągał się ongi las olbrzymi, a w nim krwawo gospodarzył potężny niedźwiedź, który w zuchwalstwie swem nawet na osady napadał i porywał w oczach przerażonych ludzi swe ofiary. Razu pewnego porwał ów zwierz srogi jakiejś biednej matce cały jej skarb, ukochanego jedynaka. Biegnie tedy biedaczka do grodu, skarzy się, lamentuje i błaga o pomoc, a przypuszczona do pięknej córki pańskiej, pada

na kolana i spowiada się ze swego nieszczęścia. Maryjka, takie było imię rycerskiej panienki, porywa róg i trąbi pobudkę myśliwską. Wnet wysypała się służba, zabrzęczały zbroje, wyprowadzono ze stajni szybkonogie wierzchowce... Maryjka wyprzedza orszak i dąży znaną jej drogą ku siedzibie złoczyńcy-niedźwiedzia. Niebawem dopadła go przed jaskinią, siedzącego nad dzieckiem, które kwiliło ze strachu. Nie licząc się z niebezpieczeństwem, godzi w strasznego przeciwnika oszczepem, z siłą na jaką ją stać tylko. Drzewce było jednak słabsze niż jej wola i pękło, a rozżarty potwór rzucił się na Maryjkę. Już ostre jego pazury dotykały jej białego ciała, gdy w tem Bóg zesłał nieoczekiwaną pomoc i zbawienie: Urodziwy młodzian w pasterskim stroju wypuścił z łuku strzałę, która wbiła się w oko napastnika! przerażony zwierz rzucił się w tył i po kilku gwałtownych drgnieniach wydał ostatnie tchnienie.

Kiedy Maryjka odzyskała przytomność, niebezpieczeństwo minęło, dziecko ocalało, potworne cielsko leżało u jej stóp, a przed nią stał dzielny młodzian oparty na kuszy. Podziękowała mu pięknie, a że orszak jej widocznie zabłąkał się w lesie, prosiła, by ją odprowadził na zamek. Mężny jej rodzic z radością dowiedział się o szczęśliwym wyniku sprawy, a młodzieńca zapytał: kto on zacz? Zbawca jego dziecka był synem ubogiej wdowy i chcąc wyżywić matkę, musiał przyjąć służbę pasterza u bogatego swego krewniaka. Gdy wymienił swe nazwisko, przypomniał sobie rycerz, że ojciec pastuszka był niegdyś jego dworzaninem i raz w bitwie ocalił mu życie. Uradowany tem spytał, czegoby żądał? Młodzian prosił, ażeby mu dano polankę, na której zabił niedźwiedzia, gdyż pragnie sklecić tam chatkę dla starej matki i żyć z nią po koniec jej dni; że zaś byli oboje nabożni, chciał przy chatce umieścić kapliczkę ku czci Zbawiciela. Prośbie jego stało się natychmiast zadosyć; matkę zabrano do dworu, zanim cieśle wy-

kończą siedzibę, a młodego pasterza kazano ćwiczyć w rycerskiem rzemiośle. Czynił on wielkie postępy, celując przytem pięknymi i dwornymi obyczajami; rycerz poznawszy go bliżej i czując, że córka jego pokochała bohaterskiego młodzieńca, oddał mu jej rękę wraz z bogatem wianem. Nowy rycerz wraz z żoną zamieszkał w zamku, a chatę matki, która polanki swej opuścić nie chciała, przebudował na okazały pałacyk myśliwski; obok tego pałacyku powstała osada, którą nazwano później Nowym Iczynem. Rycerz chcąc aby potomkowie pamiętali o swem pochodzeniu i o pasterskiej służbie swego przodka, nazwał się *Kravař*, pasterz krów, i stał się protoplastą możnego i władnego rodu. W herbie jego widnieje do dziś łuk i strzała. Nowy Iczyn położony przy t. zw. polskiej drodze, mimo licznych klęsk rozwijał się pięknie. W r. 1790 był główną kwaterą słynnego generała Laudona, który zmarł tu w dniu 14. lipca t. r. i spoczął w kościele parafialnym. Ruiny zamku, którym niegdyś władali Kravařowie, a później panowie z Cymburku, Boskowič i Zierotyna, spoglądają z rezygnacją na szumiącą Iczynkę i na miasteczka, które gęsto obsiadły jej brzegi. Z wyżyn brzegu mogli ongi jego panowie objąć okiem szerokie swe włości, a i dziś także odsłania się stąd piękny widok, aż po zielone brzegi Odry. Niedaleko stąd znajduje się wioska Hodosławice, miejscowość, której nazwę Czesi z wielkim pietyzmem i czcią wymawiają. Tu bowiem urodził się słynny wódz duchowy narodu czeskiego dr. Franciszek Palacky, w dniu 14. czerwca 1798, tu spędził dziecięce swe lata. Rodzinny dom jego, który po śmierci wielkiego patryoty (27. maja 1877) zakupiono z funduszów publicznych, jest do dziś dnia celem narodowych pielgrzymek narodu czeskiego. Bo tak, jak uwielbianego króla swego, Karola IV., nazwał czeski lud „ojcem ojczyzny“, tak ukochanego syna swego, Fr. Palacky'ego uczcił nazwą „ojca narodu“.

Kraina Kravarska jest częścią ziemi „Lašskiej“ (Lassko) czyli lackiej, a ludność tu mieszkająca nazywa się „Laši“. Nie ulega też wątpliwości, że jest to ludność polska zczechizowana dziś zupełnie, a przecież narzeczem swem zbliża się do sąsiadów polskich. Zamieszkuje ona północno-wschodni kąt Moraw, a przedniejszemi jej miejscowościami są wspomniane powyżej Hodosławice, Ostrawa, Nowy Iczyn, Przybor, Frydland i Frydek. Ludność „lacka“ stoi nadzwyczaj wysoko pod względem religijnym i słynie z tego nawet na Morawach, gdzie lud wogóle jest bardzo pobożny. Tak serdecznego, rzewnego śpiewu w kościołach, jak tu, nigdzie na Morawach się nie słyszy. Jest to lud pełen poezji; połowa legend morawskich tu się zrodziła, a tyle pięknych kolęd co oni, niema żaden inny ze szczepów zamieszkujących Morawy. Przytem jest to lud fizycznie zdrowy, pracowity, ma ładne stroje, podobne do sąsiadujących z nim Wołochów. Co prawda, stroje te czemraz szybciej giną, ustępując miejsca tandecie fabrycznej — tu, jak wszędzie niestety!

Narzecze lackie różni się od sąsiedniego wołoskiego znacznie; przedewszystkiem akcentują oni słowa jak my, na przedostatniej głosce, nie znają długich samogłosek i miękczą twarde czeskie *ne, de, te* w *nie, die, tie.* Oto według wymowy lackiej wierszyk o „śmierci“:

Byl-tie jeden czlowiek
Bylo mu jakkolwiek;
Szel od roli do roli,
Hlediet na obili (zboże)
Obiliczko moje.
Co si je tak piekne!
Je pieknie zelenie
Od vrchu do ziemie
Kterak ja te sežnu
Do stodoly zwezu i t. d.

Spotyka go śmierć i każe mu przestać myśleć o zbożu i dostatkach, a pomyśleć o dalekiej drodze.

Chłop wymawia się, prosi, zaklina na dzieci, chce przekupić, ale to nie pomaga; ledwie wyprosił, że mu pozwoliła wyspowiadać się z grzechów...

Albo naprzykład takie piosenki, które się słyszy w okolicy Frydka, jak „Dobry łów“:

Ej co za myslivec po poli polovał
dy nic niespolovał, velmi se frasovał.
Stanuł se pravił: Ej muj Bože!
bych nic nie spolovał, to byt niemože.

Brzmienie „ł“ wyraźnie słychać, a nawet w pisowni czeskiej wiersz ten dla każdego brzmi po polsku.

Albo taka n. p. pieśń „Oklamany“.[1])

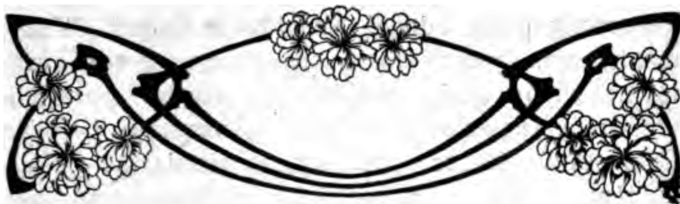
Jaskółka przynosi wieść zakochanemu, że jego dziewczyna idzie właśnie z drugim do ślubu — historja zwykła, która się kończy temi słowy:

Jeden si ju zamiłował —
Druhy mu ju vzał,
Jednomu se srdce kraje,
Že ji nie dostał!

Powyższe próbki świadczą o niezawodnym wpływie języka polskiego, a raczej o jego resztkach, które się czeszczyźnie ostały. Czesi mówią o nich z pewną niechęcią że: „Nářečí jich zaráží polským přízvukem!“



[1]) Bartoš a Janaček: Kytice pisni národnich. W Telci, Emil Šolc.



II.

„Valašsko“.

W dolinie Beczwy; miejscowość lecznicza Rożnów; góra Radhošt i spór o znaczenie jej nazwy; zabytki pogańskich wierzeń; Radhošt, Hostyń i ich znaczenie w życiu narodowem; początki odrodzenia; wdzięczność dla hr. K. Badeniego; właściwa ziemia wołoska; początek kamieni, a koniec chleba; lud i jego stroje; baca; poezja ludowa; *portašove;* bunt chłopski; pruska ręka; kapłan — pacyfikator; pieśń o Częstochowie; stosunki zarobkowe.



nad Odry zielonych brzegów, zapuścimy się ku dolinie Beczwy, kapryśnej rzeki, która dwoma ramionami wypływa z podgórza karpackiego, łączy się obok Valaške-Meziřiči (w. Międzyrzecze) zakreśla wielki łuk, wygięty najsilniej ku północy, obok miasta Hranice (Weisskirchen), a wreszcie rzuciwszy się ku południowemu - zachodowi obok Lipnika i Przerowa, znów na dwa rozdzielona ramiona, zlewa swe wody do Morawy pod Towaczowem, w pobliżu Kromieżyrza. Dolina niższej Beczwy, zrazu wązka i dzika, rozszerza się znacznie w okolicy Rożnowa, pomiędzy łagodnymi stokami Wielkiego Jawornika i stromej Wichury, aż do Międzyrzecza. W dalszym biegu, pełnym zakrętów, płynie szeroką strugą, tylko tuż obok Hranic wpada w jar,

utworzony przez odnogi Sudetów i Karpat. W ro-
mantycznym tym wąwozie, stworzonym przez gwał-
towny napór wody, znajduje się bardzo porządnie
urządzony kąpielowy zakład (siarczany) Cieplice.
Całe prawie dorzecze Beczwy, to ziemia t. zw. Wa-
łachów, z Rożnowem jako stolicą. Samo mia-
steczko schludne a czyste i piękna okolica, wabi
tu corocznie tłumy letników. Na zielonem tle łąk,
owiany ożywczem powietrzem alpejskiem, widnieje
z daleka Rożnów, rozkosznie położony u stóp Rad-
hošta, omglonego poezją legend odwiecznych; w gó-
rzystej tej krainie przechowały się stare obyczaje
w większej niż gdzie indziej mierze, a zwyczaj pa-
lenia ogni świętojańskich, utrzymał się do dziś w całej
swej pierwotnej krasie!

Nie tylko wyborna żętyca, wyrabiana przez ludność miejscową, a przynosząca wielką ulgę chorym piersiowo, ściąga tu licznych gości, ale przedewszystkiem śliczne górzyste położenie i nadzwyczaj orzeźwiające, balsamiczne powietrze. Łagodny oddech gór pieści przybysza i kojąco działa na stargane pracą nerwy. Świeża, soczysta zieleń i bujna wegetacja, cieszą oko i serce, z gór spływają szemrząc strumyki i gubią się w wesoło witającej je Beczwie. Podczas gdy dolina złoci się kłosami zboża, stoki i zbocza gór uderzają bujną roślinnością i kwieciem, wśród którego rosną pełne tajemniczej mocy zioła, dzięki którym żętyca tutejsza wywołuje tak przedziwne skutki. Ta ciągła zmiana przedmiotów i barw, soczystych łąk, których zieleń wtłacza się w ramy ciemnych, poważnych lasów szpilkowych, kontrast stworzony przez złotawe pola i kamieniste skały rysujące się zygzakowato na widnokręgu, te rzeki i lasy, faliste dolinki — wszystko to czyni okolicę tak malowniczą i powabną, że odjeżdżając, czuje się żal po niej! Zakład żętycowy w Rożnowie istnieje od r. 1820; znajdują się tu także pięknie urządzone łazienki dla kąpieli igliwiowych, słodowych i z kory

dębowej, szykowny dom zdrojowy z czytelnią i salą zabaw, a naturalnie i bardzo piękny park, łukiem okrąża miasteczko, łącząc się z pięknym spacerem na wzgórzu Karola. Najstosowniejszą porą dla leczenia się żętycą jest wiosna i początek lata, ale łagodny klimat i osłonięte położenie Rożnowa, pozwalają przedłużać sezon do końca września. Nazwę miasta wyprowadzają od pięknej Różyczki, która u boku rycerza Miłgosta pędziła tu szczęśliwe dnie małżeństwa i stała się opatrznością całej okolicy. Co do nazwy góry, to jedni przypuszczają, że wzięła ją od boga gościnności, coś w rodzaju *Iupiter hospitalis* lub *Zeus xenios*, a więc „Rad gościć“ Radgost' — Radhošt, inni sądzą, że bóstwo, które tu czczono, było czemś w rodzaju Marsa lub Aresa, a równocześnie wywodzą nazwisko Rożnowa od *rożno*. Bóg ten miał się nazywać Rozvodič (prowadzący wojny). Czy bóstwo wojny, czy bóstwo gościnności, tuż po Swantowicie najwięcej czczone u Słowian — w każdym razie miało tu swój chram, i tu na najwyższym szczycie na cześć jego płonęły ognie. Wyobrażenie boga w chramie na Radgoście miało być ze szczerego złota, nadludzkiej postaci. Na głowie bożka widniała złocista korona, ozdobiona podobizną ptaka o rozpostartych skrzydłach. Na piersiach bóstwa umieszczoną była głowa czarnego byka, na niej spoczywała prawa ręka postaci, podczas gdy w lewej widniała włócznia, zakończona na szczycie toporem, w dole zaś dwójzębem.

Gdy wielkomorawski książę Rościsław przyjął chrześcjaństwo i wysłał apostołów w głąb kraju, musiało pogańskie bóstwo ustąpić, a jego miejsce zajął Krzyż św.; godło miłości, cierpienia i przebaczenia. Do dziś też stoi ną szczycie wzgórza, ów znak Zbawienia, ku któremu ciągną liczne rzesze, zwłaszcza w dniu Przemienienia Pańskiego (6. sierpnia). Różne jednak pojęcia i wierzenia pogańskie, po dziś dzień utrzymały się wśród ludu. W przeddzień św.

Jana, 24. czerwca, błyszczą na Radgoście i sąsiednich górach liczne ognie, wspomnienie dawnych „letnic“ na cześć bogini Łady i Turzyc, które były symbolem płodności przyrody. Wogóle cześć dla ognia, jako siły ożywczej, zachowała się w tem ustroniu w różnych obrzędach; i tak n. p. młoda małżonka, wstępując po raz pierwszy w dom męża, rozniec ogień na palenisku. Prastarym jest także obchód na cześć zwycięstwa wiosny. Starosłowianie uosobiali grozę zimy w Marzanie, a raczej Moranie, bogini śmierci, podczas gdy symbolem życia i bujności była Vesna. W dniu porównania dnia z nocą, odbywały się uroczystości na cześć Wiosny; ślad ich pozostał w zabawie ludowej, odbywającej się po dziś dzień w Czarną niedzielę. Wynoszą wówczas bałwana przedstawiającego Moranę, na najwyższe wzgórze, przyczem dziewczęta spiewają:

„He! uch! hello! mé mila Mařeno“

chłopcy zaś obrzucają bałwana grudami ziemi i przedrwiwają „panią śmierć.“ Zabawa kończy się pozorną walką i skromnym posiłkiem. W pieśniach, jakie lud przy tej sposobności śpiewa, jest też mowa o Perunie (piorunie), jako sile niszczącej, ale i odżywczej.

Cały ten kąt ziemi ma właściwe sobie, odrębne piętno.

Radhošt i uświęcony pielgrzymkami Hostyń, to widome znaki wołoskiej ziemi. Oba te wzgórza odegrały wielką rolę w dziejach duchowego i polityczno-narodowego odrodzenia Moraw. Germanizacja była tu tak skuteczną, że nawet rok 1848 nie przyniósł otrzeźwienia. Dopiero przykład Czech, budzących się do życia narodowego, ich postępy i zdobycze wywołały korzystną reakcję. Z początkiem lat sześćdziesiątych, zaczęto urządzać t. zw. „Biesiady“, na których lud zapoznawał się z czeską myślą i czeskiemi marzeniami o przyszłości. Najważniejszymi etapami na drodze odrodzenia, były wielkie narodowe wiece i pielgrzymki do miejscowości związa-

nych z przeszłością Moraw. Do najznamienitszych, a w skutkach najowocniejszych, należał zjazd na Radhoście w r. 1861, na Hostyniu[1]) 1862 r., a przedewszystkiem na przesławnym Welehradzie, który tradycje ludu łączą z pamięcią apostołów Słowiańszczyzny, Cyryla i Metodego, w r. 1863. Od tej chwili rozwinął się ruch narodowy szeroką falą, ale też te zjazdy obudziły czujność Niemców, którzy rozpoczęli walkę „kulturalną" i ekonomiczną na wielkie rozmiary i z wielką zaciekłością. Ruch narodowy nie dał się jednak powstrzymać i szerzył się głównie za pośrednictwem licznych filji Macierzy szkolnych. Ale jeszcze w r. 1873 wywoływało czeskie podanie oburzenie sędziów i adwokatów niemieckich! Siłą konieczności zmuszono Niemców do uznania praw czeskiego języka, — w drodze ustawodawczej nie zrobiono dla niego nic, aż po znane rozporządzenia językowe hr. Kazimierza Badeniego z 22. kwietnia 1897. Nazwisko polskiego męża stanu żyje na Morawach we wdzięcznej pamięci.

— Nazwisko Badeniego, mówił mi jeden z wybitnych polityków morawskich, otaczamy czcią, bo on pierwszy naprawił wiekowe krzywdy języka krajowego na Morawach. Nie dali mu Niemcy dokończyć dzieła, ale mu przeszkodzić nie zdołają.

Słuchając tych słów, przypomniałem sobie mimowoli scenę z owacji urządzonej dla Badeniego, gdy powrócił jako ex-minister do kraju. Przemawiając wówczas rzekł:

„Ustąpiłem, ale tego co zrobiłem na punkcie równouprawnienia językowego, nie cofnie żadna siła!"

---

[1]) Hostyń znalazł swego piewcę w Wincentym Furchu (ur. 1817 † 1862) jednym z lepszych, patrjotycznych poetów morawskich. „Pieśniami o Hostyniu" budził on w ludzie zbożność i stateczność, której odwiecznym wyrazem był pamiętny Hostyń. Furch jest jednym z nielicznych Czechów, którzy sympatyzowali z naszemi walkami o wolność. Boje nasze opiewał on w zbiorku wydanym p. t. *„Polský dumky"*. Wiele z jego pieśni stało się własnością całego ludu morawskiego.

Miał rację! Jego rozporządzenia językowe były tylko sformułowaniem istniejącego stanu rzeczy, były stwierdzeniem faktu, że prawa tworzy żywotna siła!

Jądrem wołoskiej ziemi jest kraj między górnem a dolnem ramieniem Beczwy z miastami: Wołoskie Międzyrzecze (Mežiřici nad Bečvou), Vsetin i Rožnov. W górnej krainie mało jest urodzajnej ziemi, z wyjątkiem Beczwy i jej dopływów. Lud tutejszy żywi się też dosyć nędznie, przeważnie ziemniakami i jarzynami. Natomiast jest dosyć owoców, a gdy dobrze obrodzą, robią z nich Wołosi doskonałą wódkę, zwaną śliwowicą, choć śliwek tam nie wiele, a z borówek wyrabiają specjalny napój zwany „borowiczką.“ Ażeby wyżyć, chwytają się różnych rzemiosł; celują szczególnie w wyrobie narzędzi gospodarczych, w ciesielstwie, bednarstwie, koszykarstwie i t. p. Wołochów liczą na 160.000, sąsiadują oni z Lachami, Hanakami i Słowakami, którzy wszyscy różnią się dosyć znacznie wymową i strojami. W olbrzymio przeważnej części są katolikami, jakkolwiek ongi, w ruchu reformacyjnym brali żywy udział. Mieszkają w dosyć nędznych kurnych chatach z drzewa; osobnych izb jak Hanacy nie mają. Urządzenie domowe bardzo prymitywne: dwa stołki i ławy biegnące wzdłuż ścian. Wedle stawu grobla, lud bowiem jest biedny; kto z Hany jedzie do ziemi wołoskiej, to mu mówią, że „tam jest początek kamienia, a koniec chleba“. To też i uświadomienie narodowe postępuje tu wolniej niż gdzieindziej na Morawach, jakkolwiek nauczycielstwo i duchowieństwo, a niemniej Towarzystwa oświatowe i związki sokole działają tu bardzo intenzywnie. Oprócz gimnazjum, szkół średnich i wiejskich, mają Wołosi cały szereg szkół przemysłowych, do których licznie i chętnie uczęszczają. Piękność kraju i obfitość mineralnych źródeł, zwabiają tu licznych letników, dla których w okolicy Radhošta, znakomity architekt morawski Dušan Jurkovič wybudował prześliczne wille. Wielką wadą ludności

wołoskiej, jak otwarcie wyznaje Metody Jahn[1]) w swej zajmującej rozprawie, jest skłonność do picia gorzałki i wrodzona nieufność do inteligencji, datująca się z czasów dawnego ucisku. Zajmują się oni głównie chowem bydła, mianowicie owiec, krów i wołów, które to ostatnie służą im także do uprawy nędznej roli.

Valasi są, według zdania kompetentnych etnografów, szczątkami plemienia, z którego w czasie od XII.—XIV. wieku szło wielu osadników do Siedmiogrodu, skąd przedostawali się dalej na północ i wschód, trudniąc się przeważnie pasterstwem, polowaniem i wyrąbem drzewa. Są to poniekąd kuzyni naszych Hucułów, z którymi mają wiele wspólnych cech.

Jest to lud krzepki, silnie zbudowany o muszkułach jak stal, zdrowy i zahartowany; szyję i piersi ma i w zimie zazwyczaj odkryte. Głowę przykrywają spiczastym kapeluszem z szeroką kresą, ozdobionym barwną wstążką, za którą parobczaki wtykają pióra jastrzębie. Koszula lniana, często wyszywana, spięta jest spinką lub wstążką, na niej czerwona lub karmazynowa kamizelka z okrągłymi metalowymi guzikami i „żupica“ kaftan najczęściej biały lub szary, rzadziej brunatny lub zielony, czasem lamowany, spodnie sukienne białe lub niebieskie, jak u naszych górali tatrzańskich u dołu spięte — jeno bez wyszycia. W zimie zarzucają gunię (hunu) podobną również do góralskiej cuchy, tylko znacznie dłuższą. Obuwie (*krpce*) przymocowują rzemieniami na sposób sandałów, a czasem noszą ciżmy na sposób węgierski. Strój kobiecy składa się z gorsowanej koszuli (*rubač*), na którą wdziewają białą półkoszulkę (*rubavče*) o rękawach zakończonych bufiastą kryzą, sfałdowaną, dalej z jedwabnego lub sukiennego kolorowego stanika i marszczonej, szerokiej, a krótkiej spodniczki za-

[1]) Povaha Valachů; (por. też M. Václavek: Ráz kmenů moravských.)

zwyczaj ciemnego koloru. Kobiety mają piękne, uderzająco małe stopy, które ubierają w pantofelki lub *krpce*, podobne do męskich. Wołoszki lubują się szczególnie w bieliźnie, a bogatsze mają jej zawsze znaczne zapasy.

Wołosi poprzestają na małem, żyjąc w swych „pasiekach“ i „kolibach“ przez znaczną część roku. W lecie pędzą owce w góry na paszę, pasterze mieszkają w szałasach (salaši) pod dozorem „bacy“, fachowego mistrza udoju. Typowe to zawsze postacie! Taki baca, szczupły a żylasty, spalony słońcem i wichrami, z odkrytą potężną piersią i długimi włosami zarzuconymi za uszy i krótką fajeczką w zębach, aż się prosi na model. W wioskach, gdzie goście zjeżdżają się na żętycę (*žinčica*), baca przygotowawszy świeży zapas, oznajmiał o tem, dmąc w ogromną, długą trąbę; na znak ten spieszą zewsząd słudzy i nabrawszy posilnego napoju do dzbanów, roznoszą po domach, gdzie mieszkają kuracjusze. Pomimo, że życie w szałasach jest i smutne i nędzne, wypęd bydła odbywa się rok rocznie z wielką uroczystością i ochotą. Ledwie śnieg stajał i marna zieloność okazała się na górach, ciągną już gromady bydła na letnie siedziby, odprowadzane przez chłopców i dziewczęta całej wsi, wśród śpiewów i żartów. Następuje to zazwyczaj w płowie maja, bydło zaś zostaje na paszy 18—20 tygodni. Ludność, mimo ciężkich warunków bytu, umie być wesołą, a śpiew i muzykę nadzwyczaj lubi. W pieśniach ich wiele prawdziwej poezji, jak n. p. w tej o dziewczynie, która zrozpaczona biega nad bystrą rzeką i błaga fale, by jej zwróciły narzeczonego. Klęka wreszcie, całuje brzeg i dłonie wyciąga błagalnie, aż wreszcie wzruszona rzeka spełnia jej życzenia...

„Rzeka prośby wysłuchała —
I lubego jej oddała — —
Martwego...“

W pamięci ludu żyje do dziś krwawa pomsta, jaką na Wołochach wziął wódz cesarski Puchheim, gdy po ustąpieniu Torstensona, zdusił powstanie wołoskie. Sąd w Bernie pod przewodnictwem hr. Rotala, skazał dowódcę powstania chłopskiego Kovaŕa, jego syna i 200 pomniejszych watażków na karę śmierci; jednych łamano kołem, drugich ćwiertowano, innych wieszano lub po kilku rozstrzelano — nie darowano nikomu! W XVII. wieku zorganizowano z nich rodzaj straży pogranicznej (t. zw. *portašove*); mieli oni strzedz granic Moraw od strony węgierskiej, chwytać powstańców i zwykłych zbójników, których w górach nigdy i nigdzie nie brakło. Ów *„sbor portašsky"*, dopiero w r. 1829 przestał istnieć. Dzika z natury ludność zdziczała jeszcze więcej, tem bardziej, że opieka duchowna była bardzo marna. Olbrzymia djecezja ołomuniecka miała w trzeciej ćwierci XVIII. wieku w 62 dziekanatach zaledwie 522 parafij na przeszło 1,800.000 ludności. W niektórych częściach, zwłaszcza w górach, należało do jednego księdza po 20 wsi. To też lud dziczał, tracił wiarę, zachowując w najlepszym razie formę i ceremonje; wykorzystał to protestantyzm, wciskający się tu od Śląska. W r. 1777 zarządzono, by każdy mieszkaniec złożył pisemne oświadczenie, do jakiego kościoła się zalicza, rzekomo dlatego, ażeby w myśl wyników urządzić parafje. Uwierzyli temu Wołosi i idąc za agitatorami protestanckimi, przyznawali się masalnie do kościoła reformowanego, choć bynajmniej nie rozumieli co czynią. Robili zaś dlatego, że agitatorowie obiecywali im zwolnienie od podatków (kontrybucji) od dziesięcin, opłat kościelnych i tym podobne „złote góry". Podniecani Wołosi nie tylko wymawiali posłuszeństwo księżom, ale i panom, którzy zaczęli wołać o interwencję. Cesarzowa zesłała więc na Morawy kanclerza Blümegen, poruczając mu misję uspokojenia kraju. Nie było to łatwe zadanie; część włościan zadowoliła się obiecankami wysłańca i powróciła

do zwykłego trybu życia, otrzymawszy zapewnienie bezkarności — ale poważna część niezadowolonych i dalej trwała w oporze. Tym oznaczono pewien czas celem zastanowienia się nad skutkami, opornym zaś mężczyznom zagrożono wzięciem do wojska, lub skazaniem do robót ziemnych w ołomunieckiej twierdzy, a kobietom zsyłką na Grajgórę obok Berna. Przewódcom groziła wieczysta banicja do południowych Węgier; mogli brać ze sobą żony, ale dzieci musiały pozostać w kraju i były wychowywane na koszt rządu. Dzięki gorliwej pracy duchowieństwa, które znacznie zostało pomnożone, umysły dosyć szybko się uspokoiły, — nie bardzo też pilnowano spełnienia gróźb, gdyż obawiano się drażnienia ludności w kraju, który mógł lada chwila stać się widownią orężnej walki z Fryderykiem; — przednie jego straże stały już bowiem na opawskiej ziemi. W czasie rokowań o pokój, agitatorzy ewangelicko-pruscy, znów poczęli wichrzyć i przedstawiać ludowi, że Fryderyk II. podniósł broń w interesie ich wolności i swobody religijnej, i że zjazd cieszyński, (który przyszedł do skutku dzięki pośrednikom Francji 1779), zajmuje się właśnie zawarowaniem praw wołoskich górali. Wywołało to nowe niepokoje i dopiero pod koniec 1780 roku, udało się zacnemu kapłanowi ks. Janowi Hay, przekonać lud, że padł ofiarą niecnej spekulacji i uspokoić górali. Dziś lud wołoski odznacza się wielką pobożnością i żywą wiarą.

Wśród ich pieśni poważniejszych jest jedna, która świadczy, jak wielką czcią otacza lud naszą Częstochowę. Pieśń tę p. t.: „Svatý Lukaš maleř Boži“ słyszałem w okolicy Woł. Międzyrzecza (Val. Meziřiči), a opiewa ona fakt powstania obrazu N. Panny Marji. Święty Łukasz darmo się silił, ażeby dobrze oddać rysy Matki Zbawiciela, aż wreszcie zdrzemnął się nad robotą. Wówczas pojawiła się Matka Boża, pochyliła się nad deską, na której miał być jej obraz i

„Svoje lička přiložiła
hneď obrazek ozdobila:
Staň Lukaši, staň ze spani,
už je obraz malovaný,
Častochovu oběcany.
Zapřahajte šest par voľů:
Vezte obraz k' Častochovu,
Budu lide putovati,
Zdravi tamo nabývati.

Wspomnieliśmy już powyżej ogólnikowo, że Wołosi żyją dosyć nędznie, mimo że są pracowici.

Przemysł domowy, niegdyś tak wielce ważna gałąź ekonomicznego życia, przeszedł w XIX. wieku kryzys, która ujęła mu wiele znaczenia artystycznego i zacieśniła granice; znaczy on dziś właściwie wyrób najprościejszych przedmiotów gospodarstwa domowego, nożów, drewnianego naczynia, pudełek na zapałki, wyplatanie krzeseł, koszyków, sznurów słomianych, wyrób guni, pończoszkarstwo, szycie bielizny, wyrób prostego obuwia etc. Przemysł taki zatrudnia na Morawach około 75.000 osób, pracujących 14 — 18 godzin dziennie za zapłatą od siedmiu halerzy — do 2 koron dziennie, a przeciętnie 30—50 halerzy. Jest to więc egzystencja więcej niż smutna [1]).

Wyszywki, któremi zajmują się dziewczęta w zimie w okolicy Skrbeni i Naměšti, przynoszą najsprawniejszej pracownicy 1 kor. 20 hal. za 16—18 godzin pracy, przeciętnie zaś 32—50 hal. Wyszywaniem zajmują się dziewczęta już od 10 lat życia. Gospodarskie sprzęty i naczynia drewniane wyrabiają głównie Wołosi w okolicy Międzyrzecza i Wyrowic. Gałąź ta zatrudnia wyłącznie w zimie 800 — 1000 ludzi, którzy dawniej pracowali samodzielnie, a dziś są najemnikami hurtowników, zdanymi na ich łaskę; przeciętnie zarabiają przy wytężającej pracy 40—60 halerzy. Jak ci ludzie są wyzyskiwani, wystarczy powiedzieć, że najlepszym gonciarzom

[1]) Bericht der k. k. Gewerbe-Inspektoren.
Fr. Maras: Domaci prumysl.

w okolicy Liptalu płacą hurtownicy za 1000 gont 4—5 koron, sprzedają je zaś po 14—30 koron! Nad wyrobem guzików pracuje w lecie po 1000, w zimie po 6000 osób; za pakiecik zawierający 720 guzików, płacą hurtownicy od 90 — 240 halerzy. Ciężki to zarobek! Obywatele morawscy obmyślają akcję, celem podźwignięcia i usamowolnienia pracowników, przez uniezależnienie ich od wyzysku pośredników. Znając energję i wytrwałość Czechów, nie wątpimy, że znajdą środki zaradcze,





III.

Przerów i okolica.

Hranice; wojewoda wołyński, Mikołaj Sieniawski; tragedja sędziego Malika; Adam Sturm i kancjonał Szamotulski; widok z Cieplic; „Przepaść“ i legenda do niej przywiązana; magnat-fantasta; ruiny Drahotouš i Helfensteinu; rycerz i sokolnik; rycerz-rozbójnik; Lipnik; Jerzy Izrael; Przerów; Wilk z Sovinca; pod rządami Pernsteinów; Karol starszy Zierotyn; obrońca praw narodu; z krwawej doby; wyroki śmierci; konfiskaty i ich rozmiary; rządy Dietrichsteina; zdeptana autonomia; jedyny protest; Jan Amos Komensky; Jednota i jej obrońca; Krystyna Poniatowska; prorokini; dziwne losy polskiego dziewczęcia; Bystrzyca pod Hostyniem i Holeszów; smutna pamięć Lisowczyków; bł. Sarkander i jego męczeństwo; czarna kaplica w Holeszowie.



wycieczce naszej ku Karpatom wołoskim, oddaliliśmy się nieco od linji kolei północnej; powracamy do niej znowu w Hranicach (Weisskirchen). Czeska nazwa ma historyczne uzasadnienie, miasto bowiem leżało w X. wieku istotnie na pograniczu z Polską, gdyż klin morawski, rozdzielający dziś Śląsk, należał wówczas wraz ze Śląskiem do Polski. W dokumentach spotykamy się z tą nazwą w XII. wieku; władali tu panowie z Cymburka i Pernsteinu, darząc miasto rozlicznymi przywilejami, to też w początku wojen reli-

gijnych było ono w prawdziwym rozkwicie. Że jednak stało po stronie narodowej, utraciło po bitwie na Białej Górze wszystkie przywileje, — co prawda na czas krótki, gdyż już w r. 1624 dzięki protekcji wszechwładnego kardynała Dietrichsteina otrzymało je napowrót. Często szły tu dawniej zagony tatarskie, później szwedzkie i węgierskie, francuskie i pruskie. W dniu 20. sierpnia 1683 odpoczywało tu wojsko polskie, ciągnące pospiesznym marszem na odsiecz Wiedniowi; wojewoda wołyński Mikołaj Sieniawski miał tu swą główną kwaterę. Od XVII. w. należy do Dietrichsteinów. Położone bardzo szczęśliwie, na tle łagodnych wzgórz, jest najważniejszem miastem przerowskiej ziemi, a nawet przez jakiś czas (1783—1854) było faktycznie jej stolicą, mieszcząc w sobie najważniejsze urzędy. Przeszłość reprezentuje zamek Dietrichsteinów, okazała budowla z potężną wieżą, z którą łączy się wspomnienie tragicznej śmierci dziedzicznego sędziego Malika. W sporze cesarza z Czechami, stanął on po stronie narodu, skutkiem czego naraził miasto na oblężenie. Widząc, że wysiłki są daremne i miasto upaść musi, a nie chcąc dostać się żywcem w ręce wroga, rzucił się ze szczytu wieży i roztrzaskał głowę na miejscu.

W Hranicach urodził się czeski pieśniarz Adam Sturm, z którego licznych pieśni, 40 znalazło pomieszczenie w kancjonale Szamotulskim. Niegdyś kwitło tu sukiennictwo, dziś wyrabiają się rozolisy — i kandydaci na oficerów: jest tu bowiem duża szkoła kadecka, która miastu specyficzne nadaje piętno.

Ze wzgórz obok Hranic, odsłania się piękny widok, szczególnie w kierunku południowym, na romantyczną dolinę cieplicką. Pół godziny drogi, w miejscu, gdzie Beczwa gwałtownie przebija przedgórze karpackie, znajduje się zakład kąpielowy siarkowy Cieplice (Teplice); z tarasy domu zdrojowego widać góry otaczające Wołoskie Międzyrzecze i potężny

Radhošt, który niby wspaniała dekoracja zamyka cały obraz. Naprzeciw, wśród dziwacznej kombinacji skał, widzimy rozpadlinę, którą słusznie nazwano Przepaścią (*Propast*). Dno tej otchłani głębokiej 70 mtr. wypełnione jest dosyć obficie wodą, która wypływa z jaskiń, znajdujących się u podnóża skał — lub spada szczelinami z góry. Powierzchnia wody pełna jest baniek, wytwarzanych skutkiem ulatniania się gazów; zbocza przepaści obfitują w roślinność, znajdujemy tu różaniec alpejski, zawojki, żółte tojady, kopytniki i inne dosyć rzadkie rośliny. Gdy zeszedłszy na dół spojrzymy w górę, doznajemy jakiegoś nieokreślenie przykrego uczucia; kamienie wiszą nad nami, niby ruiny zburzonego zamczyska, grożąc co chwila zdruzgotaniem: z uczuciem prawdziwej ulgi stajemy znów na górze. Szczelinę tę miał wytworzyć piorun, który ongi uderzył w gród zuchwałego pana, krzywdzącego sieroty i wdowy — tak sobie lud przynajmniej powstanie tego niezwykłego zjawiska tłumaczy; powiadają też starzy, że w noc Bożego Narodzenia odzywa się z dna przepaści dzwon zamkowy, a widmo rycerza-krzywdziciela goni, białą odziane płachtą, na koniu, szukając miejsca, gdzie stał ongi zamek.

W okolicy Hranic głośnym był w XVIII. wieku niejaki Albert Józef hr. Hoditz, pan na Rosswaldzie, Fullsteinie i wielu innych dobrach, leżących tuż nad granicą Śląska. Były to właściwie dobra arcybiskupstwa ołomunieckiego, które lennem nadano jego przodkowi, kondotjerowi cesarskich wojsk z czasów wojny trzydziestoletniej. Był to pan wielkiej fantazji, mający coś wspólnego z artystycznem obłąkaniem Ludwika Wittelsbacha i pełną animuszu zamaszystością Radziwiłła „panie kochanku.“ Urodzony w r. 1706 i wychowany bardzo starannie, od dziecka miał aspiracje artystyczne, spotęgowane następnie dłuższym pobytem w Italji. Na dworze Karola VI., który go mianował szambelanem, był lubiany i psuty przez panie, wreszcie zakochał się w kobiecie niesły-

chanie wykształconej i pięknej, ale o dwadzieścia przeszło lat starszej od siebie, w uroczej Zofji, księżniczce Sasko-weissenfeldzkiej, wdowie po margr. bajruckim Jerzym, a ciotce Fryderyka II., króla pruskiego. I księżniczka tak dalece się w nim rozkochała, że zmieniła obrządek, przechodząc na łono kościoła katolickiego i oddała mu swą rękę r. 1734. Żył z nią szczęśliwie do r. 1750. Odziedziczywszy po śmierci ojca i brata olbrzymi majątek, puścił wodze swej fantazji artystycznej, postanawiając stworzyć sobie „rajski" zakątek na tym padole płaczu, w którym żyłby z Muzami i dla Muz. W tym celu wybrał sobie dwa duże folwarki na granicy Śląska i zaczął je przeistaczać na siedzibę Apolina, w sposób, który przedstawia się jako dziwna mieszanina rozumu i głupoty, filozofji i przesądu, żywej wyobraźni i kiepskiego smaku. Przedewszystkiem począł się rozpatrywać w talentach swych poddanych, nie szczędząc kosztów na ich kształcenie i nie zrażając się niepowodzeniami. W tym kierunku okazał tyle cierpliwości i wytrwałości, że niebawem otoczyć się mógł orszakiem 90 artystów wszelkiego rodzaju, będących jego poddanymi. Teraz przystąpił do budowy wspaniałego pałacu, a raczej formalnego labiryntu różnych pawilonów, wśród olbrzymiego parku, urządzonego według jego pomysłów. Były tam rozliczne jeziora, kanały, wyspy, studnie i niezliczone, kunsztowne wodotryski; były zaczarowane groty, altany, teatry, wszystko urządzone i obsługiwane przez domowych artystów, wśród których byli naturalnie i muzykanci i pirotechnicy, podówczas bardzo cenieni. Miał on też wśród swego dworu aktorów, śpiewaków, malarzy, rzeźbiarzy, złotników, sztukmistrzów i magików etc. etc. Co prawda, utrzymanie dworu obliczone było „po niemiecku" i kosztowało ledwie 3.000 guldenów rocznie; primadonna bowiem operowa prócz mieszkania, pożywienia, ubrania i kostjumów, pobierała wszystkiego dwa guldeny miesięcznie! Cała zresztą

ludność służyła bezpłatnie za statystów. Urządzał on nocne zabawy ogrodowe przy rzęsistem oświetleniu, a wówczas najpiękniejsze dziewczęta zmuszone były pełnić służbę greckich posągów...

W parku znajdowały się sztuczne skały, ozdobione sztucznemi ruinami gotyckich burgów, — w ogrodzie wschodnim stała pagoda chińska, obok niej znowu podobizna Grobu św. Tu widniały pustelnie świętych, tam zaraz znowu harem turecki — i to nie od parady! Obok kopalni sztucznych, w których były wspaniałe sale balowe, widniała kolonja Liliputów, pełna maleńkich domków, w których role tubylców musiały odgrywać włościańskie dzieci. Były też groty druidów z ofiarnymi ołtarzami, przy których pan domu w otoczeniu gości i dworzan odprawiał misterja pogańskie; inna dolina przeznaczona była na zabawy pasterskie, na jeziorach urządzano igrzyska bóstw wodnych i nimf, w ogrodzie indyjskim naśladowano życie dzikich wojowników, a w pośrodku parku wznosił się grobowiec, który dla siebie przygotował, otoczony najrzadszemi drzewami.

Nie spoczął w nim jednak; ciągłe zabawy doprowadziły go wreszcie do ruiny. Na dobra wprowadzono sekwestr, on zaś znalazł przytułek u Fryderyka II. w Poczdamie, gdzie niebawem, nie mogąc znieść zmiany w swoim losie, zmarł w r. 1778. Dobra powróciły znów do kapituły, której rządca usunął wszystkie zabytki grzechu, zniszczył „czartowskie sztuki" w parku, tak, że ani z niego, ani z pałacu nawet ślad nie pozostał. Jedyną pamiątką po nim jest mała uliczka w Poczdamie, nazwana jego nazwiskiem na rozkaz Fryderyka II.

Śladów przeszłości w postaci ruin starych zamków nie brak tu bynajmniej; z nich historycznie najciekawszemi są ruiny obok wsi Podgórze (Podhoře) zamku panów z Drahotouš, którzy niejednokrotnie zapisali się na kartach dziejów, tudzież ruiny Helfensteinu, w pobliżu Lipnika nad brzegiem Beczwy.

Są one jeszcze o tyle dobrze utrzymane, że można sobie wyrobić dokładne pojęcie o rozmiarach zamczyska. Ocienione drzewami, porosłe mchem i zielskiem ostro odbijają od pięknie uprawnej okolicy, którą dziś przebiegają pociągi we wszystkich kierunkach, wiozące podróżnych i towary wartościowe. Z innem zapewne uczuciem przebywał tę drogę kupiec średniowieczny i kryjąc się, o ile to tylko było możliwem, rzucał pełne trwogi spojrzenia w stronę burgu, czy nie wypadnie z niego nagle gromada rozbójniczych rycerzy!

O powstaniu zamku opowiada legenda, że ongi Benno, sokolnik wojewody ołomunieckiego, z obawy przed karą za jakieś przewinienie, umknął swemu panu, pozostawiając sokoły na łaskę Opatrzności. Rozgniewany książę kazał wszędzie szukać zbiega, a nawet sam w pogoń ruszył. Aż oto zabłąkał się i znalazł nagle w głuszy leśnej, oko w oko z dzikim turem, który rozjuszony zadanym ciosem rzucił się na źle uzbrojonego łowca. I byłby wojewoda zginął, gdyby nie Benno, który ze swej kryjówki widział całą scenę i nie namyślając się długo, toporem strzaskał łeb srogiego zwierza. Wobec tego wojewoda zapomniał o wszystkiem, powrócił Benna do swej łaski, obdarzył ziemią, a nadto zbudował mu gród, który na pamiątkę niespodzianej pomocy nazwał Helfensteinem. Legenda ta powstała już w okresie naporu niemieckiego, podczas gdy gród sięga o wiele dawniejszej daty. Powstał on zapewne w czasie, gdy Miłota z Rozenberga sprawował na Morawach rządy z ramienia młodocianego króla Wacława, a był siedliskiem jednego z najgorszych rycerzy - rozbójników, Fryderyka z Linawy, który wraz Gerardem z Obřan i Fryderykiem z Šonburka niepokoił całą tę część kraju, — aż po czasy króla Jana, który zgniótł wreszcie rozbójnictwo. W końcu XIII. wieku władali zamkiem panowie z Kravař, później panowie z Vrbna, z których ostatni, Jerzy, po bitwie białogórskiej musiał opuścić kraj. Helfenstein wraz z Lipnikiem

i Hranicami darował cesarz kardynałowi Dietrichsteinowi.

Doliną połączonej już Beczwy docieramy do Lipnika; droga piękna i interesująca. Tuż za „Przepaścią“ wznosi się skała oyginalnego kształtu, zwana „kazalnicą djabelską“, od północy widnieje potężny odłam skalny, zwany „skałą świętojańską“ od figury św. męczennika, która zdobi jej szczyt wyniosły. Lipnik jest starem miastem, liczy dziś przeszło 6000 mieszkańców, ma piękny kościół, klasztor OO. Pijarów, którzy aż po r. 1777 utrzymywali szkołę średnią, a wreszcie kilka okazalszych domostw. Lipnik był kolejno własnością Kravařów, Sovinców i Pernsteinów; w swoim czasie był też jedną z twierdz husytyzmu, a później „Braterskiej jednoty“, która odbywała tu swe zbory w czasie od 1540—1608, — już jednak w siedm lat później powracają mieszkańcy na łono katolicyzmu, skutkiem czego w czasie inwazji Szwedów, miasto padło ich ofiarą. Tu zmarł w roku 1558 Jerzy Izrael, pierwszy „starszy“ jednoty braterskiej w Wielkopolsce. Od Lipnika, dosyć dużym łukiem dobijamy do Przerowa (Přerov) liczącego dziś około 15 tysięcy mieszkańców. Obecny dworzec kolejowy przypomniał mi wycieczkę do Pragi na uroczystość Palacky'ego w r. 1898; jechaliśmy w licznem towarzystwie kolegów i członków Rady miejskiej, że zaś musieliśmy czekać kilka godzin na połączenie, a było to w nocy, przeto uprzejmi koledzy mianowali mnie i kolegę Kolbuszowskiego — kwatermistrzami!

Pięknie wyszliśmy na tej funkcji!

Wprawdzie wszystkich uczestników umieściliśmy wygodnie, ale sami znaleźliśmy pomieszczenie w jakimś trzeciorzędnym zajeździe, z którego jeszcze prędzej musieliśmy uciekać przed drobnemi, ale dokuczliwemi istotami. Szczęście, że noc była pogodna i ciepła, a rano dosyć wcześnie można się było wykąpać...

Przerów składa się z wyższego i niższego miasta, ma stary kościół św. Michała na przedmieściu

szynawskiem, kościół św. Wawrzyńca z XIV. w., a na wyższem mieście kościół św. Jerzego (dawniej kaplica królewska). Tu także na wyższem mieście znajduje się pokaźny zamek, obecnie odnowiony i doskonale utrzymany, starożytny ratusz, bardzo charakterystyczne domy etc. Przerów należy do najstarszych osad na Morawach; gród tutejszy podobnie jak ołomuniecki, berneński i znojmski był już w XI. stuleciu siedzibą władz prowincjonalnych. Stanowił on też ważny punkt komunikacyjny; tu krzyżowały się drogi do Ołomuńca i Hranic, do Welehradu, Brodu, do Kromierzyża i t. d. Ottokar drugi odbudował miasto po napadzie tatarskim (1241) i nadał mu miejskie prawo według wzoru Ołomuńca. Rządzili tu panowie ze Stemberka, a później z Pernsteinu; po bitwie pod Tachowem osadzili się tu Taboryci, którzy zapuszczali się stąd zagonami w głąb kraju. Na czele Taborytów stał Wilk pan na Sovincu (Eulenburg), jeden z najsłynniejszych wodzów z czasów walk religijnych. Wreszcie na sejmie berneńskim 1434 stanął kompromis: margrabia Moraw Albert, późniejszy król czeski, dalej biskup ołomuniecki i grono panów, zarówno katolików jak kalikstynów, postanowiło ogłosić zupełną tolerancję religijną i ustalić pokój w kraju. Wówczas Wilk z Sovinca pojednał się z margrabią i rządem, margrabia przebaczył zupełnie jemu i jego stronnikom, miastu zaś pozwolił na ustanowienie księży kalikstynów. Prawem zastawu dostał się później Przerów w ręce Jana z Cymburka, syn zaś tegoż Scibor (Ctibor) przelał swe prawa na Albrechta Kostkę ze Štemberku. W r. 1475 znajduje się Przerów już w ręku panów z Pernsteinu, a mianowicie Wilhelma, jako dziedziczny majątek, w zamian za pewną sumę, wypłaconą królowi Maciejowi węgierskiemu. Nowi właściciele zaopiekowali się miastem bardzo szczerze, nadali mu rozliczne przywileje, tak, że miasto doszło do niebywałego rozkwitu. Już pierwszy właściciel rozpoczął kolonizację

na wielką skalę; osadził wyższe miasto i przedmieścia, umocnił zamek, który w czasie walk religijnych ucierpiał niemało, popierał przemysł, rękodzieło i handel. Miasto tak się wzbogaciło, że pamiętne dawnych praw jako wolne, królewskie miasto, zakupiło od Jana Pernsteina dobra ziemskie za 52.000 złr. Wdał się w to jednak rząd, unieważnił kupno, gdyż Przerów nie był już wolnem, królewskiem miastem, a więc też nie miał prawa nabywania dóbr; miasto musiało odsprzedać swą posiadłość ze stratą 30.000 złr. Fryderykowi z Zierotyna (Żerotin). Panowie z Zierotyna, którzy przyszli po Pernsteinach, opiekowali się również gorliwie miastem, z którem też łączy się pamięć jednego z najdzielniejszych mężów tego grodu i dobrego syna Ojczyzny, słynnego Karola Zierotina.

Był to ród stary i zasłużony. W czasie walk między Przemysławem, margrabią morawskim, a starszym jego bratem Wacławem I. w XIII. w., praojciec tego rodu Wiktor, był z ramienia Przemysława wielkorządcą Ołomuńca, potomek tego rodu Karol, hetmanił szczęśliwie wojskom Karola V. i Ferdynanda I. głównie przeciwko Turkom, Fryderyk oddawał takie same usługi Maksymiljanowi II.. Ale w czasie walk religijnych Zierotinowie, z których najwybitniejszym podówczas był Władysław, znaleźli się po stronie ludu. Kiedy wiernego cesarzowi Wł. Popela złożono z urzędu, jego miejsce w godności hetmana ziemskiego oddały stany morawskie Władysławowi Zierotynowi. Już jako hetman wprowadził „zimowego“ króla Fryderyka z Palatynatu do Berna, gdzie tenże przyjął hołd stanów morawskich w kościele Jezuitów, przemienionym na zbór Jednoty. Wreszcie wierny swej nienawiści do Niemców, po bitwie białogórskiej, udał się z innymi na tułaczkę i został w r. 1622 skazany zaocznie na śmierć i konfiskatę majątku.

Najwybitniejszym jednak przedstawicielem tego rodu był Karol (starszy) syn Jana, gorliwego członka „Jednoty“, urodzony w Brandysie czeskim 14. wrze-

śnia 1564. Był to skończony mąż stanu, który rządził Morawami w najgroźniejszych czasach, działalność jego przypada bowiem na czas walk religijnych między stanami morawskimi, a cesarzem Ferdynandem I. Karol starał się z jednej strony o utrzymanie pokoju między krajem, a cesarzem, z drugiej jednak energicznie bronił praw kraju ojczystego i zwyczaju narodowego, jak świadczy wymownie jego list do magistratu ołomunieckiego z dnia 12. grudnia 1610, w którym jako hetman ziemski wytyka władzom miejskim bezprawne używanie języka niemieckiego w korespondencji z władzami i w aktach publicznych.

W liście tym czytamy:

...„ale otrzymawszy to wasze pismo niemało zdziwiłem się, że takowe nietylko wbrew zwyczajowi tej ziemi i mego urzędu, ale wbrew dotychczasowym naszym zwyczajom *uczynione jest niemieckim językiem*. Powinniście przecież wiedzieć, że w tej to ziemi mamy swój *przyrodzony, własny język*, którego się wstydzić nie potrzebujecie. *Ale my słusznie musielibyśmy się wstydzić, gdybyśmy do tego dopuścili*, by *nasz przyrodzony, tak zacny, starożytny i rozszerzony język, miał być przez cudzą mowę rugowany*. Zrazu chciałem na pismo wasze nie dać żadnej odpowiedzi, ale ze względu na ważność sprawy zmieniłem zdanie, z tem jednak zastrzeżeniem i upomnieniem: ażebyście mi na przyszłość pisywali tylko naszym *przyrodzonym i uprawnionym na Morawach językiem*, czego tem usilniej żądam, że jesteście przedniem i głównem miastem tej ziemi. Gdybyście tego nie uczynili, ja raz dlatego, ażeby nie wykroczyć przeciw miłości, jaką Ojczyźnie winien jestem, powtóre dlatego, ażebym nie pozwolił na zakradanie się szko-

dliwych nowości, w żadne pisanie z Wami, ani w odpowiedzi wdawać się nie będę.

Datum na Rosicich 12. prosince L. P. 1610".[1])

W kilkadziesiąt lat później urzędowano w całym kraju po niemiecku!

Jakkolwiek Karol urodził się w Czechach, całe swe życie poświęcił Morawom, dokąd przybył młodzieńcem; kiedy później widział się zapoznanym, gdy niewdzięczność srodze go dotknęła, postanowił na zawsze opuścić Morawy, a nawet uczynił to chwilowo. Tęsknota jednak przywiodła go z powrotem po kilku latach do kraju, — ostatnie lata życia spędził na zamku w Przerowie, w odosobnieniu, mając przy sobie tylko małe grono przyjaciół. Najważniejszem jego zadaniem w czasie, gdy stał na czele kraju, było zwalczanie wpływów Dietrichsteina, równie jak on energicznego i dzielnego, ale reakcjonisty i przedstawiciela zakusów germanizacyjnych; zadanie było tem trudniejsze, że Zierotin rozumiał szkodliwość wojny domowej i nie pochwalał walki stanów czeskich przeciwko cesarzowi, chcąc praw i swobody religijnej bronić w drodze legalnej.

Zierotin miał myśl istotnie wielką; chciał on, co prawda pod rządem Habsburgów, stworzyć osobne państwo w środkowej Europie, złożone z Czech, Moraw, Śląska, Węgier i Rakuzów; myśli tej jednak nie zrozumiały ani stany czeskie, ani stany morawskie. Dwór wiedeński skrycie przeciw niemu intrygował, a między najzapaleńszymi utrzymywał przekonanie, że Zierotin trzyma z dworem. Podjudzania pomogły i w r. 1619 zaostrzyły się podejrzenia tak, że stany aresztowały Zierotina i internowały go w jego dobrach Rosicach, poczem uchwaliły połączyć się przeciwko cesarzowi ze stanami czeskimi. Mianowanego przez cesarza namiestnika złożono z urzędu, zamianowano 29 dyrektorów (12 ze stanu magnatów,

[1]) Z rozprawy dra Jana Žáčka p. t.: „O národním vývoji Moravy" — w książce p. t.: „O moravě", Praga 1900.

12 ze stanu rycerskiego i 5 z miast) dając im pełną władzę.

Morawy oświadczyły się za rewolucją!

Powodzenie było krótkotrwałe, przewidywania Zierotina spełniły się w całości: — na początku r. 1620 Morawy zmuszone zostały do złożenia hołdu Ferdynandowi, a w następnym roku rozpoczął swą straszliwą działalność sąd cesarski pod przewodnictwem kardynała Dietrichsteina, złożony w przeważnej części z tych, których w Pradze dla ich srogości nazwano „katami“.

Pierwszym zaraz wyrokiem skazano na śmierć i konfiskatę majątków uczestników powstania, między którymi byli przedstawiciele najpierwszych rodów: Władysław Welen z Zierotina, Piotr Sedlnicky z Cholsic, Wacław Bitovsky z Bitova, Wilhelm z Rupowa, Józef Berger z Bergu, Karol Sedelnicky i Jan Adam z Vickova, Jan Odkolek z Oujezda, Jerzy Emeryk Rogendorf, Jan Skrbensky z Hriŝte, Beneŝ Pražma z Bilkova, Jan Jakób hr. Thurn, brat słynnego wodza czeskiego Jana Macieja, Henryk Mitrovsky z Nemisle i Jan Bernard z Kunovic. Na tych jako zbiegów wydano wyrok zaocznie; schwytanych dwunastu dyrektorów rządu krajowego skazano na śmierć zaostrzoną ćwiertowaniem, innych skazano jedynie (!) na ucięcie ręki, na wygnanie, a wszystkim skonfiskowano w części lub w zupełności dobra.

Teraz dopiero wystąpił Zierotin, który dotychczas trzymał się zupełnie na uboczu. Udał się do cesarza i przedstawił mu z szacunkiem, ale i mocą, że taka zemsta nietylko ubliża majestatowi, ale rozgorycza na długie lata całą ludność i uczyni z niej zdecydowanego wroga Habsburgów. Argumenty musiały być przekonywujące, skoro dwór wiedeński natychmiast znacznie złagodniał. Podczas gdy w Czechach pod toporem kata padło 27 głów najszlachetniejszych synów Ojczyzny, tu ułaskawiono zupełnie wielu, a reszcie karę śmierci zmieniono na karę więzienia.

Trzech tylko poniosło śmierć z ręki kata: Fryderyk Tiefenbach stracony w Insbruku, tudzież Blech z Outěchovic i Wacław Bitovsky — jednakowoż ci ostatni z powodu późniejszych przewinień. Ale majątki skonfiskowano! Pięćdziesięciu rodzinom zabrano wszystko, przeszło 300 przeważną część ich mienia. Konfiskaty i kary pieniężne, jakiemi obłożono Czechy i Morawy, są prawie bezprzykładne w dziejach! W Czechach skonfiskowano 491 przeważnie bardzo znacznych majątków, tak, że dobra skonfiskowane wyniosły $^{3}/_{4}$ całego królestwa! Uzyskano za nie 30 miljonów złr., podczas gdy ich faktyczna wartość przedstawiała co najmniej cyfrę 100 miljonów! Na Morawach skonfiskowano 135 majątków zapisanych w „deskach" t. j. księgach ziemskich, zyskując z ich sprzedaży śmiesznie małą kwotę 5 miljonów. Była to olbrzymia klęska narodowa, nietylko ekonomiczna, gdyż miejsce zgniecionej szlachty czeskiej zajął żywioł obcy i wrogi: było to otwarcie szerokiej bramy duchowi butnego, a bezwzględnego germanizmu. Reakcja jaka zapanowała następnie, dotknęła i Zierotina, który wobec szykan, na jakie był co chwila narażony, sprzedał wszystko prócz Przerowa Albrechtowi z Waldsteinu. W Przerowie przebył ostatnie swe lata i tu zmarł 1636 r.; zwłoki jego spoczęły w rodzinnym Brandysie nad Orlicą. Konał płacząc nad ukochaną Ojczyzną!

Wielkorządca Moraw kardynał Dietrichstein ścigał nietylko protestantów, ale gorliwie germanizował słowiańską ziemię. Wydano nowy statut krajowy, w którym wyrzeczono zasadę dziedzictwa tronu panującego domu Habsburgów, a cesarz nie pytając się o zgodę stanów, kazał wnet koronować swego syna Ferdynanda III. Sejmom odebrano prawo inicjatywy, obniżając je do poziomu sejmów postulatowych, władca przywłaszczył sobie prawo dowolnego prowadzenia wojny, nakładania danin, obsadzania urzędów, dotychczasową wyłączność języka czeskiego złamano, przyznając językowi niemieckiemu

zrazu równouprawnienie, później stanowczą przewagę, a w końcu wyłączność. Sejm morawski przyjął to wszystko w milczeniu i przygnębieniu. Przeciwko samowoli cesarskiej zaprotestował tylko jeden członek stanów, Zdenko hr. z Żampachu, „jako że był zawsze wiernym katolikiem i nieodstępnym stronnikiem rodu Habsburskiego i nie wie, za co miałby pokutować“.

Odosobniony ten głos przebrzmiał bez echa!

Samorząd Moraw został zdeptany...

W Przerowie przypomina się jeszcze jedna postać, głośna nietylko na Morawach, ale i w całej Europie, a raczej w całym świecie: Jana Amosa Komensky'ego [1]) głośnego pedagoga, któremu wdzięczne miasto postawiło skromny, ale piękny pomnik. Autor „Labiryntu świata“, który i w Polsce długo gościł, był tu przez dłuższy czas rektorem szkoły Jednoty, jak długo rozporządzenia Dietrichsteina nie zmusiły go szukać przytułku za granicami kraju. Komensky był jednym z filarów Jednoty, która na Morawach zyskała licznych zwolenników, nietylko między ludem i mieszczaństwem, ale i między najpoważniejszą szlachtą, która w niej widziała tarczę przeciwko germanizacji. Główną podstawą ich wiary było pismo św.; Sakrament ołtarza przyjmowali pod

[1]) Gdy się rozpoczęły prześladowania w krajach czeskich, wysłali współwyznawcy Komeniusza do Polski, ażeby wyrobił im gościnę. Komeniusz wnet po przybyciu do Polski (1625) przyjęty został serdecznie w Lesznie, gdzie był najpierw nauczycielem języka łacińskiego, a później rektorem szkół. Tutaj ułożył nowy system nauk, który przedstawił w książce p. t.: *Janua linguarum reserata*. Książka przełożoną została nietylko na wszystkie języki europejskie, ale na języki: arabski, perski, turecki, mongolski i grecki. Tego ostatniego tłumaczenia dokonał uczony nasz Teodor Simonis. Książka weszła w powszechne użycie i rozsławiła imię Komeniusza. Urodzony 1592 † 1670 w Amsterdamie, pochowany w kościele w Naarden. Wiele pism jego do dziś dnia czyta lud czeski, szczególniej „Labirynt“ i „Światło w ciemności“, książkę zawierającą jego marzenia i przepowiednie.

obu postaciami, ale tylko jako symbol duchowego oczyszczenia. Wartość sakramentu czynili zawisłą od godności udzielającego, otrzymawszy więc chrzest z rąk księdza katolickiego, chrzcili się powtórnie. Od wiernych wymagano skromnego, porządnego życia, powstrzymania się od nadużyć, zabaw głośnych, uczt i wina, od lichwy, a natomiast świadczenia miłosierdzia w najszerszym zakresie. Kościelna organizacja kulminowała w zborze; kapłanem mógł być każdy członek Jednoty, który czuł powołanie. Załawianie spraw bieżących poruczano „wyborowi" z 10—12 ludzi, ze „starszym" na czele, który też wyświęcał kapłanów. Morawscy bracia Jednoty byli mniej surowi, niż czescy; licząc się z faktycznymi stosunkami i chcąc uniknąć prześladowań, dozwalali składania przysięgi, posiadania dóbr, przyjmowania urzędów, co wszystko czescy bracia odrzucali. Cieszyli się też protekcją panów z Tovačova, z Cymburka, z Zierotyna, z Pernsteinu etc. Niemniej przeto nie uniknęli prześladowania, zwłaszcza, że się stali rozsadnikami sekciarstwa; na Morawach obok Jednoty, luteranów i kielichowców, powstały zbory Nowochrzczeńców, Mikulaszowców, Sobotników, Socynianów, Sławikowców etc. etc. Gdy prześladowanie wzmagało się, uciekali za granicę, przeważnie do gościnnej Polski, gdy ustawało, powracali korzystając z opieki i przychylności możnych panów. Gdy na sejmie w Bernie cesarz Ferdynand zapowiedział szereg nowych środków celem zgniecenia Jednoty, najwyższy dostojnik ziemski, hetman Moraw Wacław z Ludanic, patrząc w oczy cesarzowi zawołał:

„Dam raczej gardło pod topór, niż sobie pozwolę wydrzeć wiarę! Pierwiej zginą Morawy w ogniu i popiele, niż ścierpią gwałt w rzeczach sumienia". Cały sejm z wyjątkiem 7 członków solidaryzował się z tym głosem i Ferdynand musiał na razie porzucić swe zamiary. Tem srożej przeprowadził je później! Przerów był jednem z głównych ognisk Jednoty;

„starsi“ rezydowali tu od początku XVI. wieku a w latach 1549—1594 odbyto tu dwanaście zborów tu też była jedna z głównych szkół brackich; z ojca mieszczanina Blażka, urodził się Jan, zwany Blahoslawem, który zasłynął jako nauczyciel i mowca przełożył Nowy Testament, dbał o wyrobienie i czystość języka w mowie i piśmie, a później znalazł przytułek w Polsce, razem ze znanym agitatorem Jednoty, Jerzym Izraelem. Szkołą przerowską kierował Jan Amos Komensky w czasie od 1614—1616. Po bitwie białogórskiej powrócił Przerów na łono katolicyzmu.

Z zamkiem przerowskim i nazwiskiem Karola Zierotina, łączy się wspomnienie słynnej Krystyny Poniatowskiej, która w oczach husytów uchodziła za prorokinię. Ojciec jej, szlachcic polski z Duchnik, Juljan, był fantastą religijnym; szlachcic, ksiądz, mnich, fanatyk katolickiej prawdy, stał się nagle odstępcą i gorliwym zwolennikiem braci czeskich. Został u nich kapłanem i ożenił się z husytką również, polką Zofią na Wierzbnie Pawłowską, ze znacznej rodziny wielkopolskiej. Pawłowscy byli w krewieństwie z Leszczyńskimi, a jeden z ich rodu, Stanisław Pawłowski, biskup ołomuniecki, o którym wspomnieliśmy już, wsławił się w dziejach dyplomacji dworu austrjackiego. Z małżeństwa tego pochodziła córka Krystyna, urodzona 4. marca 1610 r. Zierotin wezwał Poniatowskiego na swój dwór, i uczynił go zarządcą biblioteki; tu też spędziła Krystyna najpiękniejsze swe lata. Kiedy Poniatowski, jako heretyk, wobec edyktu cesarza musiał z Moraw uchodzić, po śmierci żony, oddał Krystynę pod opiekę br. Zarębiny, pani na morawskim zamku Brańce. Tu zaczęły się jasnowidzenia fanatycznej dziewczyny, a głos ogółu obwołał ją prorokinią. Wśród napadów histerycznych wypowiadała najdziwaczniejsze poglądy i proroctwa, które pastorowie husyccy skrzętnie zapisywali. Po jakimś czasie, ojciec zabrał ją znów do

siebie (był gościem Zierotina, licząc na jego potężną opiekę) gdzie bracia czescy czcili ją jak świętą, zwracali na nią oczy trwogi, nadziei, niespokojności i szczęścia. Tą samą czcią otaczali ją po powrocie do Polski egzulowie czescy, a w ich liczbie nawet tak światły nad wiek swój człowiek, jak Komenski. Po jej przybyciu do Leszna, potroiła się emigracja czeska do Polski. Jan Amos Komenski był powiernikiem jej serca, uczuć, był poświęcającym się i szczerym jej przyjacielem. Faktem zaś jest, że przepowiedziała tragiczną śmierć Wallensteina, interwencję szwedzką, a wreszcie i rodzaj własnej śmierci, która nastąpiła 27. stycznia 1629 r. Tymczasem, jak się później okazało, był to tylko letarg; odtąd jednak ustała jej prorocza czynność, natomiast odzyskała zupełnie zdrowie. Wybladłe dotąd policzki nabrały krasy, a w 19-letniej dzieweczce kochała się cała młodzież, którą jednak Krystyna traktowała obojętnie. Dopiero ulegając radom pastora czeskiego Daniela Vettera, który był wychowawcą syna „króla zimowego", a później osiadł w Polsce, oddała swą rękę pastorowi Wawrzyńcowi Justynowi. Lat dwanaście żyła z mężem, dobrocią swą i czułością stwarzając mu raj na ziemi; zmarła 6. grudnia 1644 osierocając dwóch synów i córkę. Pochowano ją z wielką pompą. W dziejach braci czeskich w W. Polsce i nawet w dziejach reformy, zajmuje ona ważne miejsce przez wpływ swój i potęgę, jaką wywierała wokoło. „Musiała to być kobieta czarów, bo działała jakby czarami"[1]).

W okolicy Przerowa, leżą dwie miejscowości godne widzenia, ze względu na piękne swe położenie: Bystrzyca, posiadająca piękny pałac z XVIII. wieku i ładnie urządzony zakład leczniczo-kąpielowy, słynny z wybornej żętycy, wyrabianej w zakładach rotałowskich i Holeszów. Pomiędzy niemi widnieje góra Hostyń, nazwą swą przypominająca

[1]) Porównaj: Julian Bartoszewicz — Studja historyczne i literackie. Tom I. Kraków 1880.

znaczenie gościnności u Słowian. Dokument Brzetysława I. z r. 1030, nazywa tę górę „Gospina“. W czasie napadu Mongołów skryli się tu mieszkańcy i dzięki pomocy Najśw. Panny bronili się tak długo, aż przyszła odsiecz pod wodzą bohaterskiego Jarosława ze Štenberka i pobiwszy dzicz, ocaliła nieszczęśliwych. W podaniu tem niewątpliwie jest wiele prawdy, faktem zaś, że już w pierwszej połowie XIII. wieku, stała tu kaplica poświęcona czci Matki Boskiej i ściągała liczne tłumy pobożnych. W latach 1721—1748 stanął tu staraniem hr. Jana Rottala piękny kościół w stylu romańskim; spłonął jednak niebawem i popadł w ruinę. Słynącą cudami figurę M. Boskiej, przeniesiono do kościoła w Bystrzycy, co jednak nie powstrzymało pielgrzymek do miejsca:

„Kde Matka Boží -tu divy tvoří“.

Lud, jak dawniej płynął wielką falą, składał cent do centa, aż wreszcie zebrały się fundusze na godne odrestaurowanie kościoła, który w r. 1845 ponownie poświęcono. Od r. 1887 zarządzają kościołem OO. Jezuici i dzięki im stał on się wspaniałym, godnym Boga przybytkiem. Hostyń nie jest tak imponującym jak Radhošt, niemniej przeto widok z niego rozległy i piękny na pograniczne od Węgier Karpaty, na doliny Beczwy i Morawy; niemal trzecią część morawskich ziem objąć stąd można wzrokiem — od wzgórz starego Iczyna po Grajgórę obok Berna.

Na południe od Hostynia leży nad rzeczką Rusawą miasto Holeszów, wcale ładne, liczące około 6500 mieszkańców, wśród których jak na stosunki morawskie, bardzo wielu żydów, którzy stanowią $^1/_5$ ogółu mieszkańców. Piękny kościół parafjalny zbudował dawny pan tej włości, hr. Rottal; Holeszów był dawniej majątkiem biskupstwa ołomunieckiego w XVI. wieku dzierżyli go panowie ze Šternberka. Husyci i Jednota mieli tu licznych zwolenników, od czasu jednak gdy dobra objął w posiadanie gorliwy katolik pan Władysław Popel z Lobkovic, rozpoczęło

się prześladowanie sekciarzy. Z miastem łączy się wspomnienie gorliwego proboszcza, błog. J a n a S a r k a n d r a, który niewinnie posądzony wycierpiał wielkie męki, wspomnienie tem więcej interesujące, że się łączy z smutnej sławy działalnością na Morawach naszych Lisowczyków. Odważne czyny tych mężnych, ale zdziczałych żołnierzy znane są z dziejów, ale swawola przywykłego do łotrowania kozactwa w Czechach i na Morawach, skaziła pięknie nabytą w Rosji sławę. Pamięć tych walecznych, ale okrutnych czynów przechowała się w pieśni, długo przez lud śpiewanej: *„Pogoń Czechów i Kalwinistów przez Lisowczyki"*.

Sarkander, urodzony na Śląsku z matki Polki (Goreckiej), ukończył szkoły i seminarjum duchowne w Gracu, poczem objął posadę wikarego u swego brata Mikołaja, proboszcza w Opawie. Zostawszy następnie proboszczem w Holeszowie, odbył pielgrzymkę do Częstochowy i z wielką gorliwością pracował w swej parafji; był więc solą w oku protestantom. Gdy Zygmunt III. posłał na pomoc cesarzowi 4000 Lisowczyków, pod wodzą Wojciecha Kleczkowskiego, ci ruszyli przez Morawy, pustosząc dobra protestantów i katolików. Złupili Bystrzycę jako własność protestanta pana Bitovsky'ego i zamierzali to samo uczynić z Holeszowem. Wówczas to ks. Sarkander, pragnąc ocalić miasto i ludność, wyszedł procesjonalnie naprzeciw nieprzyjaciela, a niósł w ręku podobiznę Najśw. Panny Częstochowskiej. Widok świętego obrazu tak dobrze im znanego, polskie słowa prośby w ustach kapłana, wszystko to sprawiło, że srodzy wojownicy obeszli Holeszów, nie czyniąc nijakiej szkody. Protestanci, zamiast mu dziękować, oskarżyli proboszcza o stosunki z najezdźcami: powołano więc Sarkandra na sąd w Bernie, po drodze jednak pochwycono go w Tovačovie i odstawiono do Ołomuńca. Tu, chcąc wymusić na nim przyznanie się do zdradzieckich z wrogiem stosun-

ków, męczono go okrutnie przez pięć dni. Sarkander zapewniał nieustannie o swej niewinności, a niebawem zmarł skutkiem wycierpianych mąk (1620). Gdy katolicy ujęli się za nim, zfanatyzowany tłum protestancki rzucił się na klasztory i kościoły, mordował lub więził mnichów i księży, rabował poświęcone sprzęty. Stało się to w przeddzień przybycia do Ołomuńca króla „Zimowego". Ciało Sarkandra złożyli katolicy w ołomunieckim kościele św. Michała; w roku 1754 polecił Rzym rozpocząć proces kanoniczny, a 6. maja 1860 zaliczony został Sarkander w poczet błogosławionych. Czczony jest na Morawach, a szczególniej na Śląsku.

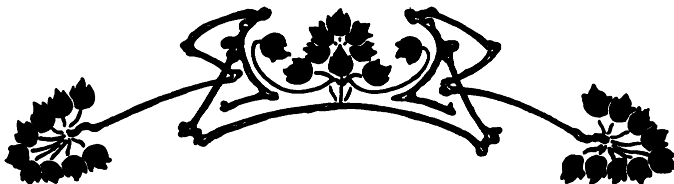
. . . .

W farnym kościele holeszowskim wysoce godną widzenia jest t. zw. „Czarna kaplica", zbudowana ofiarnością Antoniego hr. Rottala r. 1784. Ściany jej zrobione są ze sztucznego szarego marmuru, pilastry czarne, ze złoceniami na kapitelach i u dołu. Znajduje się tu wspaniały ołtarz, „Chrystus w ogrojcu", dzieło Józefa Antoniego Frica, znakomitego morawskiego rzeźbiarza w XVIII. w., ucznia słynnego wiedeńskiego mistrza Jerzego Rafaela Donnera, następnie zaś mistrzów włoskich. Chrystus przedstawiony jest tu w chwili najgłębszego smutku, w przeczuciu męczeńskiej śmierci, twarz jego wyszlachetniona boską ciężką boleścią, ciało jego omdlałe opada, ale podtrzymuje je anioł przecudnej piękności. Nad postaciami zdają się szumieć korony palmy i cedru, które stanowią tło i granice rzeźby; z niebios, zaznaczonych zaledwie kilkoma obłokami, a przecież szerokich i dalekich, zstępują chóry anielskie, wśród których łagodnie spływający posłannik Boży, trzyma w dłoniach kielich goryczy. Za palmą i cedrem znużeni śpią uczniowie Chrystusa; z kolumn ołtarza spoglądają na całą tę scenę dwaj aniołowie smutku. Wszystko to sprawia razem nadzwyczajnie potężne wrażenie, zarówno głębokością pomysłu, jak czy-

stością i dokładnością wykonania. Mniejsze wrażenie sprawia drugi ołtarz w tej samej kaplicy, na którym dwaj aniołowie trzymają w rękach malowany obraz Ukrzyżowanego; natomiast bardzo piękne są podobizny hr. A. Rottala i jego pierwszej małżonki Marji Cecylji, w naturalnej wielkości, również dzieło znakomitego talentu, jakim Frič był niewątpliwie.

Kościół holeszowski jest wogóle bogaty w piękne rzeźby; w głównym ołtarzu jest barokowa rzeźba berneńskiego artysty Schaubergera, „Wniebowzięcie Marji Panny“.





IV.

Hana i Hanacy.

Błogosławiona kraina; słowa Sobieskiego; granice Hany; Hanacy u siebie; stopień oświaty i zamożności; właściwości charakteru; przemysł, handel i rolnictwo na Morawach; dawniej a dziś; organizacje ziemian; wioska i dom; duma; stroje ludowe; Kromierzyż; pałac arcybiskupi i wspomnienie Smolki; ogrody; Bruno, kanclerz Ottokara; miasto; dwóch słynnych Janów: Milič i biskup „Żelazny“.



„Co do kraju, nie masz w świecie nic równego; ziemia lepsza niż w Ukrainie, gęstość taka kup w polu, że temu nikt, nic, nigdzie podobnego nie widział“. Temi słowy wyraża się o Hanie nasz Sobieski, w liście pisanym stąd do ukochanej swej Marysieńki, „29. augusta przed północą“ r. 1682.

Jak te słowa listu, pisanego w pochodzie wojennym, doskonale charakteryzują króla-rycerza, szlachcica-gospodarza! Idzie bić nieprzeliczone tureckie zastępy, a po drodze liczy kopy w polu!

Nazwę krainy dała rzeka Hana, (lub Hona, jak ją dawniej zwano), która od starego i znanego w dziejach Moraw miasta Wyszkowa (w ręku arcybiskupów ołomunieckich od r. 1248!) płynie dużym łukiem w kierunku północno-wschodnim ku Morawie,

łącząc się z nią pod Kojetynem. Ziemia ta słynie od dawna żyznością, a stosunki gospodarcze poprawiły się znacznie jeszcze od r. 1816, gdy uregulowano kapryśną Hanę i ubezpieczono jej brzegi. Zarówno schludne, piękne wioski, jak i ludzie, zdradzają na pierwszy rzut oka, że tu mieszka dobrobyt, to też w całym kraju powtarzają włościanie z westchnieniem:

„Kdyby nám bylo jak je Hanakum...“

Granice Hany dadzą się zakreślić linjami pociągniętemi od Lipnika do Ołomuńca, stąd do Wyszkowa, przez Kromierzyż do Lipnika; obejmuje ona polityczne okręgi w całości lub w części: litowelski, ząbrzeski, ołomuniecki, prościejowski, wyszkowski, kromierzyski, przerowski, lipnicki i holeszowski. Hanaków liczą na 600.000; stanowią oni lud dzielny, jak to mówią, do tańca i różańca, umieją i chcą pracować, są zamiłowanymi gospodarzami, odżywiają się dobrze. Biały pszeniczny chleb, smaczne buchty, świnina i piwo, to zwykła zastawa stołu lepiej sytuowanego Hanaka. Są oni bardzo gościnni, skłonni nawet na tym punkcie do pewnego zbytku, syci, więc weseli, śpiewają też przy każdej sposobności. Ale zabawa nie przeszkadza pracy, bo to pierwszy przykaz w Hanie, a choć się bawią i pracują, znajdą przecież czas na kształcenie się. W każdej prawie chacie znajdą się obok pisma miejscowego *Hlasy z Hane,* jeszcze *Narodni Listy,* lub częściej *Narodni Politika.* Jest to zresztą rzeczą bardzo naturalną, gdy się zważy, że wielu z tych chłopów-gospodarzy ukończyło szkoły średnie, a są nawet ukończeni technicy i słuchacze akademji rolniczej, którzy po ukończeniu studjów, pracują jak inni, na swej roli. Koledzy morawscy zapewniali nas, że wśród hanackich chłopów jest wiele talentów prawdziwie literackich; oni też zasilają czasopisma miejscowe w Przerowie, Prościejowie i Ołomuńcu swemi pracami. Chłop hanacki posiada przeciętnie 40 morgów pola, a wartość

gospodarstwa takiego, oblicza p. Smólski[1]) na 60–80.000 kor. Zajmują się oni nie tylko rolnictwem, ale i hodowlą bydła i wzorowo prowadzonem gospodarstwem mlecznem. Duch asocjacji żyje tu w całej pełni, prowadzą wspólnie słodownie i cukrownie, mają instytucje finansowe, umożliwiające im zdrowy, bo tani kredyt. Nie masz jednej gałęzi przemysłu rolniczego, którejby tu dziś, najczęściej wspólnie, nie uprawiano — dość spojrzeć na jedną z wystaw, które morawscy włościanie często w swych miastach urządzają, ażeby się o tem przekonać.

Hanacy lubują się w pięknych koniach; każdy majętniejszy gospodarz ma kocz i przynajmniej cztery zaprzęgowe konie, są oni także wybornymi jeźdźcami; nigdzie też na Morawach chów koni nie stoi na takiej wyżynie, jak tu. Hanacy są bardzo dowcipni, jednak bez złośliwości — urodzeni humoryści! Daje się to odczuć przedewszystkiem w ich pieśniach. Najchętniej śmieją się ze wszystkiego co obce, to bowiem, co za Haną leży, musi być śmieszne! Dalszą właściwością Hanaka jest, że gardzi kłamstwem i sam się do niego nigdy nie ucieka; wyborny znawca charakteru ludowego Hanaków p. Bystřina twierdzi, że na pierwszy rzut oka Hanak z kłamstwem się zdradzi: albo parsknie śmiechem, albo się tak zażenuje, że nie potrafi słowa wymówić. Hanak jest człowiekiem rozwagi i konserwatystą, nowa myśl nie szybko trafi do niego, ale raz ją przyjąwszy — wykona. Wymownym tego dowodem jest zwycięzki bój o wydarcie z paszczy germanizmu miast jak Litowel, Wyszków i Prościejów, w których ludność niemiecka kurczy się czemraz gwałtowniej. Hanak nie szuka niebezpieczeństwa, ale też nie schodzi mu z drogi, to też armija ma w nim wyborowy materjał. Chłop hanacki jest typowym arystokratą, takim jakiego my nawet, naród o arystokratycznej przeszłości,

[1]) G. Smólski: Świat Słowiański t. II., zeszyt 24.

nie znamy. Dawniej zajmował się wyłącznie rolnictwem, dziś już i od przemysłu nie stroni, co znakomicie wpłynęło na rozwój miast hanackich.

Do niedawna Morawianie byli w przemyśle i handlu o wiele słabsi od Niemców; Morawa co do darów przyrody jest istotnie błogosławioną krainą i dlatego właśnie niemieckie kruki tak ją obsiadły. Ponieważ jednak pierwotna ich kolonizacja z natury rzeczy musiała się odbywać na mniej żyznych obszarach, przeto też wcześniej wzięli się do przemysłu i handlu; że zaś zostawali w związku z macierzystą ziemią, osiadając głównie na jej pograniczu, przeto czynność ich była ułatwioną. Przemysł i handel grupujący się w miastach niemieckich, cieszył się od wieków ogromnymi przywilejami i opieką rządu, lud morawski nie miał więc ani w przemyśle, ani w handlu rodzimych tradycyj, nie miał w sobie dziedzicznych zarodków; zajęty wyłącznie sobą, zaskoczony został nagle nową, przemysłowo-handlową erą. To też pierwsze usiłowania Czechów morawskich na polu podniesienia i rozwinięcia przemysłu były bardzo niefortunne; przedsiębiorstwa upadały jedno po drugiem, obcy kapitał „sanował“ je i robił znakomite interesy. Rząd wiedeński sam się o to starał, ażeby Czechów trzymać zdala od przemysłu, jak świadczy sprawa utworzenia techniki. Pamiętny sejm morawski w r. 1848—1849, uchwalił na posiedzeniu dnia 24. stycznia 1849 utworzenie techniki, przeznaczając na ten cel z funduszów krajowych 120.000 złr. m. k., domagając się równocześnie najszerszego równouprawnienia obu języków krajowych. Rząd wziął pieniądze i założył technikę wyłącznie niemiecką; pół wieku walki trzeba było, nim się rząd zdecydował spełnić swój obowiązek i założyć czeską technikę (1899), która dziś już pięknie się rozwija i liczy przeszło 350 uczniów. Dziś już można stwierdzić, że czeska technika o dziesiątki lat popchnęła naprzód rozwój przemysłu czeskiego.

Natomiast rolnictwo, mające wiekową za sobą tradycję, stoi bardzo wysoko, w czem wielka jest zasługa rolniczej Rady czeskiej, utworzonej w r. 1897. Wielkie zwłaszcza zasługi dla kraju w tym kierunku ma znakomity rolnik z Krzenowic Jan Rozkoszny, prezes Rady czeskiej, poseł na sejm i do parlamentu, a zarazem członek ogólnej Rady rolniczej dla Moraw. Budżet własny ogólnej Rady rolniczej na rok 1905 wynosił w dziale zapotrzebowania 197.921 kor., z czego dla zarządu centralnego 36.492, dla oddziału czeskiego 79.303 kor., niemieckiego 50.809, a dla stacji doświadczalnej 31.317 kor. W roku 1905 otrzymała Rada rolnicza ze strony państwa 235.340 kor., a ze strony kraju 166.750, łącznie ze stypendjami. Subwencje te dzielą się według klucza 71 (Czesi) i 29 (Niemcy) z pewnymi jednak wyjątkami. I tak subwencje dla winiarzy, dzielą się według klucza 56:44, dla chmielarzy natomiast według klucza 100:0.

Oprócz tego istnieją jeszcze dwie inne organizacje rolnicze, a mianowicie: *Čes. hospodář. společnost pro m. Mor.*, również pod wodzą Rozkosznego i t. zw. *Ústř. svaz česk. hospod. společenstv v marg. mor.*, a więc Związek związków, świetna organizacja rolniczo-przemysłowa dzieląca się na specjalne sekcje jak: dla mleczarstwa, hodowli bydła, przemysłu rolniczego etc. etc., na którego czele również stoi Jan Rozkoszny. Z końcem r. 1904 liczył ten związek 592 członków z 1081 udziałami. Obrót w r. 1904 wynosił 79,433.608 koron! W konsolidacji w swem ręku przemysłu rolniczego Czesi postępują bajecznie naprzód, a ich szkolnictwo rolnicze może istotnie za wzór służyć.

Powróćmy jednak do wsi hanackiej, „wsi spokojnej i wesołej“ bo zamożnej, a schludnej. Włościańskie chaty, to właściwie dworzyszcza, obszerne, piękne, często zbytkownie urządzone; nie brak tu ładnej stołowej zastawy, obrazów, zwierciadeł, nie brak kredensu, ale też nie brak i szafy z książkami,

często fortepianu, są i fotele i kanapy i stoły i [illegible] szyny do szycia i haftu i krosna i zegar ście[illegible] a dokoła domu jest ogród pełen kwiatów i ja[illegible] i sad dający smakowite owoce. Również budy[illegible] gospodarskie, stajnie, wozownie, stodoły — wyg[illegible] dają jak cacka. I cóż dziwnego, że Hanak śpie[illegible] sobie:

„Me sme me, a néni nad nas
vidite to po mně!
o nas rostó tisicovke,
na každičkym stromě!
Svět e nebe si nás váži
a dež „Hanák“ řekneš —
iste jako před hrabětem,
baranico smekneš“.

(A. Přikryl).

Hanacy stanowią osobny typ ludności, różniący się znacznie od ich sąsiadów Wołochów i Słowaków; Hanacy są średniego wzrostu, krępi, rysy twarzy mają ostre; na pierwszy rzut oka typowi Hanacy uderzają sposobem noszenia włosów: z przodu równo nad czołem ucięte, spadają dawnym obyczajem słowiańskim z tyłu aż na szyję. Kobiety zdrowe, jędrne, przeważnie zażywne, noszą się strojnie, choć mniej jaskrawo jak Słowaczki. Na głowie noszą zawój związany tak, że końce chusty odstają na kształt uszu ludzkich; spodnicę bogato fałdowaną kryje fartuszek najczęściej barwny, stanik również kolorowy ściśle przylega do ciała i bywa zazwyczaj lamowany złocistą wstążką. Jest on krótki, tak, że pomiędzy nim a spodnicą, widnieje pasek biały, lnianej koszuli. Kryzy na szyi i u rękawów bywają z żółtej lub szamowej koronki, wysokie buciki zdobne są wstążkami. Trzewiczki te, to najczęściej zbytek toaletowy; zazwyczaj noszą Hanaczki buciki z podkówkami. Dawniej nosiły dziewczęta wysokie, złotem tkane korony, zwane *„pantlikami“*, przez pierś zaś na krzyż związane chustki czerwone. Mężczyzni noszą czerwone lub czerwono-brązowe spodnie, spięte pasem

często srebrem wybijanym, buty sztywne i wysokie. Spodnie, u starszych zwłaszcza gospodarzy, są bardzo szerokie i poniżej kolan silnie spięte; według mody staro-hanackiej winny one być tak obszerne, „ażeby od bioder do kolan mogły objąć pół miary pszenicy, a tak ciasno związane, by i ziarnko wypaść nie mogło..." Na koszulę ubierają zielone lub modre serdaczki, ozdobione metalowymi guzikami i pięknie z przodu wyszywane. Na to wszystko ubierają kurtę (karcika) modrą lub zieloną albo krótki kożuszek barankowy; na głowie filcowy kapelusz o szerokich krysach, zdobny wstążką i pawiemi piórami — dopełnia stroju. Był też Hanak zawsze dumny ze swego stroju, jak świadczy piosenka:

„Hanák ma červeny gatě — to se o něm vi,
On se muže verovnati jeneralovi!
Jenerali si jich majó dež parádo držіvajó,
A Hanáce pře své práce jich oževajó".

Po polsku brzmiało by to tak:

Hanak ma czerwone spodnie, to wam każdy powie,
Nie gorzej się zatem stroi jak generałowie...
Generał je wdziewa tylko kiedy paraduje,
Hanak zaś, w czerwonych spodniach i w polu
[pracuje!

Piosnkę śpiewają i dziś, ale piękne stroje hanackie giną w czemraz szybszem tempie; w większej ilości można je widzieć jedynie na odpustach, uroczystościach narodowych, huczniejszych weselach — i w muzeach licznie rozsianych po całym kraju.

Szkoda!

Kto zabłądzi do hanackiej krainy, powinien odwiedzić Kromierzyż [1]) (najłatwiej z Hulina). Nazwa miasta związana jest nierozłącznie z pierwszymi przebłyskami wolności w monarchji Habsburgów, z nazwiskiem Smolki — i z zawiedzionemi następnie

[1]) Używam nazwy Kromierzyż (Kroměříž) jako odpowiadającej pisowni czeskiej. Smolka listy swe datował z „Kromieżyrza".

nadziejami! Letnia rezydencja możnych biskupów i arcybiskupów ołomunieckich, rozłożyła się na żyznej równinie, na prawym brzegu Morawy, niedaleko ujścia Beczwy i Hany. Sercem schludnego i miłego miasteczka jest plac zamkowy, z pałacem arcybiskupa, przytykającym do wspaniałego, choć obecnie nieco zaniedbanego wielkiego parku.

Pałac w stylu włoskim, obszerny i poważny, wykończony został r. 1711; ma kształt czworoboku z występującemi skrzydłami, od strony miasta dwu- od parku trzy-piętrowy. Sale pałacu urządzone są z książęcym przepychem, szczególnie sale pierwszego piętra. Od strony parku znajduje się olbrzymia, wysoka na dwa piętra sala, z portretem ks. biskupa Hamiltona, w której od 15. listopada 1848 do 7. marca 1849, obradował sejm austrjacki.

Sala piękna, ale piękniejsze, a bardzo pouczające wspomnienia. Zdało mi się, że widzę przed sobą posłów, którzy tu siedzieli, a pomiędzy nimi Adama Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Zdzisława Zamoyskiego, Florjana Ziemiałkowskiego, Tytusa Dzieduszyckiego, Walerjana Podlewskiego, Marjana Dylewskiego z jednej, dwóch Franciszków: Palacky'ego i Stadiona z drugiej strony; słyszę rozprawy, którym przewodniczy Smolka, zimny, spokojny, nie tracący nigdy równowagi, panujący nad sobą i nad całym tym rozgrzanym tłumem!

Gdy w Wiedniu dalsze trwanie sejmu okazało się niemożliwem, powstała kwestja, gdzie mają być przeniesione obrady? Przedewszystkiem myślano o Bernie, sprzeciwił się temu dwór, twierdząc, że w czasie rewolucji wiedeńskiej stolica Moraw, aż nadto usprawiedliwiła przezwisko jakie jej już dawno nadano: „przedmieścia Wiednia". Nie tylko bowiem gwardja berneńska gotowa była iść z pomocą wiedeńskiej, ale i w sejmie morawskim panowało usposobienie przychylne dla wiedeńskiej rewolucji. Myślano o Pradze, ale tu znalazły się wątpliwości na tle

narodowościowem, chwycono się więc myśli podsuniętej przez Palacky'ego i zwołano sejm do Kromierzyża. Tu zdobył sobie Smolka niespożytą sławę; był on żywym przykładem, jak, będąc z przekonania członkiem skrajnej lewicy, można być zarazem bezstronnym przewodnikiem. „Nie poparcie ministrów, nie skłonność któregokolwiek stronnictwa, nie usilność przyjaciół, nie pokątne zabiegi wyniosły go na marszałkowski stolec, — ale owa wewnętrzna siła moralna, jaka nawet u złych i zepsutych znajduje cześć i uznanie. Sejm ustawodawczy nie mógł lepszego uczynić wyboru“ [1]).

Tutaj to, wbrew zakusom partji dworskiej, Smolka przeprowadził urzędowne stwierdzenie ciągłości sesji, a więc i t. zw. permanencji Sejmu od 6. października do 1. listopada we Wiedniu. Dlatego stenograficzny protokół pierszego posiedzenia w Kromierzyżu ma porządkowy numer 53. Tu w dniu 22. listopada Smolka wybrany został 131 głosami marszałkiem, przez co sejm uznał wszystko, co się we Wiedniu z polecenia Smolki stało, jako ważne i obowiązujące. Tu w dniu 26. listopada, dwór korząc się przed wolą reprezentacji, nakazał Smolce oddawać honory wojskowe, składać mu wizyty przez dostojników cywilnych i wojskowych i t. d. Tu w dniu 2. grudnia otrzymał Smolka ową historyczną depeszę z Ołomuńca, ażeby zwołał na 12 godzinę posiedzenie, gdyż ministerjum ma zakomunikować Izbie „ważną wiadomość“. Była to wiadomość o zrzeczeniu się tronu cesarza Ferdynanda, a wstąpieniu na tron Franciszka Józefa I.!

I tu znowu, w tej sali, stał się fakt, świadczący o energji i bystrości Smolki. Manifest nowego cesarza zaczynał się od słów; *„My Fr. J. z Bożej łaski cesarz i t. d.“*, co wywołało niepokój w sejmie, tembardziej, że Ferdynand pisał się od czasu rewolucji

[1]) L. Borkowski: Sejm ustawodawczy rakuski II. Poznań 1850 u I. K. Żupańskiego.

„konstytucyjnym“ cesarzem. Smolka wybawił wnet sejm z kłopotu, albowiem po przeczytaniu manifestu zawołał: „Przyjmijmy to orędzie okrzykiem: konstytucyjny cesarz Fr. Józef niech żyje!“ Izba odpowiedziała oklaskami!

Stąd pojechał Smolka na powitanie nowego cesarza do Ołomuńca, a później na pożegnanie starego do Pragi...

Nie brak więc momentów pamiętnych i to pierwszorzędnego historycznego znaczenia. W liście do żony, dnia 26. listopada 1848, pisze Smolka:

...„Ja mieszkam teraz w zamku (t. j. w pałacu arcybiskupim) mam piękny pokój, jednak nie jestem kontent, albowiem nigdy nie mogę być sam dla siebie, a zresztą są niedogodności. Wolałbym mieszkać w prywatnym domu, a płacę tu tyle, co gdzieindziej... Lokalności w zamku są prawdziwie książęce, park cudny, w lecie musi to być istny raj; gdybyśmy tu przez wiosnę zostać mieli, to jak będzie, tak będzie, musisz przyjechać, albowiem nie mogę sobie wyobrazić piękniejszego miejsca w lecie“.

Ale — jak wiadomo — nie zostali.

Prócz tej sali, lśniącej lustrami i kryształami, warto obejrzeć salę tronową, w której niegdyś lennicy biskupów składali uroczyście hołd swym zwierzchnikom, bibljotekę wcale bogatą i sale urzędu lennego, również *al fresco* ozdobione, w parterze zaś liczne zbiory sztukaterskie, mozajkowe, rzeźbiarskie i t. d. W dużym parku, przez który płynie jedno ramię Morawy, pełno cienistych alei, które jak sploty węża się wiją, pełno grot tajemniczych, wodotrysków, kaskad, basenów, stawków, strumieni i kanałów, są całe laski szpilkowe, gaje owocowe, winnice, bażantarnie, olbrzymie klatki, w których widzi się tłumy najrzadszych różnobarwnych ptaków, na stawach pływają poważnie łabędzie, na innych cicho przesuwają się łodzie! Godzinami można błądzić po tym

parku, spotykając co krok coś nowego, oryginalnego a ciekawego. Oprócz parku (zámecká zahrada) jest jeszcze ogród kwiatowy (kwětna zahrada), pełen przepysznych egzotycznych roślin i kwiatów, palm olbrzymich, drzew pomarańczowych, posiadający wspaniałe kolumnady i oranżerje. Ulice ogrodu tworzą istny labirynt, w którym bez przewodnika zbłądzić bardzo łatwo. Długi krużganek (w r. 1848/9 odwach gwardji) łączy pałac arcybiskupi z kollegjatą św. Maurycego; kościół w stylu gotyckim odbudowany został po pożarze 1836 przez kardynała-arcybiskupa Maksymiljana Józefa Sommerau. Przed głównym ołtarzem, w kamiennym grobowcu spoczywają zwłoki słynnego kanclerza króla Ottokara II., biskupa ołomunieckiego Brunona, który zmarł r. 1281 po 36-letnich rządach.

Kromierzyż liczy dziś 14 tysięcy mieszkańców, ma dwa gimnazja, czeskie i niemieckie, szkoły realne, szkołę rolniczą, seminarjum, zakon Sióstr miłosierdzia, cukrownie i słodownie. Miasto robi bardzo miłe wrażenie. Dojeżdża się do niego z dworca piękną aleją przez dwa mosty na rzece Morawie ozdobione posągami św. Cyryla i Metodego, Wacława i Wojciecha; ulice są przestronne, place jak Komensky'ego, Fürstenberga, nowy i stary Rynek, nawet bardzo duże. Niemniej okazałym jest plac Franciszka Józefa z wielką kasarnią obrony krajowej. Domy są duże i piękne, odbija tylko ulica Velehredzka, zamknięta z lewej strony szeregiem niziutkich domków.

Przez ulicę Deviszową, obok ogrodu kwiatowego, a następnie przez ulicę Havliczka, dostać się można do miejsca budowy zakładu dla obłąkanych. Część znaczna była już (1906) wykończoną; ma to być zakład w całem tego słowa znaczeniu wzorowy, o kilkunastu osobnych pawilonach, w których zastosowano wszystkie najnowsze żądania na polu psychiatrji. Pamiątek, jak na miasto, mające za sobą przeszłość co najmniej ośmiowiekową, — bardzo niewiele.

Wiele zginęło w czasie walk husyckich, a resztę złupili Szwedzi, zdobywszy Kromierzyż w r. 1643. Na straży miasta stoi dziś olbrzymia topola, która iż rośnie na wzgórzu, zdaje się, że przerasta kościelne wieże!

Z Kromierzyżem łączy się pamięć dwóch słynnych w dziejach Moraw Janów: jeden z nich przygotowywał teren do walk religijnych, drugi tłumił je żelazną dłonią. Pierwszym był Milič, który się tu urodził, a później zasłynął jako znakomity kaznodzieja, drugim, Jan, zwany Żelaznym, biskup ołomuniecki, który w walkach z Taborytami tu miał swą główną kwaterę.

Wystąpienie Miliča przypada na czas wielkiego rozstroju w kościele; była to epoka pojawienia się Waldensów na Morawach, doba, w której w samem duchowieństwie pojawiały się wołania o reformę. W Pradze za Karola IV. wystąpił z żądaniem reformy słynny kaznodzieja Waldhauser, który jednak dla ludu mówił niezrozumiale, bo po niemiecku. W jego ślady wstąpił Jan Milič z Kromierzyża, z bogatego, rycerskiego rodu, który poświęcił się stanowi duchownemu i wstąpił do kancelarji królewskiej. Jako młody człowiek został kanonikiem i arcydjakonem praskim, rzucił jednak niebawem wszystkie te godności, ażeby rozpocząć czynność misjonarską i prowadzić lud na drogę wiary. Zdawało się, że nigdy kaznodzieją nie będzie, tak mało miał talentu oratorskiego; silna wola pokonała jednak przyrodzone trudności i niebawem kazania Miliča ściągały olbrzymie tłumy.

W gorliwości swej nie oszczędzał nikogo, nawoływał do poprawy i pokuty, wytykał błędy, karcił ostro zaniedbujące swe obowiązki duchowieństwo, a przedewszystkiem zakony żebrzące. To ściągnęło na niego nienawiść kleru; został najpierw uwięziony, a następnie odstawiony do Rzymu (1367) pod zarzutem kacerstwa. Intrygi jednak zawiodły; Urban V.

nie znalazł w jego naukach nic przeciwnego wierze i pozwolił mu powrócić do Pragi, gdzie znów swą działalność misjonarską rozpoczął. I znowu uwięziono go i odstawiono do *Avignonu*, gdzie także nie znaleziono w nim żadnej winy, a nawet pozwolono mu tam miewać kazania (1370). Schorowany i znękany umarł tam niebawem, na obcej złożony ziemi.

Nie ulega jednak wątpliwości, że kazania Miliča przygotowały teren Husowi i stworzyły podwalinę ruchu, który w skutkach swych tak niszczącym się okazał.

Gdy na początku XV. w. ruch ten rozszalał na Morawach, najenergiczniejszym jego tłumicielem był biskup ołomuniecki Jan, zwany Żelaznym, który widząc, że słowo jest za słabą bronią na zwalczenie kacerzy uzbrojonych w kosy i broń palną, zmienił pastorał na miecz i okuty w żelazną zbroję, na czele licznych hufców swych wasali staczał krwawe boje z Taborytami i Sierotkami. Główną jego kwaterą w tych licznych wyprawach był Kromierzyż, który też często padał ofiarą zmiennych losów wojny. Ostatecznie zwycięstwo zostało przy walecznym biskupie, który jednak nie długo cieszyć się mógł rezultatami swych dzielnych zabiegów; zmarł bowiem 8. października 1430 r. w Preszburgu, dokąd pospieszył na dwór cesarza Zygmunta Luksemburczyka. Jest to obok Brunona i Zdika jedna z najwybitniejszych postaci pomiędzy biskupami ołomunieckiej djecezji.





V.

Ołomuniec i okolica.

Pan Scibor z Tovaczowa i jego stosunki z Polską; położenie Ołomuńca; król Sobieski o mieście i ludziach; narodowe postępy Czechów; z opowiadania p. Začka; Ołomuniec jako ognisko kulturalne; pierwsi działacze narodowi; bojowy śpiew; szkolnictwo ongi a dziś; walka o szkołę narodową; spacer po mieście; arcybiskup Kohn i hr. Taaffe; z dziejów rezydencji i arcybiskupstwa; Polacy w kapitule; Bartosz Paprocki na Morawach; tumult studencki z przyczyny Polaka; majstersztyk zegarmistrzowski; podanie ludowe; twierdza czeska; wzorowy zakład wychowawczy; z dziejów prasy i literatury; Święta góra i straszna katastrofa; zaczarowany kwiat; kolonizacja niemiecka; stolica Hany; wesołek Paleček; Messenhauser; oryginał morawski; pole krwawej walki; Chorwaci na Morawach; z dziejów pieśni; ks. Fr. Suszil.



Na dawnej drodze z Przerowa do Ołomuńca, nad rzeką Błotną, w pośród żyznych pól, wznosi się zamek często w dziejach Moraw wspominany, gród możnych panów z T o v a č o v a. Kiedy jeszcze dokoła Ołomuńca rozciągały się nieprzejrzane, odwieczne bory, zjeżdżał tu na łowy książę Konrad, pan na Ołomuńcu, ze swą małżonką Adletą, córką króla węgierskiego i licznem dworem myśliwskim. Na wzgórzu była polana, gdzie zazwyczaj zastawiano śniadanie; książęca para tak upodo-

bała sobie to miejsce, że na jej rozkaz powstał wnet pałacyk myśliwski, którego kasztelanem zamianowany został Litosław Towaczowski, dworzanin książęcy. Z biegiem czasu pałacyk myśliwski przeobraził się w potężne zamczysko, które umiało w ciągu wieków dzielnie stawiać czoło nieprzyjaciołom i najezdnikom. Litosław stał się przodkiem możnego rodu, który w osobie pana Scibora (Ctibor z Tovačova) zasłynął nie tylko w boju, ale i w radzie. Tovačovscy byli poboczną gałęzią rodu panów z Cymburka i jak ich pokrewni, stali po stronie Husytów. Scibor jest w końcu wieku XV. taką właśnie postacią, jaką był Karol z Zierotyna na końcu XVI. i na początku XVII. w. Pisać jego życiorys, znaczyłoby to pisać historję Moraw w okresie 1464—1493; w owym bowiem czasie nie było ani jednego ważniejszego w dziejach Moraw faktu, który nie łączyłby się z jego nazwiskiem i działalnością. Rok urodzenia nie jest znany; Wincenty Brandl w przedmowie do jego „Księgi towaczowskiej“ (1868) oblicza trafnie, że rokiem tym był r. 1437.[1]) Wielka znajomość pisma św. uwidoczniona w innej jego księdze p. t. „Hádáni pravdy a lži“ i poglądy na świat w pomniejszych pracach zawarte, każą przypuszczać, że pierwotnymi jego wychowawcami byli księża, przesiąknięci duchem husytyzmu, którzy w owym czasie mieli swą główną siedzibę w Kromierzyżu. Wychowanie było dosyć jednostronne, tak, że młody Scibor nawet językiem łacińskim nie najlepiej władał; wrodzony mu jednak talent i spryt stokrotnie nagrodziły owe braki. W młodym wieku ożenił się z Eliżką, sierotą po rycerzu Znacie z Melic i zamieszkał w zamku Náměšti. Jak długo żył ojciec, podpisywał się Sciborem z Cymburka i Tovačova z siedzibę na Naměšti, na tym Naměšti, które pół wieku później należało do Karola Zierotyna. Po śmierci ojca przeniósł się na gród towaczowski, silnie

[1]) Porównaj „Moravska čitanka“ str. 103.

ufortyfikowany przez rodzica. Król Jerzy z Podjebradu zamianował go sędzią królewskim na Morawach, on zaś wiernością i przywiązaniem do króla świecił przykładem panom morawskim. Z ramienia królewskiego szczęśliwie dowodził wojskiem przeciwko zbuntowanym Wrocławianom; mniej szczęśliwym był natomiast w bojach z biskupem ołomunieckim, który pod wpływem Rzymu oświadczył się przeciwko królowi Jerzemu. Król zamianował go r. 1469 wielkim hetmanem Moraw, w miejsce swego syna Wiktoryna, który zdradzony, dostał się w niewolę Węgrów. Scibor obawiając się, że Morawy gotowe popaść w niewolę węgierską, usilnie propagował myśl wybrania królem czeskim Władysława, syna króla Kazimierza Jagiellończyka i brał udział w poselstwie do Krakowa. Po śmierci Jerzego (1471) ponownie udał się do Krakowa, skłonił Kazimierza, ażeby dłużej nie zwlekał, a następnie na sejmie kutnohorskim przeprowadził wybór Władysława Jagiellończyka królem czeskim. I znowu w dniu 9. czerwca 1471 widzimy Scibora w Krakowie; powraca następnie z Polski z wybranym królem do Pragi, gdzie w dniu 19. sierpnia odbyła się uroczysta koronacja. Młody król, wiedząc o przywiązaniu Scibora do siebie, nie tylko potwierdził go w urzędzie hetmana, ale mianował go kanclerzem królestwa czeskiego, który to urząd sprawował do r. 1479.

Oprócz tego przyłączył król miasteczko Kralice do państwa towaczowskiego, a w akcie nadawczym napisał o Sciborze, że „z zacną wiarą i ofiarną pracą zawsze działał, ni życia swego, ni ofiar dla Ojczyzny nie żałował, działał usilnie, gdyśmy koronę przyjąć mieli i z nami przyjechał do królestwa czeskiego“. Gdy pomiędzy Władysławem a Maciejem węgierskim stanęła umowa co do Moraw, to na czas prowizorjum rząd kraju, za zgodą obu królów, złożono w dłonie Scibora; od tej pory (1475) sprawował prawie królewską władzę, a całe Morawy widziały w nim

opatrznościowego męża. Zmarł u szczytu powodzenia i znaczenia 1494 r.; że zaś zeszedł bezpotomnie, spadek po nim objął synowiec Adam, który umarł już 1553, jako ostatni potomek słynnego rodu z Cymburka i na Towaczowie.

Najpiękniejszą po nim spuścizną są jego dzieła, będące jednem z najważniejszych źródeł praw i języka narodowego na Morawach. Dziełami temi są: „Hádáni Pravdy a Lži o Knězske zboži a panovani jich“, traktat religijno-polityczny, a przedewszystkiem „Kniha tovačovska“, kompletny zbiór praw Morawy, który urósł do powagi krajowego statutu. Zawiera ona wszystkie ustawy z czasu, gdy Morawy cieszyły się zupełną autonomją.

. . . .

Tam, gdzie lesiste odnogi Sudetów (gór jesenickich) łączą się z doliną Morawy, gdzie się wznosi widny z daleka, stromy szczyt skalny „Świętej góry“, podczas gdy od południa ukazują się mury kościoła na Hostyniu, a od zachodu marszczą się ostatnie pagórki wyżyny drahańskiej, spływającej od granicy Czech ku Morawom — tam rozłożył się Ołomuniec, królewski gród morawskiej równiny, dawna stolica kraju. Co prawda, miłe to miasto ścieśnione było do niedawna, niby panna wybierająca się na bal, gorsetem szańców, wałów, bastjonów i fortów; dziś zniknęły one w znacznej części, a wraz z nimi wspomnienie kazamat, które i na kartach naszej martyrologji są zapisane.[1])

Od strony wschodniej ku dworcowi, na którym zbiegają się z pięciu stron linje kolejowe, przełamano najwcześniej pierścień fortyfikacyjny i otwarto miastu możność szerszego rozwoju. Dzień 5. czerwca r. 1876,

[1]) Jeden z pierwszych więźni politycznych polskich w Austrji, Walerjan Dzieduszycki z Jabłonowa, aresztowany z powodu sprawy Deniski 1797 i skazany we Lwowie, tu był zamknięty od sierpnia 1799 do lutego 1800.

w którym poraz pierwszy łopata rozpoczęła tu kulturalną czynność, zaznaczył nowy rozdział w dziejach Ołomuńca. Pomimo tego, do dziś dnia zachowało miasto jakiś specyficzny charakter; wszystko tu mówi, że przeszłość tego grodu stała pod znakiem pastorału — i szabli! Ołomuniec jako forteca ma niedługą przeszłość: dopiero za czasów Marji Teresy zwrócono uwagę na korzystne położenie miasta, które broniąc przystępu od północy i północnego-wschodu, panuje nad Morawą i nad drogą wiodącą w głąb kraju. Ufortyfikowano więc Ołomuniec jako placówkę przeciwko Prusakom w latach 1742—1756, kosztem przeszło 10,000.000 złr. Dziś stracił naturalnie Ołomuniec swoje strategiczne znaczenie, ale resztki fortyfikacji jeszcze istnieją i dodają tej starożytnej siedzibie biskupów (a od 1777 arcybiskupów), wiele oryginalności.

Z daleka już widzimy liczne wieże kościelne i klasztorne z błyszczącymi w słońcu krzyżami, bliżej zaś połyskują w tem samem słońcu zbroje żołnierzy, ćwiczących na podmiejskich placach. Z odgłosem dzwonów, których dzwięk łamie się gdzieś daleko w powietrzu, mieszają się rano i wieczór sygnały trąbki i bębna, dobiegające z licznych kasarń.

Biły niegdyś głośno te dzwony, gdy Jan III. dążąc na odsiecz stolicy Habsburgów, tu stanął na czele walecznych swych hufców. Królowi naszemu podobał się Ołomuniec, choć nie miał „ludu tak politycznego, jak Opawa".

W liście do Marysieńki, datowanym „w Prostkowie (t. j. Prościejów), dwie mile za Ołomuńcem ku Nikielszpurkowi 27. augusta 1683" tak pisze Sobieski o Ołomuńcu:

„Do Ołomuńca wczora przyjechaliśmy z wielką fatigą dla oratii ustawicznych, tak, że się codzień jak do ślubu ubierać muszę, y jak pan młody wieżdżać z kawalkatą. Musiałem tedy nocować w mieście, z wielko mojo zgryzoto. Postawili mię w kamienicy

takiej, gdzie nie było tylko sień z sieni, a jec drugiej większa, a to dla nieszczęsnego swego z garu, żeby go było widać, kiedy osóbki przed wy bijaniem kręciły się dokoła *comme des marionette*. Miasto większe niżeli Opawa, ale lud nie tak polityczny. Wszystko arcy drogo a y przedawać nie chcieli. OO. tylko Jezuici wielki mi uczynili honor, nazywaiąc i w oratiach y na przybiianiach na ołtarzach Salvatorem. Dziś byłem u nich y w pałacu Biskupa, którego tu nie masz: oboie to mogłoby stać wśród Rzymu..."

Dzisiejszy Ołomuniec wygląda naturalnie zupełnie inaczej; brak mu przedewszystkiem owego mnóstwa wież kościelnych, których dzwony radośnie witały wjeżdżającego „Salvatora". Padły one ofiarą kasaty józefińskiej, a częściowo także i zęba czasu. Zniknął od tej pory kościół św. Jakóba, zmieniony wraz z klasztorem na szpital powszechny; kościół i klasztor Dominikanów przebudowane zostały na seminarjum duchowne. Niema już i śladu z najstarszego kościoła, niegdyś katedralnego św. Piotra, zniknęły również kościoły: Marji Panny, św. Błażeja i św. Katarzyny, a kościół Klarysek przerobiony został na książnicę. Ustąpiły miejsca nowym budowom kościoły i klasztory OO. Minorytów i Augustynów, klasztor Klarysek jest dziś koszarami artylerji, a piękne ongi kollegium OO. Jezuitów mieści w sobie kancelarje wojskowe. Dzisiejszy Ołomuniec ma wygląd prawie nowoczesnego miasta i prezentuje się nawet okazalej, niż stolica Moraw. Ma równe, szerokie, dobrze brukowane ulice, dwa wielkie rynki, wspaniałe domy, piękne magazyny, starannie utrzymane spacery i jest o wiele regularniej zbudowany niż Berno, rozłożone na pagórkach. Co zaś jest najbardziej pocieszającem, to, że miasto nabiera z każdym rokiem więcej narodowego charakteru, że staje się czemraz silniej promieniejącem ogniskiem czeskiego życia w tej części kraju. Do nieda-

wna Niemcy byli tu bezwzględnymi panami — a i dziś jeszcze władza jest w ich ręku; czuć już jednak, że dnie tego sztucznego panowania policzone, mimo wszelkich ich wysiłków i najbezwzględniej stosowanych środków germanizacyjnych. Na Ołomuńcu można najlepiej studjować olbrzymi narodowy postęp Czechów. Lat temu trzydzieści rzadko tylko słyszało się tu czeską mowę w ustach inteligencji.

— „Regułą było — mówił czcigodny zastępca marszałka krajowego i znany poseł morawski p. Jan Żaczek — że każdy Czech, który osiadł w Bernie lub Ołomuńcu, z bardzo nielicznymi wyjątkami, niemczył się. Ja, który od dziecka znam Ołomuniec, mógłbym na palcach policzyć tych rodaków, którzy tu osiedli i zachowali język i obyczaj narodowy. Reszta zniemczyła się zupełnie. A charakterystycznem jest, że ci sami, którzy u nas żyrowali się jako Niemcy, — w królestwie chętnie wydawali się „dobrymi Czechami“. Mógłbym wymienić nazwisko pewnego jegomościa, który zajmował bardzo wybitne społeczne stanowisko w naszym kraju, a żył takiem podwójnem życiem. Dziś inaczej! Dziś z całą pewnością żaden Czech, który osiędzie w Bernie czy Ołomuńcu, nie zniemczy się, a dzięki temu, że przypływ ludności czeskiej jest znaczny, i miasto nabiera innego charakteru“.

— „Gdym — mówił dalej — w latach 60—70 uczęszczał do gimnazjum w Ołomuńcu, był on miastem prawie czysto niemieckiem. Trudnoby wówczas było znaleźć człowieka w przyzwoitszem ubraniu, z którym po czesku możnaby pomówić. Co prawda i Niemcy byli wówczas inni; Czecha, który tu przyszedł, nie traktowali jeszcze jako „niebezpiecznego“ wroga. Co większa, ze względu na wiejską ludność umieścili na ulicach napisy w czeskim języku, któreby dziś radzi usunąć! Jak umieli łamali swój język, przemawiając do ludu po czesku, gdyż widzieli w tem swój interes. Ten stosunek zmienił się jednak z bie-

giem czasu; w miarę jak czeski lud uświadamiał narodowościowo, zwiększał się opór niemiecki, wz stały wrogie uczucia — aż do szowinizmu, aż walki na noże! Pomimo tego, pomimo energiczr pomocy z północy, żywioł niemiecki w mieście t(pnieje, a Ołomuniec staje się widocznie czeskiei miastem..."

Zdobycie Ołomuńca jest dla Czechów rzecz niezmiernie ważną, tembardziej, że druga ta stolica kraju ma bardzo szeroką strefę oddziaływania, jak o tem przeszłość nas poucza. Ołomuniec bowiem jako ognisko wiedzy i kultury, ma wcale piękną tradycję. Już w dobie, gdy pod opieką Maksymiljana I. szerzył się z Wiednia humanizm pod egidą sławionego Konrada Celtesa, zwano Ołomuniec „siedzibą muz". Opiekunem ich był słynny wykształceniem biskup Stanisław Turzo, którego przyjaciel Augustyn Käsenbrot (Aug. Olomucensis) pozostawał w stosunkach z najwybitniejszymi uczonymi swej doby. W dwa wieki później powstało w Ołomuńcu pierwsze w Austrji „Towarzystwo umiejętności" *(Gelehrte Gesellschaft)*, które też wydawało pierwsze w Austrji pismo literacko-naukowe. Założycielem tego stowarzyszenia był Józef Leopold br. Petrasch [1]), który młodzieńcem ukończył w Ołomuńcu wydział prawny, a następnie złożył tamże doktorat filozofji. Następnie odbywał naukowe podróże po Holandji, Anglji, Szkocji, Francji, Lotaryngji i Szwajcarji, brał udział w wyprawie Eugeniusza Sabaudzkiego nad Ren, jako jego adjutant, a uzyskawszy stopień rotmistrza dragonów w pułku imienia Dauna, wystąpił z armji i osiadł w Ołomuńcu, poświęcając się umiejętności i sztuce. Celem poznania starożytnego świata, udał się w podróż do Grecji i Włoch, gdzie nawiązał stosunki z najnakomitszymi mężami, a powróciwszy do Ołomuńca, powziął myśl założenia „Uczo-

[1]) Bilder aus mährischer Vergangenheit. Brünn 1903 r. Wilhelm Schram, str. 132.

nego Stowarzyszenia", którą istotnie wprowadził w życie w r. 1746 pod nazwą *„Societas incognitorum literariorum"*. Towarzystwo to wydawało biuletyny, nie bez trudności i przykrości ze strony cenzury; biuletyn ten zwał się *„Monatliche Auszüge"*. Towarzystwo nie utrzymało się jednak długo: rządowi wydawało się jego istnienie zbyt niebezpiecznem, a i dla podniesienia poziomu wykształcenia nie uczyniło ono wiele, z powodu, iż posługiwało się językiem niemieckim, obcym i niezrozumiałym dla szerszego ogółu. A dla języka czeskiego szły właśnie ciężkie czasy — czasy oświeconego absolutyzmu Józefa II. Dziwną los uczynił sobie igraszkę z tego człowieka, który postanowił stworzyć silne, jednolite niemieckie państwo, — a wywołał właśnie walkę narodowościową! Jego to bowiem germanizacyjne zakusy, obudziły dopiero świadomość narodową i opór! Zadanie wydawało mu się łatwem: nie tylko doradcy zapewniali, że za lat 50 nikt nie będzie umiał po czesku, ale nawet tak gorący patrjota jak Pelcl, przepowiadał czeskiemu językowi los, jaki spotkał języki plemion słowiańskich w Niemczech. Tymczasem nowy porządek szkolny z r. 1774, który z przybytków nauki wygnał język czeski, otworzył mu równocześnie drzwi do pracowni klasztornych. Księża i mnisi pierwsi dali hasło obrony języka narodowego. W r. 1783 wyszła „mała kronika margrabstwa Morawskiego" napisana po czesku przez prałata zdziarskiego Steinbacha z Kranichsteinu. Odezwał się w obronie języka czeskiego szlachetny magnat, Fr. hr. Kinsky, w podobnym duchu wystąpił Fr. M. Pelcl, wydawca czeskiego tłumaczenia rękopisu Jezuity Bogusława Balbina o prawach języka czeskiego, kończącego się gorącą prośbą pieśni św. Wacława: *„Nedaj zahynouti nam i budučim"*. Uczony bibljotekarz akademji ołomunieckiej J. Al. Hanke z Hankensteinu, w swem dziele *„Doporučeni česka řeči a literatury"* wykazywał doniosłe

znaczenie języka czeskiego w przeszłości i konieczność kształcenia go w dobie ówczesnej, choćby ze względu na utrzymanie stosunków z pokrewnymi szczepami. V. Zlobicky i ks. T. Fryčaj wydawali ustawy i zarządzenia władz w języku czeskim, ks. Fr. Polaček, profesor i rektor teologicznego fakultetu w Ołomuńcu, przetłumaczył na język czeski „Nowy testament".

W zakresie szerzenia praktycznych wiadomości pracował głównie ks. Tomasz Fryčaj († 1839), który biorąc za temat życie poczciwego człowieka, a znanego sielkiego rolnika Franciszka Vavaka, napisał w języku czeskim książkę dla ludu p. t. „Zwierciadło doskonałego czeskiego żywota, przedstawiające życie i pracę rozsądnego męża, rolnego gospodarza Franciszka Vavaka". Jeszcze owocniejszem było działanie ks. Macieja Sychra, proboszcza z Jimranowa i Przedklasztoru, który pragnąc zachęcić lud do czytania, pisywał rzeczy wesołe, anegdoty, krotochwile i humoreski († 1830). Najznaczniejsze jego dzieło wyszło jednak dopiero po jego śmierci p. t.: „Veleslavin"; przedstawił on tam typ duszpasterza, autoportret duchowy, który za cel życia przedstawił sobie: ażeby jego pomoc i rada położyły kamień węgielny pod gmach szczęścia powierzonych jego pieczy owieczek". Książka ta, dająca w 21 rozdziałach całokształt wiedzy potrzebnej włościanom, do dziś dnia, acz przestarzała pod niejednym względem, może być wzorem poważnej, a jednak poczytnej książki dla ludu. „Veleslavinem" swym wskazał i utorował drogę całemu szeregowi młodych pisarzy.

Ważnym momentem w dziejach duchowego odrodzenia Moraw był r. 1831, w którym stany morawskie zdołały przeprowadzić swą uchwałę jeszcze z r. 1815 w sprawie utworzenia katedry języka czeskiego na uniwersytecie w Ołomuńcu. Pierwszy profesor Antoni Boček, późniejszy archiwa-

rjusz stanowy w Bernie, był zbyt zapamiętałym historykiem, ażeby mógł zrozumieć ducha i dążenie doby ówczesnej, natomiast jego następca Alojzy Wojciech Szembera był mężem, na jakiego młodzież czeska z utęsknieniem oczekiwała. Naukowa praca nie przeszkadzała mu w pracy dla ludu, do którego corocznie przemawiał z kart „Kalendarza gospodarskiego“, Posła z Moraw“ i przez usta „Rozumnego rolnika“. Celem budzenia ducha narodowego wydał cały szereg broszurek dla ludu, przeważnie treści historycznej jak n. p.: „Dzieje panów z Boskowic“, „Najazd Mongołów na Morawy“, a prócz tego piórem i słowem walczył w obronie praw języka ojczystego. On też był inicjatorem „Macierzy morawskiej“, zajmował się wprzęgnięciem sceny w służbę ducha narodowego, on skupił siły literackie w pierwszym czeskim dzienniku na Morawach — „Moravskych Novinach“. Tym samym gorącym patrjotyzmem odznaczał się w Wiedniu, dokąd 1850 powołany został na katedrę języka czeskiego w uniwersytecie; tam też opracował wartościowe swe dzieło o rozmaitości narzeczy morawskich. Ostatnie lata zatruła mu niechęć ziomków, którzy niepomni jego zasług, atakowali go ostro za to, że nie uznawał autentyczności t. zw. rękopisów królo-dworskiego i zielonogórskiego. Zmarł we Wiedniu 1882 r. licząc 75 lat życia.

Obok niego pracowali na polu szerzenia oświaty i poczucia narodowego wśród ludu Fr. Trnka, M. Mikšiček, a szczególnie Fr. Diebl[1]), wydawca rolniczego pisma *„Moravsko-slezský časopis pro lid“*, w którym i literatura nadobna miała swe poczesne miejsce. Jako współpracownicy jawią się w tem piśmie, za przykładem Jerzego Palacky'ego (ojca znakomitego patrjoty i uczonego czeskiego Franciszka P.) po raz pierwszy w poważnej liczbie nauczyciele lu-

[1]) Jan Kabelik, Z doby národniho obrozeni Moravy. M. C. str. 167.

dowi, z szeregów tych wyszło później wielu zdolnych pisarzy. Dziś zapomniano i o książkach i o autorach i jedni jednak i drudzy w swoim czasie zasłużyli się wielce, choć pisali chropawym i germanizmów pełnym językiem.

Potężną dźwignią języka narodowego była pieśń ludowa i kościelna. Wiele tych pieśni ułożył wspomniany już ks. Fryčaj, muzykę zaś do nich dorobił Pohl, rektor kunstadzkiej szkoły. Wiele pieśni jego „kancjonału“ mimo, iż i język i forma pozostawiają niemało do życzenia, utrzymało się po dziś dzień. W zakresie pieśni świeckich odznaczył się Józef Agapit Gallas, lekarz z Hranic († 1840) równocześnie wielki filantrop, gorący patrjota i rubaszny, ale pełen humoru Jan Kuźnik z Kojetyna, umiejący się równocześnie w patrjotycznych pieśniach zdobyć na powagę i siłę. Późniejsza doba stwarza pieśniarzy romantyzmu, wykształconych na klasycznych wzorach; są nimi w pierwszym rzędzie Fr. Klácel, Vincenty Furch i Fr. Sušil.

Ks. Franciszek Klácel, mnich augustyński i profesor filozofji w Bernie, pod wpływem haseł rewolucji polskiej, stał się gorliwym orędownikiem wolności i postępu. Wierzenie i dążenie swe ujawnił w „Basniach“ (1836, 1837), które młodzież uczęszczająca na jego wykłady stawiała na równi z dziełami Klopstocka. Była to naturalnie przesada, ale jeżeli uprzytomnimy sobie, że to były czasy rządów Metternicha, a przeczytamy taki wiersz, jak „Pobudka rycerzy śpiących na górze Blanik“ (jak u nas pod Giewontem), to zrozumiemy uczucia młodzieży.

Oto próbka z wymienionego wiersza w dosłownym przekładzie:

„Powstańcie rycerze — już czas!
Zbudźcie się bracia ze snu!
Wacław wodzem nam — ku sławie wiedzie nas,
Święty Wojciech męstwem duszę stali!
Już trąba woła nas:

Rozwalmy groby zimnych skał,
Kto Słowianin niech w szereg staje,
Obojętnych wieczny skryje srom!
Naprzód! stawajcie w rząd:
Czechia! — to nasze hasło,
Zbliży się ku nam wróg — cichajmy!
Zemsta cicha, zawsze najpewniejsza.
Naprzód! Baczność na czeskiego Lwa!
Czeskie skały rzućcie na siepaczy!
Giń wrogu! Morduj! Czechia, Czechia!
Za naszą krew, niedolę!
Boże zmiłuj się!
Tnij go — bij!
Naprzód! gonić go...
Uśmiecha się nam sława!...
Słyszycie? trąba grzmi, zwycięstwa znak,
Bądź pochwalony sprawiedliwy Boże!
Pochwalon bądź!..."

Rzecz prosta, że autor takiej pieśni, nie długo zdołał się utrzymać przy katedrze. Musiał opuścić kraj. Na obczyźnie już napisał zbiór poezji p. t.: „Jagody ze słowiańskich lasów" i do dziś dnia czytaną baśń „Ferina Lišak z Kuliferdy, a na Klukově", na podobieństwo Göthego „Reinecke Fuchs", ale zupełnie odrębne myślą i akcją. W roku 1848 brał udział w życiu publicznem; później był w klasztorze, od którego ciszy odwykłszy, wyjechał w końcu do Ameryki, gdzie umarł 1882 r.

O Wincentym Furchu wspomnieliśmy już przy Hostyniu, o Suszilu wspomnimy przy innej sposobności.

Cały ten zastęp ludzi łączy się więcej lub mniej ściśle z akademją w Ołomuńcu, która, mimo piętna germańskiego i skromnych środków, odegrała w odrodzeniu narodu czeskiego na Morawach niemałą rolę. Wogóle Ołomuniec w pierwszej dobie rozwoju oświaty i wcześniej i znaczniejszą rolę odegrał, niż Berno lub jakiekolwiek inne miasto kraju.

Dokumenty historyczne wzmiankują o szkole ołmunieckiej dopiero w r. 1131, jakkolwiek nie ulega

wątpliwości, że istniała ona już dawniej, a mianowicie od czasu założenia tu stolicy biskupiej. Jest też rzeczą pewną, że już św. Metody założył, zdaje się, na Welehradzie, szkołę słowiańską, gdyż wiemy, że po jego śmierci 885 r. zostało około 200 jego uczniów, księży i djakonów, których następca św. Metodego, Niemiec Wiching, wygnał z kraju. W miejsce szkoły słowiańskiej zaistniały szkoły łacińskie przy katedrach i klasztorach. W początkach XIII. w. istniały już takie szkoły w Bernie i Znojmie. Szkolnictwo rozwinęło się znacznie, gdy biskupstwo ołomunieckie przydzielone zostało do archidjecezji praskiej, a świeżo założona akademja w Pradze otrzymała nadzór nad szkołami; niemało też do rozwoju i unarodowienia szkół przyczynił się następnie husytyzm i religijno-narodowe walki, które były jego następstwem. Szkoły „Jednoty“ urządzone były wzorowo, a reformy Komeniusza doprowadziły je do niebywałego rozkwitu. Szkoły wyższe, jak n. p. szlacheckie gimnazjum w Iwańczycach (gymnasium Mustre), założone r. 1575, ściągało młodzież nawet z poza granic kraju. „Jednota“ zajmowała się też gorliwie wykształceniem kobiet; przy każdym zborze „braci“ była szkoła dla dziewcząt, kierowana przez nauczycielkę. W szkołach tych, prócz czytania, pisania, rachowania i katechizmu, uczono także robót kobiecych.

Równocześnie powstały gęsto szkoły jezuickie; pierwsza taka szkoła urządzona została w Ołomuńcu 1566 r. staraniem biskupa Wilhelma Prusinowskiego. Początkowo 4-klasowa, zmieniała się kolejno w gimnazjum i akademję, wydając jaknajlepsze rezultaty. Jednym z najgorliwszych opiekunów tej szkoly, był słynny z nauk Wratysław z Pernštejna. Przy szkole urządzono już 1568 r. pensjonat dla młodej szlachty, w którym i cudzoziemcy chętnie szukali nauki. W r. 1574 powstał fakultet filozoficzny, a w ośm lat później i teologiczny. Częściowa akademja w Ołomuńcu

otrzymała od cesarza Rudolfa II. prawo nadawania godności doktorów obu tych fakultetów. Dawna szkoła katedralna ołomuniecka, złączoną została z akademją jezuicką. Z Ołomuńca szerzyły się szkoły jezuickie po całym kraju — a więc najpierw w Bernie, później w Znojmie, Igłowie, Hradyszczu i Telezu; krępowana wypadkami politycznymi, spotęgowała się działalność tych szkół po ukończeniu trzydziestoletniej wojny. Obok Jezuitów pracowali też gorliwie OO. Pjarowie, którzy założyli szkoły średnie w Mikołajowie (Nikolsburg), Strażnicy, Kromierzyżu etc. Z drugiej jednak strony szkoły te wypierały czemraz silniej język narodowy, który był w nich traktowany po macoszemu. W r. 1750 zastąpiono go niemieckim, a od r. 1781 ten tylko miał wstęp do szkół średnich, kto władał językiem niemieckim. W r. 1776 było na Morawach 784 szkół, do których uczęszczało 10.000 dzieci, w r. 1804 już 1548 z 28.586 studentami; dobrodziejstwo to jednak było bardzo względne, gdyż językiem wykładowym był język obcy, niemiecki. O wyższe wykształcenie starał się uniwersytet ołomuniecki, na którym (1679) ustanowiono też fakultet prawniczy. W latach 1848 i 1849 język czeski, głównie dzięki ofiarnej pracy samychże profesorów, zyskał prawo obywatelstwa — ale niedługo to trwało! W roku 1853 zwinął rząd fakultet filozoficzny, a w dwa lata później prawniczy, pozostawiając jedynie wydział teologiczny i chirurgiczny. W r. 1860 zwinięto uniwersytet zupełnie, pozostawiając jednak wydział chirurgiczny, który utrzymał się do r. 1873.

Wcześniej jeszcze, bo w r. 1847 zwinął rząd akademję stanową, przenosząc ją do Berna i zmieniając w r. 1849 na szkołę techniczną.

Przez długie czasy nie było ani jednej średniej szkoły czeskiej; poczęto je tworzyć dopiero po klęsce w r. 1867, a mianowicie otwarto po jednem czeskiem gimnazjum w Bernie i Ołomuńcu. O każdy dalszy

zakład naukowy musieli Czesi zaciekłe prowadzić walki. Niestrudzona „Matica“ zakładała jedno gimnazjum po drugiem, jedną po drugiej szkoły realne, a państwo lub kraj dopiero po długim oporze, nie mogąc nie uznać żywotności tych zakładów, brało je na swój koszt.

W r. 1899 po długich walkach, zdobyli Czesi czeską technikę w Bernie, którą mieli otrzymać w myśl uchwały stanów jeszcze w 1849 r.

Pięćdziesiąt więc lat trwała walka!

Dzisiejszy stan szkół na Morawach przedstawia się cyfrowo w następujący sposób:

Z wyższych szkół posiadają szkołę techniczną czeską i niemiecką. Szkół średnich jest 56, z czego 27 czeskich, a 29 niemieckich, 30 gimnazjów, a 26 szkół realnych. Czesi mają obecnie 16 gimnazjów i 11 szkół realnych, z tych jednak tylko berneńska utrzymywana jest kosztem państwa. Z dziesięciu seminarjów dla nauczycieli i nauczycielek są 4 czeskie, 4 niemieckie, a 1 mieszane. Mają nadto Czesi swa akademję handlową, 1 wyższą szkołą handlową (Niemcy 2), państwową szkołę przemysłową (czeską i niemiecką), a prócz tego całą masę szkół fachowych i zawodowych niższego typu.

Szkół ludowych było w r. 1906 2566, z czego 1793 czeskich, 762 niemieckich, a 11 mieszanych. W stosunku do powierzchni kraju, na 100 km² przypada 11·7 szkół, (podczas gdy w Galicji stosunek ten przedstawia się jak 100 : 5·3!) analfabetów w r. 1900 było 19·2% (u nas 63·8!). Na jedną szkołę na Morawach przypada przeciętnie 155 uczniów. Do szkół niższych i średnich uczęszczało ogółem 397.528 dzieci (w czem 198.839 chłopców, a 198.699 dziewcząt); nauczycieli było 5460, nauczycielek 1330, czyli razem 6790. Wydatek ogólny na szkoły przedstawia się w cyfrze 13,540.604 kor.

Celem obecnej, słusznej walki Czechów, jest zdobycie czeskiego uniwersytetu, a raczej odzyska-

nie tej naukowej instytucji, odebranej im bezprawnie przez Niemców przed pół wiekiem. Że uniwersytet taki jest istotną potrzebą, to nie ulega wątpliwości. Według urzędowych wykazów z r. 1906, wyszło z gimnazjów czeskich na Morawach (Ołomuniec, 2 gim. w Bernie, Kromierzyż, Mistek, Przerów, Trzebice, Węg. Hradyszcze, Woł. Międzyrzecze i Zabrzeg, Boskowice, Kijów, Mor. Ostrawa, Prościejów, Strażnica i Wyszków) przeszło 500 abiturjentów — jest to więc cyfra, która zupełnie uprawnia do stworzenia uniwersytetu w kraju. Gdyby z tej cyfry tylko 350 udało się na studja uniwersyteckie, to po 4 latach uniwersytet czeski liczyłby co najmniej 1200 uczniów — podczas gdy czerniowiecki niema ani połowy tej liczby, a niemieckie uniwersytety w Insbruku, Pradze i Gracu nie dochodzą do 1200 słuczaczy. Potrzebę tego uniwersytetu uznał br. Gautsch w r. 1896 — i nie ulega wątpliwości, że pierwej czy później, słuszne żądanie Czechów, mimo wszelkich intryg niemieckich, spełnione być musi. W tym kierunku winniśmy Czechom nieść w parlamencie pomoc i energicznie popierać ich starania.

Na Ołomuńcu dziś jeszcze widać, jak powstawał i rósł: składa się bowiem z trzech widocznie odrębnych części: grodu, podgrodzia i przedmieść, dziś nowe miasto stanowiących. Na grodzie, w najwyższym punkcie widnieje katedra pod wezwaniem św. Wacława, zbudowana przez głośnego w dziejach biskupa Zdika 1131 r. Odbudowana po pożarze 1265 przez biskupa Brunona, a następnie przebudowana w XIV. i XVII. wieku, przedstawia mieszaninę stylów i gustów różnych epok; szczególnie duży, kolisty chór, nie godzi się z gotycką nawą. W katedrze jest wiele rzeczy godnych uwagi: piękne barokowe *stalle*, pomnik króla Wacława III., ładna krata bronzowa przy kaplicy św. Stanisława, robota z XVI. wieku, kilka interesujących obrazów starej szkoły i aparaty kościelne dzieła kunsztu złotniczego, który tu kwitnął

w XVII. i XVIII w. Dzwonnica katedry ma największy na Morawach dzwon, który waży 140 centnarów, trzy inne ważą po 25, 40 i 80 cent. W północnej stronie, obok kościoła wznosi się kaplica św. Jana Chrzciciela z r. 1262, na lewo zaś od katedry piękna kaplica św. Anny, w której odbywa się wybór biskupa. Kardynał Fürstenberg rozpoczął wielkim nakładem restaurację katedry, jego następca jednak, ks. Kohn, w wielu kierunkach spaczył plany poprzednika. Arcybiskup Kohn był wogóle postacią niesympatyczną; takie przynajmniej odniosłem wrażenie, widząc go w r. 1903. Nie był też lubiany. Kardynał Fürstenberg łożył wiele na cele publiczne, a specjalnie i na czeskie, natomiast arc. Kohn obciął najpotrzebniejsze subwencje, a między innemi i sumę wypłacaną muzeum etnograficzno-historycznemu, które jest istotnie warte widzenia i bardzo starannie utrzymane. (Pozazdrościć musimy Czechom ich wspaniałych zbiorów i opieki, jaką one się cieszą ze strony społeczeństwa!) Tem uszczupleniem środków na instytucję tak piękną i pożyteczną, zraził sobie arcybiskup Kohn nawet wielu duchownych dygnitarzy. Na widok ks. Kohna w pełnym stroju, poprzedzanego liczną, wygalantowaną służbą kościelną, przypomniało mi się dowcipne odezwanie się śp. hr. Taaffego, gdy się dowiedział o jego wyborze.

Wiadomo, że arcybiskupstwo ołomunieckie jest jednem z najbogatszych na świecie i że jego kapituła ma prawo swobodnego wyboru. Rola rządu ogranicza się do tego, że deleguje na elekcyjne zgromadzenie kapituły swego komisarza, który tradycyjnie otrzymuje za to gruby „trinkgeld“ w złotych dukatach. Kiedy umarł ks. Fürstenberg, oczekiwano, że miejsce jego zajmie który z szlacheckich kanoników, tymczasem z wyboru wyszedł ks. Kohn. Jako komisarz wyborczy fungował wówczas br. Gautsch, który natychmiast po przyjeździe do Wiednia poszedł zdać sprawę hr. Taaffemu. Premier siedział właśnie przy partyjce:

— Jakżeż tam w Ołomuńcu, zapytał wchodzą-dzącego Gautscha — hrabia czy książę?

— Ani jedno, ani drugie — zwykły Kohn!

— Co Kohn? A czy on chrzczony?

Ks. Kohn nawet jako arcybiskup zdradzał wiele charakteru semickiego, zarówno jako administrator, jakoteż i człowiek. Procesy, które jeden po drugim wytaczał prasie, bynajmniej nie przysporzyły mu sympatji, nawet w kołach najbliższych.

Natomiast dzisiejszy arcybiskup ks. Bauer, cieszy się ogromną sympatją; jest on z rzędu 65 biskupem, a 8 arcybiskupem. W gronie biskupów ołomunieckich, z których pierwszym był Jan (1063—1085); zasłynęli szczególniej: Henryk Zdik (1126—1150), syn kronikarza czeskiego Kozmy, twórca katedry św. Wacława, Brunon z rodu hrabiów Schaumburg-Holstein, najznamienitszy prałat swego czasu, powiernik Ottokara II. (1245—1281), Jan VIII. Oczko (1351—1364), Jan XI. Żelazny, pogromca husytów (1416—1430), Stanisław Turzo, (prawdopodobnie Polak 1497—1540), wielki opiekun nauk i sztuk pięknych, Wilhelm Prusinowski z Wickowa, z polskiej rodziny (1565—1472), Stanisław Pawłowski, również Polak, (1579—1598) czczony jako gorący patrjota morawski, Franciszek Dietrichstein, wielki mąż stanu, znakomity polityk i filar katolicyzmu (1599—1636), Maksymiljan hr. Hamilton (1761—1776). Był to ostatni ks. biskup; w r. 1777 podniesioną została djecezja do godności arcydjecezji. Pierwszym księciem-arcybiskupem był Antoni hr. Colloredo do r. 1811, drugim hr. T. Trautmannsdorf do r. 1819, trzecim Rudolf, arcyksiążę austrjacki (—1831), następnie Ferdynand hr. Chotek, hojny mecenas sztuki i umiejętności (—1836), Maksymiljan br. Somerau-Beeckh, opiekun języka czeskiego (—1853), a wreszcie kolejno Fürstenberg, Kohn i dr. Franciszek Bauer, od r. 1904. Od roku 1365 noszą biskupi ołomunieccy tytuł hrabiów; tytuł

książęcy wyrobił im pod koniec XVI. wieku biskup Stanisław Pawłowski.

W gronie kapituły ołomunieckiej zasiada (1907) trzech polskich dostojników: ks. prałat Adam hr. Ledóchowski, ks. kanonik dr. Stefan Komorowski i kanonik Zygmunt hr. Ledóchowski, pełniący funkcję rektora w Pradze.

W obrębie djecezji ołomunieckiej (na Morawach — nie licząc części śląskich) jest 509 parafij, w czem 330 czeskich, 124 niemieckich, a 55 mieszanych, z ludnością katolicką w cyfrze 1,362.499.

Z innych kościołów Ołomuńca godnym jest uwagi kościół Najśw. Panny Śnieżnej, niegdyś kościół jezuicki, dziś garnizonowy, tudzież kościół św. Michała, odnowiony w ostatnich latach w pięknym stylu barokowym. Pomiędzy temi świątyniami, na północ od kościoła św. Michała, obok wielkich koszar „konwiktorskich", znajduje się kaplica, w której (wspomniany już przy innej sposobności) bł. Sarkander, proboszcz Holeszowa został przez protestantów umęczony w r. 1620. Znajdują się tu jeszcze nieme świadki tej tragedji. Bardzo interesującym wreszcie jest kościół pod wezwaniem św. Maurycego, stara piękna gotycka budowa z XI. wieku, stylowo odnowiona.

Ma kościół ten piękny gotycki ołtarz, ładnie rzeźbioną kazalnicę, pięknie malowane okna i rzeźbiony ołtarz, przedstawiający zesłanie Ducha św., dzieło dobrego naśladowcy Wita Stwosza. Po stronie zewnętrznej kościoła znajduje się oryginalna rzeźba kamienna z XVI. wieku, przedstawiająca Chrystusa w gronie uczniów na górze Oliwnej.

Z innych budynków na pierwszem miejscu postawić należy rezydencję arcybiskupią; jest to gmach okazały, urządzony z prawdziwie wykwintnym przepychem, choć na zewnątrz prezentuje się dosyć surowo. Są w nim liczne i piękne zbiory aparatów i przyborów kościelnych, ładne naczynia i meble, wiele doskonałych obrazów i zbiór starożytności

wykopanych na placu katedralnym, przy sposobności restaurowania katedry, — zawiązek muzeum djecezjalnego. Piękną i pełną powagi jest t. zw. sala lennicza, dziś wielka sala audjencjonalna.

Pałac ten był widownią wielu zdarzeń historycznych ostatniej doby; w nim nastąpiła abdykacja ces. Ferdynanda i objęcie tronu przez cesarza Franciszka Józefa w dniu 2. grudnia 1848 r., tu narzucono ludom Austrji t. zw. oktrojowaną konstytucję z r. 1849, tu konferował w r. 1850 minister austrjacki ks. Schwarzenberg z pruskim ministrem Manteufflem w sprawie „uporządkowania" spraw w Rzeszy, tu wreszcie odbyły się w r. 1851 i 1853 głośne i doniosłe w skutkach, zwłaszcza na polu polityki reakcyjnej, zjazdy cesarza Franciszka Józefa z carem Mikołajem.

Ale nie same tylko poważne wspomnienia łączą się z pałacem książąt Kościoła; gościł on nieraz liczne i wesołe towarzystwa, zwłaszcza w czasach, gdy władali tu arcyksiążęta austrjaccy w infule. Biskupi urządzali często dla ludu zabawy karnawałowe w t. zw. „ostatki", a wówczas wypełniała sale cała szlachta okoliczna i dygnitarze miejscy. Najhuczniejsze zabawy odbywały się tu w drugiej połowie XVIII. w., gdy biskupem był Jakób Ernest hr. na Liechtensteinie, człowiek zarówno towarzyski jak uczony, a przytem wielki lubownik sztuk pięknych. Kroniki przechowały nam opis jednej z takich zabaw, urządzonej w dzień urodzin biskupa 16. lutego 1744. W dniu tym stawiła się cała arystokracja morawska i urządziła weselny korowód chłopski, który stał się na długie lata przedmiotem podziwu miasta i okolicy. Przeszło 100 osób w kostjumach, a dwa razy tyle w zwykłych odświętnych strojach, brało udział w zabawie, której epilogiem był huczny bal na biskupim zamku!

Obok w t. zw. „dziekance kapitulnej" rozegrał się przed sześciuset właśnie laty dramat, który i na losy Polski niemało wpłynął. Ostatni władca z rodu Prze-

mysława, Wacław III., objąwszy w r. 1305 rządy po śmierci wcześnie zgasłego ojca, zamierzył odnowić walkę o koronę polską i polecił rycerstwu zbierać się w okolicy Ołomuńca, skąd miała ruszyć wyprawa. W sierpniu przybył do grodu, ażeby odbyć przegląd swych sił i zamieszkał w t. zw. „dziekance". W dniu 4. t. m. (1306) opuścił wieczorem parną komnatę, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem; zaledwie jednak wyszedł na krużganek, padł pod razami skrytobójcy, zniemczałego rycerza Konrada z Mühlhofu. Straż dopadła mordercę i zabiła go na miejscu — tak, że zbrodnia pozostała na wieki zagadką. Smierć Wacława otwarła drogę domowi Luxemburskiemu do objęcia tronu czeskiego i margrabstwa morawskiego. Równocześnie ułatwiła ona w znacznej mierze zadanie Łokietka co do konsolidacji Polski.

Pod opieką możnych biskupów kwitnęły nauki i sztuki. Pierwsza drukarnia na Morawach założoną została w Ołomuńcu przez biskupa Tosa z Boskowic w r. 1466. Drukarnia ta rozwijała się bardzo pomyślnie, a z pod jej pras wyszły dzieła pierwszorzędnego znaczenia. Tutaj też drukował nasz Bartosz Paprocki swe dzieło p. t. „Zwierciadło sławnego margr. morawskiego", która dla dziejów kraju i rodów morawskich, ma o wiele doniośléjsze znaczenie, niż „Herbarz" dla nas. „Zwierciadło" obejmuje całokształt dziejów i ustroju politycznego Moraw, historję możnych rodów, klasztorów etc. Dzieło ilustrowane jest wizerunkami herbów i ozdobione pięknie wykonanemi kartami geograficznemi.

W pobliżu pałacu arcybiskupiego mieści się przerobiona z kościoła bibljoteka, pozostałość dawnej akademji, a w ulicy Bożego Ciała widnieje gmach, w którym ta szkoła, powołana do życia przez Prusinowskiego, mieściła się z małemi przerwami do drugiej połowy XIX. wieku. Bibljoteka ołomuniecka jest wcale bogatą i interesującą; powstała ona z bi-

bljoteki kolegjum jezuickiego i ze zbiorów 40 przeszło klasztorów morawskich i śląskich, zniesionych za Józefa II. Obecnie posiada ona około 80.000 dzieł, 2500 rękopisów i przeszło 1000 inkonabuł. Ciekawe są piękne miniatury z XII. wieku, krajowego pochodzenia w t. zw. „Obrowickiej Ewangielji“, dalej wspaniała „Czeska biblia hr. Thonnar“ na pergaminie, zdobna artystycznemi miniaturami z drugiej połowy XV. w., własnoręczny kodeks Melanchtona i niekompletna biblia czeska na pergaminie z r. 1417.

Stojący obok gmach akademji był na początku XVIII. wieku widownią wielkiej awantury studenckiej, która zakłóciła na kilka dni spokój miasta, a której mimowolnym sprawcą był student Polak, nazwiskiem Ziembiński.

Rzecz miała się tak: W czasie egzaminu uczeń metafizyki Eljasz Ricci, niezadowolony, że kolega jego Polak Ziembiński otrzymał lepszy stopień, zachował się nieprzystojnie wobec rektora i odrzucił ostentacyjnie podaną mu togę magistra. Rektor polecił pedelowi, ażeby go zawezwał do kancelarji celem ukarania, Ricci jednak nie tylko nie usłuchał wezwania, ale w dodatku obił pedela. Stało się to 6. sierpnia 1719 r. Wobec tej zuchwałości posłano silny oddział straży, porwano opornego i zamknięto go w karcerze. Młodzież akademicka, uważając to za naruszenie swych praw, ruszyła w liczbie 300 na karcer, wyłamała drzwi i oswobodziła kolegę. Następstwem tego były tak znaczne rozruchy w mieście, że w rezultacie trzeba było użyć siły zbrojnej, poczem trzej główni przewódcy studentów odpokutowali awanturę kilkomiesięcznym aresztem w turmie miejskiej.

W pośrodku dużego i okazałego zamku wyższego wznosi się ratusz, ozdobiony smukłą wieżą i kunsztownym zegarem, o którym tak szeroko rozpisał się Sobieski. Jest to dzieło mistrza Antoniego Pohla, twórcy zegaru na staromiejskim ratuszu w Pradze

z XV. wieku i zaiste nie wiele ma sobie równych w świecie. Wskazuje on godziny, dnie, tygodnie, miesiące, pory roku, konstelacje niebieskie, ma kunsztowne dzwony, harmonijnie strojone, a nadto dowcipny mechanizm poruszający figury. Z uderzeniem godziny 12-tej zjawia się tedy szesnastu aniołów, z których każdy na swym dzwonku wygrywa młotem „arję", poczem zjawiają się trzej królowie, św. Józef i Marja z Dzieciątkiem w ucieczce do Egiptu, św. Wacław, którego głowa wykonuje wahadłowe ruchy, święty Jerzy i czterej mnisi... Kiedy zegar ten sprezentował się po raz pierwszy oczom zdumionych rajców, orzekli oni — jak głosi podanie, przywiązane i do innych zegarów tego rodzaju, — że mistrz wykonał go z pomocą djabelską. Nic nie pomogły zaprzeczenia i przysięgi; już to dlatego, że wierzyli w pomoc szatańską, już też, aby mistrz gdzieindziej podobnego arcydzieła nie stworzył, skazali rajcy Pohla na oślepienie.

— Niechże się wreszcie tak stanie, — rzekł z rezygnacją, — skoro jednak mam niesławnie ginąć, niech przynajmniej moje dzieło trwa wiecznie, zegar jednak stanie niebawem, jeżeli nie poprawię pewnej wady mechanizmu. Pozwólcie mi więc wejść raz jeszcze do wnętrza i uregulować mechanizm.

Pozwolili panowie rajcy, a mistrz wszedł do wnętrza i wyciągnął tylko jeden malutki gwoździk. I nagle wszystkie sprężyny się poruszyły, koła puściły się w szalony tan, odezwał się najpierw huk głuchy, potem przeraźliwy świst i dzieło długich lat zostało zniszczone!

Zegar stanął!

Stał tak długo, długo, aż dopiero wnuk Pohla, Hanusz, z pomocą cesarskiego matematyka Fabrycjusza, naprawił majstersztyk dziada. Później zegar znów stanął i dopiero po wielu próbach udało się go uruchomić w r. 1898. Po obu stronach tarczy zegarowej widnieją portrety Antoniego i Hanusza,

u spodu zaś jędrne hasła obu mistrzów. W ratuszu też znajduje się t. zw. kaplica Hieronima, ciekawy zabytek późnego gotyku z XV. w. ze starymi freskami, zmieniona dziś na historyczne muzeum miejskie, którego zbiory zasługują na uwagę.

Czeskie życie skupia się w Narodowym domu, bardzo obszernym i wygodnie urządzonym, który jednak pod względem architektonicznym nie przedstawia nic uwagi godnego. O wiele piękniejszym jest czeski dom narodowy w Bernie, dzieło Hausnera w stylu włoskiego odrodzenia, który już wyglądem mówi, że nie jest zwyczajną czynszową budowę.

Natomiast pięknym gmachem jest t. zw. „Pöttingeum" mieszczący w sobie wzorowy zakład wychowawczy dla dziewcząt czeskich, połączony z konwiktem i pensjonatem. Obok szkoły wyższej są tu szkoły: handlowa, przemysłowa, gospodarstwa domowego, języków, muzyki i śpiewu, pomieszczone w dużych, jasnych, pełnych powietrza salach. otoczone ogrodem, i zaopatrzone w najnowsze zdobycze na polu szkolnictwa i hygieny. Jest to pod każdym względem wzorowy instytut naukowo-wychowawczy; miał on w r. 1906 poważną cyfrę 465 uczenic, z czego 140 pensjonarek. Ciało profesorskie liczyło 36 osób, w tej cyfrze 12 nauczycieli, a 24 nauczycielek. Oprócz nauki programowej, odbywały się tu także bezpłatne kursy wieczorne, na które uczęszczało 113 uczennic, w tej liczbie wiele mężatek. Sale mieszkalne ponsjonarek, jadalnie i kuchnia imponują porządkiem i czystością; skromna zaś opłata czyni tę szkołę przystępną nawet mniej zamożnym. Pöttingeum zawdzięcza nazwę swemu dobroczyńcy, kanonikowi ołomunieckiemu, hr. Pötting - Persing, który ofiarował na ten cel 100.000 złr. w. a. Zakład powstał w r. 1896, a nazwisko fundatora otaczają morawscy Czesi wdzięczną pamięcią.

Niemniej ciekawą instytucją jest muzeum ołomunieckie, o którem już wspomnieliśmy, a którego

duszą był konserwator W u r m, fanatyczny wielbiciel pra-słowiańskiej kultury.

Kto dziś rzuci okiem na liczne dzienniki i tygodniki czeskie, wychodzące w Ołomuńcu, mieście liczącem nie całą ćwierćsetkę tysięcy mieszkańców, ten z trudnością uwierzy, że jest to dzieło czterdziestu lat ostatnich. A jednak tak jest istotnie! Pojawiły się wprawdzie w roku „złudzeń" pisma czeskie jak: *Holomoucke Noviny, Konstitučni Posel* i *Noviny Selske* — wszystkie w Ołomuńcu, dzięki ludziom jak Hanusz i Helcelet, ale w r. 1849 zniknęło to wszystko i zapanowała martwa cisza, aż po rok 1859. Nie wychodziło ani jedno czeskie pismo, ani literackie, ani polityczne lub fachowe. Dopiero po r. 1859 poczęło się ożywiać życie dziennikarskie i znów w Ołomuńcu. Žirovnicki zaczął wydawać pismo ludowe *Hvězda,* później Kubiczek *Moravana* w r. 1862, a w tym samym roku powstało w Ołomuńcu pierwsze stowarzyszenie czeskie: „Občanska Beseda". Dziś jest przeszło 50 różnych towarzystw czeskich! Właściwy ruch literacki, idący podówczas głównie z Ołomuńca, rozbudził się dopiero wówczas, gdy z dwóch czeskich gimnazjów utworzonych w Bernie i Ołomuńcu w r. 1867 przyszli abiturjenci na uniwersytet w Pradze.

Młodzież morawska zawiązała się w stolicy Królestwa w „Grono przyjaciół literatury", które wydawało almanach morawskiej młodzieży p. t. *„Zorza"*. Pierwszy rocznik poświęcony pamięci Palacky'ego, który właśnie umarł, wyszedł 1876, drugi poświęcony Fr. Bartošovi, w r. 1877. Redagowali kolejno to zbiorowe pismo J. Boubela, Leander Čech, Jan Vařeka, następnie znany pisarz morawski Fr. Bily, Vitězslaw Houdek i Józef Večera. Prace te powitała krytyka bardzo przychylnie, a szczególniej podniósł ją dyrektor gimnazjum ołomunieckiego Jan Kosina w *Matice mor.*, jako zapowiedź nowej jutrzenki literackiej na Morawie. W tym almanachu wystąpił po raz

pierwszy, słynny dziś profesor socjolog, dr. Tomasz Wlastymil Massaryk z rozprawą o Platonie. L. Čech, który wówczas pisał traktat o zapatrywaniach Arystotelesa na istotę tragedji, — zajął następnie jako estetyk jedno z pierwszych miejsc w literaturze czeskiej. Wielu z piszących wówczas młodzieńców skruszyło później swe pióra, zająwszy stanowiska w praktycznem życiu, wielu jednak pozostało wiernymi „pierwszej miłości" — jak J. Večera, J. Kallus autor obrazków z wołoskiej krainy, piewca Hostynia Fr. Táborsky (Fr. Hostivit), publicysta dr. J. Herben (Fr. Vojmir) i t. d. Wielki wpływ na literaturę czesko-morawską wywarła literatura rosyjska, czego dowodem już pierwszy znakomitszy pisarz morawski Gustaw Pflegr, autor wierszowanego romansu o „Panu Vyšinskym". Rosyjscy autorowie byli w lot przekładani przez Wilh. Mrštika, Ign. Hoška, Bronisławę Herbenowę, A. G. Stina i w. i. Zajmowali się także Morawianie żywo literaturą polską; Józef Koněrza przełożył najcelniejsze dzieła Kraszewskiego, Bałuckiego, Junoszy i Orzeszkowej, Wilhelm Mrštik przekładał Gomulickiego. Jan Hudec Grudzińskiego i Sienkiewicza, Nečas przetłumaczył wiele utworów Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli i „Marję" Malczewskiego. Nečas, a później p. Vymazal wydali antologie polskie.

Z języków obcych wyszły tłumaczenia najcelniejszych dzieł z pod pióra Alojzego Koudelki, Hugona Kosterky, dra T. Korca i ś. p. Ignacego Hořicy, który również był Morawianinem.

W pierwszej dobie rozwoju głównem centrum literatury był Ołomuniec. Rzecz naturalna: siedziba możnego arcybiskupstwa, fakultetu teologicznego i głównej bibljoteki krajowej, szczególniej się do tego nadawała. Tu zaczęło wychodzić literackie pismo *Koleda* i naukowy organ *Komensky*. Założycielami tych pism byli zasłużeni i skądinąd działacze narodowi Jan Havelka i Jan Kosina. Szkoła siała

pierwsze ziarna poczucia narodowego w sercach młodzieży, a nad siewem czuwał redaktor *Našinca* Józef Czernoch, poważny pisarz, który wraz ze swą żoną przebywał najchętniej w kołach młodzieży, zachęcając zdolniejszych do pracy literackiej. Wielkie usługi oddawało kółko literackie *Olimp*, stworzone w kasynie ołomunieckiem przez dyrektora gimnazjum, wzmiankowanego już Kosinę.

W późniejszym okresie rolę przewodnią w prasie i literaturze objęła stolica kraju, Berno...

Ołomuniec jest poważną placówką przemysłu, a zwłaszcza handlu, który jednak jest przeważnie w ręku Żydów i Niemców. Niemcy są też dotychczas panami w Izbach handlowo-przemysłowych, zarówno w Bernie, jak Ołomuńcu. W obwodzie Izby handlowo-przemysłowej w Ołomuńcu na 1,217.654 mieszkańców jest nie mniej jak 781.963 Czechów, a przecież ci ostatni na 48 wprowadzili zaledwie 11 swoich! Jeszcze gorzej jest w izbie berneńskiej, w której okręgu Czesi są w olbrzymiej większości, a na 48 członków Izby, zdołali zaledwie 6 swoich przeprowadzić.

Czesi jednak nie tracą nadziei i są przekonani, że już najbliższe wybory zmienią ten, iście monstrualny stosunek... Zdobywanie dalsze miast i uzyskanie należytego wpływu w Izbach handlowo-przemysłowych to najbliższe zadania, jakie zakreślili sobie Czesi.

Dalsza i bliższa okolica Ołomuńca nastręcza wiele pięknych wycieczek, zwłaszcza w błogosławioną krainę Hany. Jedną z najbliższych i najwięcej uczęszczanych miejscowości jest jednak słynna szeroko „Święta góra". Miejscowość ta, oddalona o milę od Ołomuńca, należała od wieków do hradyckiego klasztoru Premonstrantów; w dawnych czasach był tu mały kościołek, a raczej kapliczka, w której tylko od czasu do czasu odprawiało się nabożeństwo. W drugiej połowie XVII. wieku rozeszła się między ludem wieść o pojawieniu się w kaplicy cudownego

obrazu Najświętszej Panny. Około r. 1629 opowiadał sobie lud, że pewnej nocy otoczyła górę wielka światłość, dały się słyszeć niebiańskie pienia, a dwaj aniołowie w śnieżno-białych szatach zstąpili z niebios i umieścili w kościółku podobiznę Matki Zbawiciela. Na wieść tę poczęły ściągać olbrzymie tłumy nękanego klęskami wojny ludu, niosąc tu swe bole i szukając pociechy i pomocy... I odchodziło stąd wielu cudownie pocieszonych i uzdrowionych, zwiastując innym dobrą nowinę. Z roku na rok zwiększała się liczba pobożnych, w kronikach z r. 1705 zapisano ich liczbę z poprzedniego roku w cyfrze 150.000, w tym też roku odprawiono niemniej jak 6000 mszy św. W dniu 28. września owego roku panowało na św. górze większe niż zazwyczaj ożywienie; wszystkie zajazdy, gościnne domy, a nawet prywatne mieszkania były przepełnione. Na zegarze uderzyła wieczorna 9 godzina; wiele pielgrzymów spało już po trudach dnia, reszta gotowała się do spoczynku, gdy nagle rozległ się okrzyk trwogi. Pachołek jakiś, w jednym z największych zajazdów poszedł ze świecą do magazynu słomy, która się nagle zajęła. W jednej chwili płomienie ogarnęły gospodę; przerażeni pątnicy uciekali ze swych pokoi na chybi trafi; ci którzy mieszkali na dole, jakoteż ci, którzy z piętra wyskoczyli przez okno na ulicę, ocaleli. Było jednak wielu takich, którzy rzucili się ku schodom, na których zapanował szalony ścisk. Ci byli straceni! Darmo pospieszyli z ratunkiem inni pielgrzymi i wszyscy księża, darmo czyniono nadludzkie, bohaterskie wysiłki; morze ognia uniemożliwiło przystęp do skazanych na zagładę.

Wśród modłów księży, którzy udzielali z odległości odpuszczenia grzechów, ginęły skłębione ofiary straszną śmiercią.

Zginęło wówczas w ścisku i ogniu 121 ludzi, których złożono następnie we wspólnym grobie; po dziś dzień odbywają się w kościele msze żało-

bne za spokój ich dusz. Na miejscu katastrofy zbudowali zakonnicy piękną kapliczkę, poświęconą pamięci ofiar.

W pobliżu Ołomuńca jest wiele gniazd starych rodów i zameczków, a pałaców dzisiejszej arystokracji. Tuż obok Drahanowic, kolebki starego rodu czeskiego panów Drahanowskich z Penczyna, leży wioska Czechy ze wspaniałym pałacykiem hr. z Tarouca, w których ręku pozostaje prawie półtora wieku. Z tej rodziny pochodził pięknie w najnowszych dziejach Morawy zapisany, Fryderyk hr. Sylva Tarouca († 1881), hojny filantrop, mecenas nauk, który stworzył prawdziwie królewską książnicę, a następnie obdzielił nią różne czeskie instytucje. W północno-zachodniej stronie Ołomuńca leży nad Morawą, a raczej na wyspie przez nią utworzonej, miasto Litavel (Littau), posiadające kościół, który należał niegdyś do rycerzy św. Ducha. Dalej na północ leży miasto Sternberk, gniazdo starego i władnego rodu, na stoku morawskich Sudetów. Jest to stolica przemysłu bawełnianego, a liczy do 18.000 mieszkańców; miasto zamożne, rządne, odznaczające się prawdziwie holenderską czystością. Gród ten założył Jarosław ze Sternberka, wsławiony w poezji ludowej junak, pogromca Tatarów w r. 1241 i zbawca Ołomuńca. W ruinach zamczyska kryć się mają olbrzymie skarby odebrane niegdyś Tatarom, a strzeżone pilnie przez duchy. Był jednak szczęśliwiec, który je widział, ubogi pasterz z okolicznej wsi:

...„Błądząc po polach i lasach ujrzał raz cudowne kwiecie, które zerwał i przypiął do kapelusza. Ledwie włożył kapelusz na głowę, a oto ujrzał się przed bramą kryształowego pałacu, w obliczu wieszczki-czarodziejki przecudnej urody. Wieszczka spojrzała uprzejmie na młodziana i zaprosiła go do wnętrza pałacu, w którym znajdowały się nieprzebrane skarby w kruszcach i drogich kamieniach, przecudnego blasku, który bił łuną.

— Masz tyle czasu, ile potrzeba na zmówienie pięciu pacierzy; skorzystaj z niego i bierz ile zapragniesz. Pamiętaj tylko, ażebyś wychodząc nie zapomniał zabrać najkosztowniejszej rzeczy. I zniknęła!

Pasterz rzucił się ku skarbom, ładował nimi wszystkie kieszenie, szukając usilnie owego „najkosztowniejszego przedmiotu“. Nie wiedząc co może być „najkosztowniejszem“, a obawiając się, ażeby przez opóźnienie nie stracić swej zdobyczy, rzucił się ku wyjściu. Stojąc już na progu pomyślał, że ma jeszcze kapelusz, w który zmieści się wiele skarbów, więc począł je zgartywać i wrzucać do kapelusza, wybierając co największe kamienie. W tem upadł przypięty niezbyt silnie ów kwiat tajemniczy, który pasterz, opanowany gorączką złota, odtrącił nogą precz od siebie. W tej chwili dał się słyszeć huk przeraźliwy i jakaś tajemnicza siła porwała pasterza i wyrzuciła go za bramę, która zamykając się przycięła mu piętę. Kiedy pasterz przyszedł znowu do siebie, nie było już ani zamku, ani bramy, a w kieszeniach żwir i piasek...

W pogoni za złotem, wzgardził czarodziejskim kwiatem i to go zgubiło.

Jak często zdarza się to w życiu!

Ludność północnego pogranicza Moraw jest przeważnie niemiecką; górale ci żyją w dosyć ciężkich warunkach, trudniąc się głównie tkactwem i obrabianiem drzewa. Lud pracowity, zapobiegliwy, trzeźwy, a choć bardzo chłodny, to przecież zaciekły w swoich zapatrywaniach. Niemcy poczęli się ściągać na Morawy w XIII. w. protegowani przez dwór i duchowieństwo; bardzo silnym był napływ zwłaszcza za Ottokara II. i jego znakomitego kanclerza — Niemca Brunona. Kolonizatorami na wielką skalę byli też rycerze św. Jana i Niemieccy, osiedli na podstawie przywileju margrabiego Władysława. Wczesne to osadnictwo niemieckie na słowiańskiej ziemi i ścieranie się dwóch tak różnych

języków, wytworzyło też różne dziwaczne nazwy miejscowości. Starosłowiańskie Lhoty (nasza Wola) zmieniały się w ustach niemieckich na Ellgot, Ohlhütten, Gottle etc. Bitov przekształcono na Vöttau, Mohelnicę na Müglitz, a co najciekawsza, z Rymarzowa zrobili Niemcy Römerstadt, czyniąc go wbrew dziejom, rzymską kolonią przeciwko Markomanom...

Zwróćmy się jednak ku południowi w stronę Hany i jej właściwej stolicy Prościejowa (Prossnitz). Stare to miasto, odległe o trzy mile od Ołomuńca, leży przy drodze kolei Północnej i jest dziś poważnym rynkiem zbożowym dla całej okolicznej ludności. Znajdują się tu liczne zakłady naukowe, piękna fara z początku XVI. wieku, wcześniejszy jeszcze kościół św. Piotra i Pawła, kościół z klasztorem Braci Miłosiernych i poważna starożytna radnica. O zamożności i kulturze dawniejszych mieszkańców, świadczy korzystnie patrycjuszowski dom Schanélův ozdobiony rzeźbą; place i ulice miasta zdobią liczne posągi i figury świętych, a między tymi szczególniej uwagi godna statua M. Panny z początku XVIII. wieku. Patrząc na te dowody religijności, nie przypuściłby nikt, że Prościejów był niegdyś główną twierdzą sekciarstwa i widownią zaciętych walk religijnych. Pod opieką możnych panów z Pernšteinu kwitł tu długo husytyzm; „bracia“ mieli tu swą drukarnię (1525), szkoły, konwikt dla kształcenia duchowieństwa i tu odbywali sześciokrotnie swe synody. Dopiero w drugiej połowie XVI. wieku zmieniły się stosunki na gorsze dla „Jednoty“. W owym to czasie pan Wojciech z Pernšteinu, fantasta religijny, uwziął się zreformować „braci“ i stworzyć nową sektę. Odrzucał on Mszę świętą, a zwłaszcza św. Ofiarę, a natomiast przyswoił sobie wiele z zasad luteranizmu. Zapalony nowator prześladował wszystkich, którzy nie chcieli wierzyć na jego modłę, co prawda nie długo, gdyż niebawem (1561) umarł. Po jego śmierci

objął rządy nad Prościejowem Wratysław z Pernšteinu, gorliwy katolik, który zaciężył i nad prawowiernymi „Braćmi“ i nad zwolennikami swego poprzednika! Koniec sekciarstwu położyła tu jednak dopiero bitwa białogórska. Korzystając z tolerancji dawnych panów, ściągali się tu także i Żydzi, którzy już w r. 1540 mieli własną gminę, szkołę i bożnicę; do dziś też żywioł żydowski jest w tem mieście bardzo licznie reprezentowany... Zamożne niegdyś i kwitnące miasto ucierpiało tak dalece w czasie wojny trzydziestoletniej, że po jej ukończeniu liczyło zaledwie 2000 mieszkańców. Dziś należy Prościejów do najludniejszych osad na Morawach; rządzi się własnym statutem i liczy z górą 25.000 mieszkańców, przeważnie zamożnych, a przynajmniej dobrze się mających. Miasto rozwija się tak szybko, że niedługo przerośnie co do liczby ludności Ołomuniec.

Prościejów jest miejscem urodzenia kilku wybitnych i głośnych ludzi; tu rodził się Jan Czerny (Niger) znamienity lekarz i autor pierwszego zielnika czeskiego, wydanego w Norymberdze 1517 r. Nieco młodszym był Jan Filipec, znany więcej jako Jan Bossak, późniejszy biskup Waraždynu i głośny w Europie kanclerz króla Macieja węgierskiego. Gorliwy katolik, nie był jednak fanatykiem, a nawet pod koniec życia gdy złożywszy swe godności, wstąpił do zakonu OO. Franciszkanów, utrzymywał przyjazne stosunki z towarzyszem swej młodości, kolegą ze szkoły „braterskiej“ w Prościejowie — Janem Klenowskim, husytą. Klenowski ów, to także ciekawa figura. Był on wesołkiem króla Jerzego z Podjebradu, a zajmował na dworze czeskim stanowisko naszego Stańczyka. Paleček — tak bowiem go zwano — był ulubieńcem króla i dworu, choć dowcipy jego zaprawne były często gorzką ironją. Pod względem politycznym był fanatycznym narodowcem, pod względem religijnym niezłomnym wyznawcą „Jednoty“. Był to człowiek rozumny i wytrawny; biskup Bossak ma-

wiał, że „Ctibor Tovaczovski, on i Páleček, potrafi we trójkę poradzić sobie z całym światem“. Nazwisko Palečka jest do dziś w Czechach bardzo popularne; stanowi też ono firmę jednego z najlepszych humorystycznych pism czeskich.

Sławnym synem Prościejowa był też Maciej, piszący się skromnie murarzem, w istocie zaś mistrz w swej sztuce. Po dziś dzień dzieła jego sławią jego imię, a dziełami temi są dwa gmachy, łączące się ściśle ze wspomnieniem krwi jagiellońskiej na czesko-morawskim tronie: Władysława, syna Kazimierza Jagiellończyka; — wieża prochowa w Pradze, jeden z najpiękniejszych zabytków architektury w stolicy czeskiej — i słynny w świecie kościół św. Barbary w Kutnej Horze.

W nowszych już czasach zasłynął inny syn tego miasta, jako bojownik i męczennik za sprawę wolności, znany i u nas we Lwowie, gdzie w pierwszych dniach wiosny r. 1848 stał garnizonem. Był nim dzielny oficer Wacław Messenhauser, późniejszy rewolucyjny komendant Wiednia, rozstrzelany wreszcie mimo interwencji Smolki, na rozkaz Windischgrätza, w dniu 16. listopada 1848 w fortecznej fosie Wiednia. Urodził się on w Prościejowie w dniu 4. stycznia 1813 r.

Na drodze z Prościejowa do Berna znajduje się miasteczko Wyszków, obok zaś wieś Iwanowice, z którą się łączy pamięć jednego z największych oryginałów morawskich XVIII. w. Był nim Jan Wacław Przepicky, ostatni potomek starego rodu. Ukończył akademję w Ołomuńcu, podróżował wiele po Europie i znany był jako młodzieniec pełen serca i rozumu. Po śmierci ojca, który zostawił mu majątek znaczny, ale zadłużony, zabrał się energicznie do pracy, wkrótce oczyścił go zupełnie i zasłynął jako wzorowy gospodarz. Posępniał jednak widocznie, unikał ludzi z każdym rokiem więcej, a wreszcie zupełnie zerwał ze światem. Most zwodzony prowadzący

do starego zamku, otoczonego wałami i fosami, bywał odtąd stale ściągnięty; rządca i poddani, dla których był zresztą zawsze łaskawym panem, mieli wyznaczony dzień jeden w tygodniu, w którym mogli z nim mówić. Kucharz, raz tylko w tygodniu wyprawiany bywał do miasta, ażeby nie trzeba często spuszczać mostu, a całą służbę samotnika stanowiło dwoje ludzi: strzelec i służąca. Rzadko tylko i to na krótko opuszczał swą siedzibę, utrzymując stosunki tylko z kilkoma kolegami, jeszcze z Ołomuńca. Znajomi ci starali się go nakłonić do zmiany trybu życia; odpowiadał na to uśmiechem i wzruszeniem ramion...

Aż pewnego razu, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, iż dziwak ów żeni się z ubogą panienką z sąsiedztwa, którą gdzieś przypadkowo poznał na polu. Panna była urodziwa, on miał dopiero 34 lat, sądzono więc, że małżeństwo zupełnie go odmieni. Wesele odbyło się z wielką okazałością i przepychem.

Nazajutrz jednak młody małżonek odesłał swą żonę rodzicom, wraz z dokumentem, który zapewnił jej roczną rentę w kwocie 1000 złr., pod warunkiem jednak, ażeby nigdy nie starała się do niego zbliżyć! Od tej pory odciął się zupełnie od świata. Zamieszkał w jednym pokoju na wieży, z którego okratowanych okien mógł oglądać całą swą posiadłość; drzwi były stale zamknięte, było w nich tylko okienko z zasuwą, przez które rozmawiał ze swym rządcą i służbą i odbierał jedzenie tylko raz dziennie. Zresztą spędzał czas na czytaniu książek religijnej i historycznej treści. W piecu palił sam, gdyż do pokoju nikogo nie wpuszczał, obok swego łóżka miał zaś dowcipnie obmyślany przyrząd, który pozwalał mu spuścić lub podnieść most, tak, że bez jego wiedzy ani nikt wejść, ani nikt wyjść nie mógł. Miał również połączenie z wieżowym dzwonem, którym przyzywał służbę. Co poniedziałku o dziesiątej stawał przed

okienkiem rządca z raportem i pieniądzmi, odbierając również rozporządzenia, które świadczyły zawsze o wielkim rozumie i rozwadze, jak niemniej o znajomości zasad gospodarstwa. Pewnego dnia udało się jednemu z jego dalekich kuzynów wkraść się za kucharzem do zamku i dostać aż do drzwi samotni. Ujrzawszy gospodarza, począł do niego gorąco przemawiać, wskazywał mu obowiązki wobec kraju i rodziny i wzywał, ażeby zmienił tryb życia. Dziwak wysłuchał go spokojnie przez okienko i rzekł wreszcie:

— Nie jesteś dobrym lekarzem! Ja potrafię być lepszym.

To mówiąc wyjął ze skrzyni 3000 dukatów i podając kuzynowi rzekł zimno:

— Ty to jesteś prawdopodobnie cierpiący... a tu masz plaster na twe dolegliwości! Oświadczam jednak, że w razie recydywy, odmówię mej pomocy!

Zasuwa spadła z trzaskiem!

Żył tak przeszło trzydzieści lat w brudzie nie do opisania; nikt nigdy nie dostrzegł u niego śladu pomieszania lub melancholji, ale i uśmiech zadowolenia nigdy nie rozjaśnił jego twarzy, nawet wówczas, gdy poddanym świadczył dobrodziejstwa; był zawsze zimny, jednako apatyczny. Nagle w dniu 12. września 1765 rozeszła się we wsi wieść, że most zamkowy stoi spuszczony. Wszyscy pospieszyli więc do zamku pełni niepokoju, a na ich czele rządca, który mieszkał we wsi. Tu przedstawił się przybyłym groźny widok: drzwi były wyłamane, na ziemi leżał starzec z roztrzaskaną głową, brocząc we krwi własnej, tuż obok żelaznej skrzyni, również rozbitej i zrabowanej. Według obliczeń rządcy, powinno tam być około 70.000 złr. Pies, który był jedynym jego towarzyszem, leżał również nieżywy. Rozpoczęto natychmiast poszukiwania; z jednej strony zamku odkryto drabinę, stojącą przy rozbitem oknie. Sznur od dzwonu był przecięty, a w ręku zmarłego znaleziono

kilka włosów, wydartych snać mordercy podczas krwawej walki. Ponieważ włosy te podobne były do włosów strzelca, przeto uwięziono go i poddano torturom. Mimo kilkakrotnych mąk, skutkiem których niebawem umarł, nie zdołano nic z niego wydobyć. Równocześnie aresztowano jakiegoś żyda z Polski, który się kręcił po okolicy i zwrócił na siebie podejrzenie. Znaleziono przy nim znaczniejszą sumę pieniędzy, z których nie umiał się wytłumaczyć i odkryto na ubraniu krwawe plamy. I on więc dany był katowi w Bernie, ale podobnie jak strzelec, stanowczo zapewniał o swej niewinności. Skazano go jednak na długie więzienie, które odsiedział w berneńskim ratuszu. Śmierć zaś dziwaka-samotnika, ostatniego z rodu Przepickych, pozostała na zawsze niewyjaśnioną tajemnicą...

Zbliżając się ku stolicy Moraw, przejeżdżamy przez miejsce pamiętne krwawą bitwą, mianowicie przez pola Sławkowa. Krwawe miejsce nie jest oznaczone żadnym pomnikiem, na jednym tylko pagórku bieleje kapliczka zwana „Napoleońską“. Tutaj to starło się 74.000 Francuzów z 86 tysięczną armją austrjacko-rosyjską, pozostawiając po zaciętej walce przeszło 10.000 trupów na polu bitwy.

Straszne żniwo!

W Sławkowie znajduje się piękna rezydencja hr. Kauniców, zbudowana przez słynnego kanclerza austrjackiego, w stylu cesarskiego pałacyku w Laksenburgu. W pałacu jest archiwum rodzinne, duży zbiór obrazów pierwszych w świecie mistrzów i doborowa bibljoteka. Gościła tu przez pewien czas b. arcyksiężniczka Stefania, już jako hrabina Lonyay.

W okolicy Sławkowa, który Niemcy przezwali Austerlitzem (!!) są osady założone jeszcze przez Ottokara II. i jego kanclerza Brunona. Osad tych było 29, a wszystkie były niemieckie, dziś 7 z nich ma ludność wyłącznie czeską. Jest to objaw wielce charakterystyczny.

Morawy obok Czechów i Niemców mają także i nielicznych obywateli chorwackiego pochodzenia.

Sławków godzien jest uwagi jako pole nietylko bitwy trzech cesarzy; dla ludu czeskiego pamiętniejszy jest tem, że tu w pobliżu, w Nowym Rusinowie, urodził się r. 1804, jeden z najzasłużeńszych bojowników odrodzenia, ks. Franciszek Suszil, uczony i poeta. Syn młynarza-oberżysty, uczył się doskonale, a z zamiłowamien oddawał się nauce śpiewu i muzyki w ogólności; ukończywszy teologję w Bernie, objął posadę wikarego w niemiecko-czeskiej podówczas parafji olbramowickiej. Równie troskliwy o obie narodowości, lubiany też przez obie, lgnął jednak przedewszystkiem do swoich, dla których stał się istną opatrznością. Jego wiedza otworzyła mu przystęp do katedry teologicznej w Bernie, na którem to stanowisku pozostał do śmierci, wychowując młode pokolenia w duchu katolicko-narodowym. Najznakomitszem jego dziełem jest „Zbiór pieśni ludowych“, owoc trzydziestoletniej wędrówki po kraju, tem cenniejszy, że Suszil jako wyborny muzyk, umiał pochwycić najsubtelniejsze odcienia każdej arji. Rzecz prosta, że w czasie tych wędrówek nie tylko zbierał pieśni, ale budził i uświadamiał lud, ucząc go miłości ojczystych spraw i pamiątek. Zbiór wydany w czasie 1853—1860, obejmuje przeszło 2000 ludowych pieśni, stanowiących nieoceniony skarb dla etnografa i folklorysty. Prócz tego wydał on zbiór „Hymnów kościelnych“ i cztery tomy oryginalnych „Baśni“, nacechowanych wielką wiarą i wielką Ojczyzny miłością, które to uczucia za nierozdzielne uważał. „Kościół i Ojczyzna — pisał, — każde ma połowę mego serca, a ono oboje kocha niepodzielnie“. Obok tego brał żywy udział w życiu publicznem, opiekował się gorliwie czeską młodzieżą rzemieślniczą i szkolną, ożywił znakomicie zduszony przez Niemców i duchowieństwo niemieckie kult św. Cyryla i Metodego, który stał się

silną spójnią narodową. Największą pracą literacką Franciszka Suszila, jest przekład Nowego Testamentu (1863—1872) z obszernymi komentarzami. Nad dziełem tem pracował lat 30, przejrzał i porównał wszystkie dotychczasowe przekłady, nie tylko czeskie, ale i słowiańskie wogóle. Jego też dziełem są „Pisma ojców apostolsk. Kościoła". Praca nadwerężyła jego nie tęgie i tak zdrowie; w r. 1868 zapadł na chorobę płucną i udał się do umiłowanego Hostynia na żętyczną kurację, gdzie jednak już po dziesięciu dniach umarł. Ciało jego przewieziono do Berna i złożono obok zwłoków jego przyjaciela Macieja Prohasky. Pomnik na cmentarzu berneńskim ozdobiony jest podobiznami obu przyjaciół...

A oto i stolica Moraw już przed nami!





VI.

Berno.

Położenie; skąd nazwa?; z przeszłości; dzisiejszy charakter miasta; zwycięzki pochód Czechów; austrjacki Manchester; sukiennictwo; przechadzka po mieście; Wielki rynek; Zielny targ; Prusacy w Bernie; muzeum krajowe; malarstwo na Morawach; Józef Uprka i brat jego Franciszek, rzeźbiarz; słowacka szkoła; pług cesarza Józefa II.; kostjumy i wyszywki ludowe; Velechram; djecezja berneńska; muzeum przemysłowe; Besedni dom i jego kulturalne znaczenie; pierwsi literaci; wydawnictwa naukowe i fachowe; Wincenty Bradl i Franciszek Bartosz; scena czeska i jej stan obecny; hotel Slavca; gmach sejmowy; stany morawskie i ich losy; germanizacja; trudna walka; różnica stosunków w Czechach i na Morawach; zasługi duchowieństwa; Czesi i Morawianie w dobie odrodzenia; skutki rozumnej polityki; sejm w nowym gmachu; jego działalność i pakt narodowościowy z r. 1906; stosunki narodowościowe na Morawach; gmachy i kościoły; spacery, ogrody i pomniki; słup Zděrada; gminy podmiejskie — posterunki czeskie.



W samym niemal środku kraju, gdzie góry czesko-morawskie od północno-zachodniej strony spadają łagodnie ku wielkiej równinie, aż po Dunaj się ciągnącej, tuż u zbiegu rzek Szwarcawy i Świtawy, które uściskiem swym obejmują miasto na kształt półwyspu, leży Berno (Brno), stolica Moraw. Zbieg rzek tworzy rodzaj delty, której podstawą

są faliste pagórki, rozpływające się zwolna w dolinę; w pośrodku utworzonego w ten sposób trójkąta widnieje miasto, rozrzucone malowniczo po mniejszych i większych pagórkach. Miejscowość ta musiała już w najodleglejszych czasach zwrócić na siebie uwagę korzystnem położeniem; ocenić je potrafił i kupiec i żołnierz. Od północno-zachodniej strony widnieje nad miastem potężny złom skalny Spielbergu (Grajgóry), na zachodzie zaś, niby bastjon naturalny, wznosi się góra Franciszka, z której kwiecistych grzbietów odsłania się prawdziwie piękny widok na miasto i okolicę. Szkoda tylko, że obie rzeki, które zlewają się w południowej stronie miasta, mają zbyt mało wody i nie mogą być wydatniej wprzęgnięte do służby przemysłu; dla miasta i jego rozwoju byłoby to rzeczą nieocenioną. Płynąca od północy Świtawa, ma zaledwie tyle wody, ażeby podołać młynom stojącym na jej drodze, zwłaszcza, że począwszy od Obrzan, płynie równiną; Szwarcawa zaś, której doliny w górnym biegu zachwycają malowniczością, zacieśnia się w pobliżu samej stolicy, nie stając się przez to bogatszą w wodę. Przyznać jednak trzeba, że brzegi Szwarcawy obok Berna, błyszczące żywemi barwami skał i roślinności, porosłe winem i drzewami, są wcale piękne. Czerwonawe te i żółtawe skały, przedzielone od miasta wąwozem, dźwigają na sobie cytadelę Grajgóry, straszniejszą swoim — niż wrogom! W tem miejscu stał też gród pierwotny, z którem związane były losy osady, rozwijającej się pod jego opieką...

O nazwę zarówno góry, jak i samego miasta, trwają dotąd spory; nazwa Spielberg, zdaje się brzmiała dawniej Spiegelberg, a pochodzi z łacińskiego *speculum* (spicere, spähen — wypatrywać, śledzić), a więc „góra strażnicza“ lub „czatownia“ — a w żadnym razie „Grajgóra“, żywcem ze *Spielbergu* przejęta. Nazwa ta jednak tak się u nas utarła, że uzyskała już prawo obywatelstwa. Aż do

Luksemburgów zwał się zamek poprostu „Grodem berneńskim“ — od tego czasu dopiero spotykamy się z nazwą Spielberg. Sądzą więc niektórzy, że nazwa ta przechowuje pamięć licznych a hucznych zabaw, które wyprawiał tu Jan Luksemburski, rozkochany w dziełach rycerskich, z nadzwyczajną okazałością. W każdym razie dziś nazwa ta jest zupełnie usprawiedliwioną; góra bowiem, zmieniona w piękny ogród spacerowy, jest obecnie terenem popisów kapeli wojskowych, które stanowią największą atrakcję dla Berneńczyków. Sporne również są sądy o genezie nazwy miasta: jedni sądzą, że zarówno niemiecka jak słowiańska nazwa wskazuje na strategiczne znaczenie, gdyż niemieckie *„Brünne“* i czeskie *„Brň“*, oznaczają zbroje, koszulę pancerną. Inni szukają źródła nazwy w „Perunie“, (także „Pronie“), który tu był czczony i miał swój chram; najprawdopodobniej jednak nazwa ta ma uzmysławiać niegdyś błotniste położenie tego grodu. Zdaje się, że przed wiekami powstał tu gród *Eburum*; od cetlyckiego ebur — błoto, co kryłoby się ze staro-słowiańską nazwą *brnije* — grzęzawisko, jakiem to miejsce zapewne wówczas było. Berno pojawia się na widowni dopiero w połowie XI. stulecia, a niebawem staje się stolicą książąt lennych, wojewody i króla czeskiego, aż wreszcie osiadają tu „margrabiowie“ morawscy i wynoszą Berno do godności stolicy kraju. Wacław I. nadał miastu (1243) prawo niemieckie, które wkrótce jako prawo berneńskie, stało się wzorem dla miast innych, nie tylko na Morawach, ale też w Rakuzach, na Węgrzech i Śląsku. Dokument Wacława świadczy nadto, że już wówczas było Berno poważnem środowiskiem handlu, skoro spotykamy tam kupców flandryjskich i to tak licznych i zamożnych, że budują sobie kościół św. Mikołaja. Nie brakło też kolonji żydowskiej, której prawa określił bliżej Ottokar w r. 1268; wówczas były tu już osobne parafje: niemiecka — u św. Jakóba i czeska u św. Piotra. Od czasu wprowadzenia

prawa niemieckiego, ściągali się osadnicy niemieccy czemraz liczniej, ujmując w swe dłonie przemysł i handel, zwłaszcza suknem. Dobrobyt miasta wzrósł jeszcze, gdy król Jan nadał mu przywilej wyłącznej sprzedaży towaru niederlandzkiego. Monarcha ten, który, jak cała rodzina luksemburska, był nieustannie w kłopotach finansowych, często odwoływał się do kieszeń mieszczan berneńskich, którzy za cenne przywileje, chętnie szli mu na rękę. Tak samo było z Ferdynandem I. i Rudolfem II., zwłaszcza, że w dobie husytyzmu mieszczaństwo niemieckie Berna stało wiernie przy dworze, a walczyło przeciw Husytom, a nawet przeciwko królowi Jerzemu. Gdy jednak zagościł na Morawy protestantyzm niemiecki, zmieniły się radykalnie uczucia Berneńczyków; lgnęli oni chętnie do „nowinek“, a nawet i nowochrzceńcy utworzyli tu niebawem silną kolonję. Jakkolwiek miasto rządziło się własnem, niemieckiem prawem, to jednak w stosunku do władz krajowych, które używały wyłącznie języka czeskiego, musiało się krajowym językiem posługiwać. W czasie wojny trzydziestoletniej zmienił się też stosunek dworu do miasta; wobec postępów protestantyzmu w mieście, cesarz odjął mieszczanom gród na Grajgórze i osadził w nim swą załogę, która była dla miasta ciągłą groźbą. Miasto jednak zostało politycznie wiernem, a mieszkańcy jego tak dzielnie bronili miasta przed Szwedami, pod słynnym Torstensonem (od 3. maja do 15. sierpnia 1645), że po odstąpieniu wroga, cesarz Ferdynand III. nadał 22 rodzinom patrycjuszowskim szlachectwo, a na herbie miasta pozwolił umieścić swe początkowe litery z cyfrą. Czterokrotnie padło Berno ofiarą moru, a w końcu XVIII. i na początku XIX. wieku często było w wojennej opresji. Po raz ostatni stanął wróg przed murami Berna w 1866 — wnosząc ze sobą bakcyle teutońskie, które doskonale się rozwinęły.

Berno było do niedawna główną twierdzą niemczyzny, a i dziś jeszcze przemożny żywioł niemiecki

nadaje, w sposób dosyć brutalny, piętno miastu, jakkolwiek czuje to sam zapewne, że długo w tej roli się nie utrzyma. Na pierwszy rzut oka sprawia Berno i dziś jeszcze wrażenie niemieckiego miasta; u wyjścia z pięknego i obszernego dworca, wita przybysza pruska pikelhauba stójkowego, napisy na wozach kolei elektrycznej, na tablicach ulicznych, na biurach i urzędach miejskich są wyłącznie w języku niemieckim...

Ale jednogodzinny pobyt w mieście już wystarczy, ażeby przykre uczucie się zatarło; niemieckość bowiem Berna jest już dziś fałszem, blichtrem, z pod którego czeski charakter miasta czemraz silniej się wybija... Inaczej wyglądało Berno przed dwudziestu jeszcze laty! Wówczas z rzadka tylko słyszało się we właściwem mieście, siedzibie zamożniejszego mieszczaństwa, czeskie słowo; musiało się mieszkać w niemieckich hotelach, gdzie z rozmysłu nie rozumiano słowiańskiego języka, jadać w niemieckiej restauracji podług niemieckiej *„speiskarty“*, czytać w kawiarni wyłącznie niemieckie dzienniki. Dziś mają już Czesi i hotele i restauracje i kawiarnie, mają liczne banki, szkoły, czytelnie, piękne magazyny, księgarnie, drukarnie i liczne pisma perjodyczne. Śmiało można się obejść bez niemczyzny, a nawet zupełnie gościć w Bernie, używając jedynie polskiego języka.

Berno jest centrem przemysłu morawskiego i chętnie zowie się „austrjackim Manchesterem“. Z którejkolwiek strony patrzymy na miasto, zewsząd widzimy las ogromnych kominów, które chmurami dymu przysłaniają miasto, nadając mu specyficzny wygląd i... zapach. W XVIII. wieku powstała pierwsza fabryka, której komin stał się znamieniem przyszłości morawskiej stolicy. Wielki przemysł jest prawie wyłącznie w niemieckiem ręku, co się tłumaczy tem, że Słowianie wogóle nie uprawiali na szerszą skalę przemysłu, a następnie i tem, że rząd przez długie lata popierał wyłącznie Niemców na niekorzyść

Słowian, także i w przemyśle. Berno słynie głównie sukiennictwem; pierwszą fabrykę założył rząd w r. 1764, poczem już szybko powstawało jedno przedsiębiorstwo po drugiem. Obok Berna najgłówniejszemi centrami sukiennictwa na Morawach są miasta: Igława, Holeszów, W. Międzyrzecze, Trzebowa, Nowy Iczyn i Fulnek. Wartość wyrobów wełnianych przenosi cyfrę 100 miljonów koron. Obok sukiennictwa kwitnie tu garbarstwo, cukrownictwo, (które na Morawach zatrudnia wogóle wiele rąk w okolicy Hodonina (Göding), Przerowa, Hulina, Hradyszcza etc.) wyrób cegieł, narzędzi rolniczych etc.

Miasto rozrzucone pagórkowato, składa się właściwie z dwóch części: starego miasta, odciętego niegdyś od przedmieść wałami, które dziś zmieniono na piękne promenady — i z większego o wiele nowego miasta, obejmującego dawne przedmieścia. Stare miasto ma charakterystyczne, wązkie, nieregularne ulice, w których skupia się głównie handel. Najpiękniejsze magazyny, nie ustępujące wiedeńskim, widzi się w ulicy Ferdynanda, łączącej dworzec kolejowy z wielkim rynkiem. Dworzec kolei północnej i państwowej zamykający piękny plac i stanowiący tło ulicy Ferdynanda, jest budynkiem okazałym, masywnym i bogatym w architektoniczne ozdoby. Leży on tuż przy bulwarach otaczających miasto, naprzeciwko również okazałego *Grand-Hotelu,* do którego jednak słowiańskiemu gościowi zajechać nie wypada, od czasu gdy istnieje wykwintnie urządzony czeski hotel „Slavia“ w ulicy Sokolnickiej. Przed dworcem ruch bardzo znaczny; krzyżują się tu linje tramwaju elektrycznego, stoją rzędem wygodne dorożki, czekają omnibusy hotelowe, a na skromniejsze pakunki, tragarze z wózkami ręcznymi. Na dworcu niemałe ożywienie, co chwila bowiem przychodzą lub odchodzą pociągi, przeważnie przepełnione, zwłaszcza wieczorem w sobotę, gdy tysiące robotników spieszy do domów i rodzin w pobliżu miasta.

Jedziemy tedy ulicą Ferdynanda w górę, ku właściwemu centrum miasta; jest niem wielki rynek, Velké namesti, ku któremu zbiega się siedm ulic, między niemi równie piękne jak ulica Ferdynanda, ulice: Kościelna od północy i Kobliżna od wschodu. Tu też zbiegają się główne arterje kolei elektrycznej, która dużą siecią pokrywa miasto i najdalsze przedmieścia, ułatwiając znakomicie komunikację. Wielki rynek godzien jest swej nazwy zarówno ze względu na przestrzeń, jak i otoczenie; są tu piękne magazyny, liczne banki i dwie potężne instytucje finansowe: Eskontowy bank morawski i filja „Živnostenskiej“. W rzędzie pięknych budynków zwraca uwagę dom margrabiów morawskich *(domus marchionis)*, w którym mieszkali zazwyczaj królowie w czasie swego pobytu w Bernie, pałac hr. Mitrowskich, gdzie się mieści wyżej wspomniana filja „Živnostenskiej“ i pałac hr. Kauniców (Kouniców) pamiętny tem, że w nim to stany morawskie w r. 1618 orzekły detronizację Habsburgów, a okrzyknęły królem Fryderyka z Palatynatu, zwanego w dziejach Królem Zimowym. W północnej stronie zamku widnieje piękna statua N. Panny, kamienny znak gorących modłów w czasie wielkiego powietrza w r. 1679. Wielki rynek gromadzi zwłaszcza w zimowych wieczorach całe towarzystwo berneńskie, które ma tu swój punkt zborny; pięknie oświetlony i wypełniony spacerującymi tłumami, wywołuje zawsze prawdziwie wielkomiejskie wrażenie. Berno wogóle robi wrażenie większego miasta, aniżeli jest niem w istocie, licząc bez wojska zaledwie 110.000 mieszkańców, w czem 43 — 45.000 Czechów. Natomiast rozległość miasta jest znaczna, zajmuje ono bowiem nie mniej jak 16·7 km^2.

Właściwem jednak ogniskiem, że tak powiem „powszedniego“ życia jest t. zw. „Zielny“, czy też „warzywny“ targ (Krautmarkt, Zelny trh) niezwykle ożywiony zwłaszcza rano. Dodnia już zasiadają tu wiejskie gosposie przy straganach pełnych jarzyn,

wybornych owoców, nabiału, pieczywa, a i prześlicznych kwiatów, które mają licznych nabywców. Nie brak tu też i innych straganów z różnymi artykułami gospodarstwa domowego, rolnego i przemysłowego, kramów wędrownych i tandeciarzy obficie zaopatrzonych we wszystko, czego kto potrzebuje. Na placu widnieje posąg św. Trójcy, a prawdziwą jego ozdobą jest studnia „Parnas“, dzieło słynnego B. Fischera z Erlachu. Jest to rodzaj groty skalnej, ozdobionej na szczycie postacią kobiecą, z mieczem i berłem w dłoni, w otoczeniu grających delfinów. Wewnątrz groty mieści się kunsztowna grupa kamienna, przedstawiająca Herkulesa z ujarzmionym Cerberem. Całość ubrana zielenią i pnącemi się różami, przedstawia się bardzo uroczo, nawet mimo bardzo nieodpowiedniego otoczenia. Północną część Zielnego targu zajmuje starożytny ratusz z początku XVI. w. o pięknym gotyckim portalu, (dzieło mistrza Pilgrama) i renesansową loggią w podwórzu. W bramie wiodącej na drugie podwórze wisi na potężnym łańcuchu t. zw. „berneński smok“, a w istocie mumia krokodyla, o której niewiadomo, jak i kiedy się tu dostała. Prawdopodobnie przywiózł ją w XIV. wieku jakiś kupiec berneński z zamorskich podróży i jako osobliwość darował miastu. Wschodnią część Zielnego targu zamykają trzy instytucje finansowe: Kasa oszczędności pod wezwaniem św. Cyryla i Metodego, obywatelska Kasa oszczędnoćci „Dobrobyt“ i narodowa Kasa zaliczkowa i wkładkowa, wszystkie trzy znakomicie prosperujące; nieco dalej widnieje gmach Redutowy, w którym za króla Macieja mieścił się zbór protestancki. Naprzeciwko ratusza, na południowej stronie rynku, mieści się w pięknym, dawniejszym gmachu, wyższy sąd krajowy morawski. Był to ongi pałac Dietrichsteinów, w którym w r. 1619 mieszkał „Król Zimowy“, bawiąc chwilowo w Bernie. Zielny targ był widownią ciekawego zdarzenia w r. 1865, kiedy to przez miasto ciągnęły

gromady niedobitków austrjackiej armji północnej. W ślad za nimi szły zwycięzkie oddziały pruskie; w dniu 13. lipca pojawiła się awangarda zwycięzkiego wroga, pod komendą ks. Meklemburskiego. Stanąwszy na rynku, książę dobył pałasza i uderzając nim w cztery strony świata zawołał: „W imieniu Jego Królewskiej Mości, władcy Prus, obejmuję to miasto w posiadanie!“ Dokonawszy tej ceremonji, udał się do kwatery przeznaczonej dla Moltkego.

Niemcy berneńscy przyjęli Prusaków z życzliwą rezygnacją, a nazajutrz fraternizowali z nimi zupełnie; niewątpliwem tego świadectwem są współczesne zapiski znanej literatki p. Klary Schreiber. Ale równocześnie z Prusakami pojawił się straszniejszy gość: cholera, która porywała setki ofiar; noc w noc wywożono z lazaretów 50—60 trupów żołnierskich na cmentarz, chowając je we wspólnej mogile. Niemniej przeto nowa załoga, której komendantem był ks. Ujest, bawiła się szeroko: szczególnie panie z niemieckiego teatru brały żywy udział w tych zabawach. Na ucztach u nowego komendanta rolę gospodyni domu sprawowała pierwsza „kochanka“ sceny panna Blandina Sena, która miała być podobno bardzo interesującą. W czasie okupacji pruskiej bawił tu król Wilhelm, zajmując dom stanowy (Landhaus), następca tronu Fryderyk, późniejszy tragiczny władca studniowy, który mieszkał w pałacu arcyks. Eugeniusza, Bismark, podówczas jeszcze w randze majora i Moltke, którego kwatera mieściła się w pięknym pałacu hr. Mitrowskich.

W dniu 13. września odciągnęły wreszcie wojska pruskie — przy dźwiękach... hymnu austrjackiego! Jaka uprzejmość! Wspomnienie tych chwil żyje w pamięci Niemców berneńskich, którzy snać z wdzięczności za ówczesne „*Gott erhalte*“ śpiewają dziś tak chętnie „*Wacht am Rhein*“ lub „*Heil Dir...*“

W pobliżu Zielnego targu wznosi się kościół OO. Kapucynów, zbudowany wnet po ukończeniu

wojny trzydziestoletniej, przez hr. Krzysztofa z Lichtensteinu. Spoczywają tu w oszklonej trumnie wybornie zachowane zwłoki interesującego więźnia Grajgóry, a głośnego awanturnika-rycerza Franciszka br. Trencka, o którym obszernie wspomniemy na innem miejscu.

Poza gmachem sądowym widnieje dawny pałac biskupów ołomunieckich, z czasów, gdy Berno jeszcze własnego biskupa nie miało; mieści się w nim bogate muzeum im. ces. Franciszka, najbardziej może interesująca rzecz w stolicy. Pomieszczenie muzeum jest bardzo dobre, acz gmach dawny pozostał prawie niezmieniony; na podwórzu pałacowem, przeistoczonem w piękny ogród, pomieszczono płyty nagrobkowe ze zniesionych cmentarzy i kościołów w bardzo znacznej ilości. Tu także znajduje się piękna alegoryczna grupa z końca XVII. wieku, przedstawiająca cztery żywioły świata. Muzeum zawiera prawdziwie cenne przyczynki, zarówno do dziejów, jak i dzisiejszego życia Moraw. Najbogatszym jest dział przyrodniczy, obejmujący przeszło 50.000 okazów; szczególnie interesujące są zbiory mineralogiczne i skamielin. Bardzo ciekawym i pouczającym jest dział etnograficzny, obejmujący przeszło 9000 numerów i historyczny do 10.000 numerów; obok tego są piękne zbiory monet, medali, pieczęci, a w małej galerji obrazów znajduje się kilka ciekawych płócien dawnych mistrzów, między innemi Rubensa i Van-Dycka. W dziale czeskiego malarstwa na pierwszy plan wysuwają się dzieła słynnego Manesa, wybitnego czeskiego artysty, z nowszych zaś pełne barw i ciepła, wysoce charakterystyczne obrazy Józefa Uprki. Tego ostatniego poznałem już dawniej z jego dzieł; na wystawie wiedeńskiego Hagenbundu widziałem wspaniały obraz jego pendzla „Na panském“, przedstawiający z nadzwyczajną prawdą i wdziękiem pracujących w polu żeńców w skwarze palącego żarem słońca. I w Bernie widziałem kilka jego obrazów,

a także głośny „Iizda Kralou“ — jazda króla, sceńa z ludowej zabawy słowackiej, pełna życia, ruchu i zamaszystości, boć ci jeźdźcy, to jak nasi krakusi, dzielni, śmieli i zgrabni.

Chlapci vlčňované
maje koně vrané,
košulenky tenké
nadra vyšivane...

Józef Uprka jest malarzem-poetą słowackiej ziemi, z której sam pochodzi; artysta ten „z bożej łaski“, ujrzał światło dzienne na Słowacczyźnie w Hroznovej Lhocie, gdzie też mieszka stale. Obrazy jego sprawiają nawet na obcym widzu silne wrażenie wielkiem ukochaniem ludu, z którego wyszedł, bogactwem barw, przejrzystością i pogodnym humorem. Ukochany swój lud słowacki podpatruje Uprka w każdej doli, w każdej sytuacji, w każdej niemal godzinie życia — od kolebki („Urodnice“) do mogiły („Pohřeb“), przy pracy, modlitwie, tańcu, zabawie (n. p. wspaniałe dwa obrazy „Poutu Sv. Antonička“ i „Iizda Kralu“).

Zna on nawskroś swój kraj i swój lud, zna jego marzenia, pragnienia, radości i bole. Uprka jest malarzem słońca, w którego blasku formalnie kąpią się jego postacie. Sam mówi, że „najchętniej maluje wtedy, gdy mu słońce plecy pali“. Dopiero jednak ten, kto zna słowacką ziemię i lud w różnych fazach jego życia, może zrozumieć, jak wielkim swą prawdą i naturalnością jest Urpka. Ogromne w nim zrozumienie i odczucie przyrody i tonów jej barw; co zaś ciekawego, to, że malując ciągle to samo, jest zawsze nowym i nawskroś oryginalnym. Stworzył on całą szkołę i ma niepospolicie zdolnych uczniów. Prace dwóch z nich cechuje prawdziwy talent, a mianowicie Antoniego Frolka (rodzajowy), który obecnie dalej kształci się pod kierunkiem monachijskiego prof. Seitza — i Cyryla Mandla, doskonałego akwarelistę (lhotska szkoła). Jak Józef Urpka wiedzie prym

między malarzami, tak jego brat Franciszek jest wybitnym rzeźbiarzem. W rzeźbach jego pełno życia i świeżości, a tej własnej, swojskiej, rodzinnej. Czerpie on również z życia; najlepsze jego modele i modelki, to Słowacy i Słowaczki. Szczególnie piękne są jego rzeźby, przedstawiające dzieciaki słowackie! Obok Uprki wymienić jeszcze należy rzeźbiarza Jana Štursa.

W plejadzie malarzy czesko-morawskich nowszej doby, znajdujemy nadto kilka głośniejszych nazwisk. Obecny nestor malarzy morawskich Franciszek Zvěřina wyrobił sobie nazwisko jako ilustrator *„Zlata Praha"* i *„Svetozora"*; wyborne są zwłaszcza jego typy z węgierskiej Słowacczyzny i krajów południowosłowiańskich. W Paryżu zasłynął Alfons Mucha, mistrz plakatów; rozgłos zrobiły mu ilustracje do afiszów Sary Bernhard i serja świetnych ilustracyj „Ojcze nasz". Znanym jest także ze swych delikatnych prac piórkiem M. Szwabinski z Kromierzyża, uczeń Pirnera (znam pyszny portret T. E. Massaryka jego roboty). Adolf Kašpar zasłynął jako ilustrator dzieł Niemcowej, Jiraska, Bartoša i w. i., a Fr. Ondrašek zajął poczesne miejsce jako portrecista. W pejsażu próbują z powodzeniem swych sił artyści A. Kalvoda, I. Panuška, St. Lolek, — a dodaję — że wymieniam tylko tych, z których pracami miałem sposobność zapoznać się w Czechach lub na Morawach. Niewątpliwie liczba ich jest znacznie większą!

Muzeum Franciszka ma także bogatą bibljotekę, połączoną z pracownią i czytelnią, a w bibljotece tej osobny dział poświęcony specjalnie słynnemu synowi Moraw, Komensky'emu. W muzeum też berneńskiem znajduje się ów pług, którym Józef II. orał rolę w pobliżkich Sławikowicach, pragnąc tym sposobem uczcić pracę rolnika. Pamięć tego faktu upamiętniły stany żelaznym pomnikiem na miejscu w Sławikowicach w r. 1835. Na piedestale potężnego obeliska widnieją w języku łacińskim, niemieckim i czeskim następujące

słowa: „Cesarz Józef II. wysoko poważając rolnictwo, żywiciela ludzi, orał to pole w dniu 19. sierpnia 1769". Pług umieszczono w muzeum, gdzie znajdują się także podobizny ówczesnego właściciela roli i jego małżonki — Józefa Trnki.

Bardzo interesującym jest bogaty zbiór kostjumów ludowych z całego kraju. Podobnie jak pieśń gminną, otoczyli też morawscy Czesi opieką strój narodowy; liczne ich muzea pełne są kostjumów z różnych epok i stron kraju, charakterystycznych wyszywek i haftów. Pierwszy ku temu impuls dał szlachetny mieszczanin praski, Wojciech Naprstek, twórca wspaniałego muzeum swego imienia; za jego przykładem zajął się podobną pracą na Morawach, niezwykle wykształcony dr. medycyny Wankl. On pierwszy zwrócił uwagę na wysokie kulturalne narodowe znaczenie strojów i wyszywek włościańskich. Z pomocą pp. I. Wurma i profesora ołomunieckiego I. Hawelky urządzono w r. 1885 pierwszą wystawę wyszywek i haftów morawskich w Ołomuńcu, która wśród znawców wywołała nie tylko podziw, ale zdumienie nad sprawnością, oryginalnością i poczuciem smaku i harmonji barw morawskiego ludu. Wystawa ta sprawiła, że poczęto zbierać zabytki we wszystkich stronach kraju, które każdemu, kto był na entnograficznej wystawie w Pradze 1895 r. musiały zaimponować. Stworzono odrębny dział literatury, sklasyfikowano wszystko nader umiejętnie, a udatne reprodukcje wyszywek, zwłaszcza hanackich i słowackich, zainteresowały świat cały, zwłaszcza zaś badaczy angielskich. Widziałem drugą taką wystawę w czasie zjazdu dziennikarzy słowiańskich w Pilznie 1903, była jeszcze bogatszą i jeszcze bardziej imponującą, niż w Pradze. Doprawdy, jak my pod tym względem daleko stoimy poza wszystkimi Słowianami, nie wyłączając nawet Rusinów! Jest to strata, która bogdaj czy się da jeszcze powetować! Wyszywki morawskie są wprost wspaniałe; w Preszburgu urządzili Węgrzy

olbrzymią pracownię wyszywek i haftów słowackich pod protektoratem arcyks. Izabeli; wyroby te jako „węgierskie“, uzyskały pierwsze nagrody na wystawach w Paryżu, Belgji, Londynie, Medjolanie etc.

Czas nam jednak iść dalej...

Przez t. zw. katedralne schody dostajemy się z Zielnego targu na Petrov, gdzie u stóp góry Franciszka, zmienionej w prześliczny ogród spacerowy, wznosi się w południowo-zachodnim krańcu starego miasta pałac biskupi i „Velechram“, katedra pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Rezydencja biskupia jest budowlą nową, wewnątrz skromnie, ale gustownie urządzoną; szczególnie piękną jest kaplica domowa, zbudowana przez obecnego arcybiskupa ołomunieckiego dra Franciszka Bauera, który był biskupem w Bernie od r. 1882—1904. Obok, na łagodnem wzniesieniu, widnieje poważna katedra, zbudowana w XV. wieku, a obecnie poddana gruntownej restauracji. Wygląda oryginalnie skutkiem braku wieży, która padła w gruzy od kul szwedzkich w r. 1645 i nie została odbudowaną. Według podania stał tu ongi kościół, poświęcony jeszcze przez św. Metodego w r. 884; wzmianka jednak historyczna o kościele w tem miejscu znajduje się dopiero w dokumentach z XI. w. Nad wejściem od północnej strony widnieje kazalnica, z której przemawiał do tysięcznych tłumów św. Jan Kapistran w r. 1451, zachęcając do oporu przeciwko Jerzemu Podjebradowi, jako kacerzowi.

Djecezja berneńska utworzoną została równocześnie z podniesieniem biskupstwa ołomunieckiego do rzędu arcybiskupstw, t. j. w r. 1777. Obecny biskup ks. dr. Paweł hr. Huyn, jest dziewiątym z rzędu pasterzem.

Idąc z katedry przez ulicę Biskupią obok gmachu sądowego, znajdziemy się u podnóża Grajgóry, na szerokiej i pięknej ulicy Elżbiety, przy której mieści się cały szereg gmachów publicznych, a wśród nich i muzeum przemysłowe. Założone w r. 1873, posiadą

dziś wcale bogaty zbiór okazów sztuki stosowanej z żelaza, kości, rogu, kamienia, gliny, szkła, drzewa i papieru. Są tu piękne stare i nowe meble, majoliki włoskie i morawskie, sprzęty kościelne, dawne i nowe hafty, kilimki, stare ornaty, aparaty kościelne, relikwiarze, obrazy etc. Z muzeum połączona jest stara wystawa sztuki stosowanej. Do gmachu muzealnego przytyka cały szereg koszar, z drugiej zaś strony, u wylotu ulicy Elżbiety, znajduje się gmach komendy wojskowej i piękna ćwiczebnia gimnastyczna naprzeciw dwupiętrowego okazałego gmachu „Besedniego domu", w którym skupia się dziś całe życie czeskie w Bernie.

Twierdza czeskiego ducha i czeskiej myśli zbudowaną została w r. 1873 i odpowiednio do celu urządzona. Mieszczą się tu liczne stowarzyszenia i związki czeskie, są sale towarzyskie, odczytowe i koncertowe, kancelarje etc. Z prawdziwą czcią przestępujemy progi tego gmachu, gdzie myślano i pracowano wyłącznie prawie nad odrodzeniem narodu. Około „Besedy" grupowało się i grupuje życie literackie, artystyczne i polityczne, od czasu, gdy Berno objęło rolę Ołomuńca t. j. mniej więcej od czasu wybudowania tego domu. Tu powstała i wykonaną została myśl wydawania czasopisma *Macierzy Morawskiej,* a w gronie pracowników widzimy historyka W. Brandla, etnografa, lingwistę i krytyka Fr. Bartoša, dziejopisa połabskich Słowian W. Roysa, badacza historji kultury dra Jana Reicherta, poetę Wł. Štrastny'ego, estetyka K. Šmideka i w. i., przeważnie profesorów gimnazjum. W r. 1877 za inicjatywą patrjoty ks. Wł. Štrastny'ego powstało pismo *Obzor* poświęcone religji i ojczyźnie, redagowane w duchu idei Cyrylo-Metodyjskiej. Stąd wyszła inicjatywa do założenia *Literackich Listów* i *Czasopisma Wiosny* w latach 80-tych, a następnie *Przeglądu literackiego,* redagowanego przez Vychodila od r. 1884. Tu także rodziła się *moderna,* której najznamieniszymi dziś

reprezentami są: I. Karasek, V. Krejči, A. Prochazka i w. i. Do grona najwybitniejszych pracowników na niwie literatury, należą też prof. Rudolf Dvorak, historyk, beletrysta I. Rypaček (ps. Jarosław Tichy), Fr. Kolaček, przyrodnik i w. innych. Profesor Rypaček i dr. Fr. Šujan, należą do głównych redaktorów poważnego *Czasopisu mor. musea zemského*, najpoważniejszego pisma naukowego obok *Czas. Matice Moravs.* wychodzącego rok XXXI. Z pism codziennych najsympatyczniej przedstawia się *Mor. Orlice* redagowana przez znanego i cenionego pisarza Józefa Merhauta, człowieka niezwykle sympatycznego. Z tego też „Besednego domu“ wyszedł ruch kobiecy, którego wyrazem była najpierw *Koleda* później *Zorza*, redagowana przez B. Popelkę i założona w r. 1891 *Niva*. Obecnie rozpoczęła pani Zdenko Wiedermannowa wydawnictwo organu *Żenska Revue*, pismo poważne, poświęcone raczej sprawom etyki, obyczaju i wychowania, niż ekonomiczno-społecznym.

Szczególniej jednak z dwoma niezwykle sympatycznywi ludźmi łączy się pamięć „Bes. Domu“: z Brandlem i Bartošem, niestrudzonymi działaczami narodowymi, do ostatniego rzec można tchnienia. Pierwszy z nich, Wincenty Brandl, umiarkowany konserwatysta, zwolennik ściślejszego spojenia narodu czeskiego w jedną całość, był człowiekiem wysokiego wykształcenia, zwłaszcza pod względem historycznym. Urodził się 1834 w Bernie i był uczniem i przyjacielem Klacla; wcześnie obznajomił się z literaturą czeską i obcą i młodzieńcem próbował swego pióra z powodzeniem. Ukończywszy uniwersytet i objąwszy posadę profesora przy gimnazjum berneńskiem, oddał się pracom historycznym. Wsławił się zwłaszcza swą rozprawą o położeniu Velehradu i mając lat 27 mianowany został archiwistą krajowym. Na tem stanowisku napisał pierwszą książkę w języku czeskim, statystyczno-dziejowy obraz Moraw p. t.: *„Kniha pro každeho Moravana“*. Następnie wydał cenne pisma

Zierotyna, księgę tovaczowską, morawski dyplomarjusz, słownik naukowy p. t. *Glossář*, a prócz tego cały szereg prac i rozpraw drobniejszych, głównie z zakresu husytyzmu. Pisał on także obszerne życiorysy zasłużonych mężów, jak Szafarzyka, Dobrovsky'ego, Erbena i t. d. Pozatem brał żywy udział w życiu publicznem; ogromnie przyczynił się do unarodowienia Berna, był duszą czeskich związków i stowarzyszeń. Zmarł 23. grudnia 1901.

Franciszek Bartoš, ur. 1837 r., był nauczycielem, a później dyrektorem gimnazjum w Bernie. Obok zawodowych czynności poświęcał się głównie badaniu życia i zwyczajów ludu morawskiego, jego pieśni, muzyki, ubiorów i t. d. Jego antologje, zbiory pieśni ludowych, wieńce pieśni narodowych etc., są dorobkiem literackim całego świata słowiańskiego, a rozprawy etnograficzne i folklorystyczne (Lud a naród, Nasze dzieci, Morawska siedziba, Dziesięć rozpraw ludowo-obyczajowych, Djalektologja morawska i t. d.) mają wielką naukową wartość. W życiu partyjno-politycznem nie brał udziału, natomiast każda ogólnie narodowa sprawa widziała go w szeregach najczynniejszych pracowników. Umarł w dniu 11. czerwca 1906.

W Besednim też domu zaczęto myśleć o scenie czeskiej na Morawach i o zapewnieniu jej, przynajmiej jakiej takiej na razie egzystencji, rozumiejąc, jak ważnym jest ona czynnikiem w budzeniu świadomości narodowej.

Teatr czeski w Bernie długo się tułał, zanim znalazł jaki taki punkt oparcia w „Besednim domu"; stało się to w r. 1873. Dopiero jednak w jedenaście lat później powstało *Družstvo Narodn. divadla* w Bernie, które zajęło się losem narodowej sceny i zakupiło w r. 1883 osobny budynek na przedstawienia teatralne, urządziwszy go odpowiednio. W miarę rozwoju narodowego, poczęto odczuwać potrzebę większej, lepiej uposażonej sceny i w tym

celu zawiązano komitet dla zbierania składek. Komitet poparty przez społeczeństwo czeskie zabrał się energicznie do pracy, tak, że w r. 1906 złożono już 700.264 koron, podczas gdy kosztorys teatru przedstawia sumę 1,200.000 koron. Nie ulega wątpliwości, że resztująca suma rychło się znajdzie; na czele komitetu stoi dr. Otto br. Prażak, a kasę prowadzi urzędnik Živnost. Banku, Antoni Jarosz. Obecnie kieruje sceną czeską p. Antoni Fryda; z 262 przedstawień poświęconych było operze 85, a operetce 46 wieczorów, zresztą grywano dramaty. Widownia nie wielka liczy 7 lóż, 84 foteli, 184 krzeseł, 105 miejsc siedzących na balkonie, a 81 na galerji. Teatr czeski mieści się obecnie w odpowiednio urządzonym domu przy ul. Veverskiej.

Rzecz naturalna, że i cała akcja dążąca do wybudowania własnego gmachu dla sceny czeskiej, skupia się w czeskim narodowym domu!

Obok „Besed. domu" znajduje się hotel Slavia i kawiarnia, zborny punkt Czechów berneńskich. Ulica Elżbiety kończy się pięknym placem tegoż nazwiska, upiększonym skwerem, a otoczonym zewsząd pięknymi gmachami jak: techniką niemiecką, gimnazjum niemieckiem, kościołem ewangielickim, szkołą protestancką etc.

Naprzeciw placu św. Elżbiety, przedzielony od niego ulicą, noszącą miano ostatniego samoistnego markgrafa Moraw — Josta, widnieje piękny gmach sejmowy (Zemsky dům albo Snemovna) siedziba krajowego rządu, władz i cennego archiwum krajowego, wzniesiony r. 1878, otoczony zielenią i drzewami. Zanim wejdziemy do tego gmachu, w którym najlepsi synowie Moraw tak skutecznie walczą o swe prawa, odwiedzimy przedewszystkiem dawny dom stanowy, znajdujący się nieco niżej, na placu Dominikańskim, obok kościoła św. Michała, t. zw. *„Starý zemský dům*, w którym mieści się dziś muzeum miejskie i mała galerja obrazów, darowana miastu przez

dra Gompesza. Dom ten był siedzibą stanów morawskich i w nim to rozgrywały się sceny, mające niejednokrotnie światowe znaczenie. Morawy były przez długi czas krajem szlachty, która miała wielkie znaczenie, jak to uwidacznia stare przysłowie „kolik hradu — tolik kralu“, ale już w ciągu XVI. wieku panowie poczęli tracić swój wpływ na rzecz władców. Tylko wolność sumienia utrzymano do początku XVII. w. Lud był w zupełnem poddaństwie, „przypisany do roli“, pracował na pana, płacił daniny, a często i żołnierza dostawiał. Stosunki na Morawach były może gorsze, niż u nas. Obok ludu, częściowo wyjętymi z pod ogólnych praw byli Żydzi, których los był różny pod różnymi panami. W jednem miejscu działo im się dobrze, w innem źle, jak n. p. w dobrach wielkiego antysemity z połowy XVI. w. Hartmana Lichtensteina, który odmówił Żydom prawa pobytu w swych ziemiach, a poddanym zakazał oddawania Żydom zaciągniętych u nich pożyczek. Wzrost Żydów na Morawach wywołał jeszcze w XVIII. wieku różne represje; tak n. p. za Karola VI. tylko jeden syn rodziny żydowskiej na Morawach mógł się żenić i osiąść, inni musieli opuścić kraj, pod solidarną odpowiedzialnością całej gminy, obostrzonej karą 1000 dukatów. Wówczas Żydzi tłumnie emigrowali do sąsiedniej Polski.

Swobodni tworzyli cztery stany: panowie, prałaci, rycerze i mieszczanie. Panowie dzielili się na starsze i młodsze rody; te ostatnie, tylko w uwzględnieniu szczególniejszych zasług były przyjmowane w poczet rodów starszych. Do stanu rycerskiego należeli potomkowie tych, którzy otrzymali pasowanie, władykowie i ziemianie. Prawo otrzymania inkolatu, zawarowane było posiadaniem ziemi i znajomością języka czeskiego. Rycerz chcąc się dostać do stanu panów, musiał o to upraszać; gdy go przyjęto do rodów młodszych, to dopiero potomkowie w trzeciem pokoleniu mogli prosić o wpisanie do

rodów starszych. Raz tylko jeden uczyniono wyjątek dla Jerzego z Hodic, bohatera bojów z Rakoczym, a to na prożby cesarza Rudolfa. Zastrzegł się przytem sejm, że czyni to po raz ostatni, zaznaczając dobitnie, że panujący niema prawa mieszać się do spraw podobnych. Równocześnie postanowiono, że ten, któryby się w podobny sposób o wywyższenie starał, traci prawa pańskiego stanu wogóle. Między poszczególnymi stanami były nieustanne spory o tytulaturę, miejsce w czasie uroczystości, o reprezentację lub zastępstwo w sądach, wojsku, godnościach urzędowych i dworskich, spory małostkowe, zabierające na sejmach ogromnie wiele czasu.

Do stanu prałatów należała kapituła ołomuniecka, a później i berneńska, opaci i przełożeni morawskich klasztorów. Stan miejski reprezentowali deputaci Ołomuńca, Berna, Igławy, Znojmu, Węgierskiego Hradyszcza, Uncowa i Kyjowa, a do XVI. w. także Przerowa, Litowla, Hodonina, Bzenecu, Ivanczyc i Pohorzelic.

W ręku tych stanów, a przedewszystkiem magnackiego i rycerskiego, znajdowała się władza w całej pełni — i ustawodawcza i wykonawcza. Z ich grona ustanowieni byli urzędnicy i sędziowie; byli oni dzielnymi strażnikami swobód stanowych, krajowych i narodowych i praw państwowo-politycznych wobec zakusów władców. Długo też nie ośmielali się królowie i cesarze na samowolne postępowanie, wiedząc, że spotkają się z poważnym protestem i to nietylko słownym! Niefortunne próby w tym kierunku poprzedników i ich smutne rezultaty były dla następców poważną przestrogą.

Aż do pierwszej ćwierci XVII. wieku cieszyła się morawska ziemia najzupełniejszą autonomją; jej skodyfikowanym wyrazem jest wspomniana już przez nas „Księga tovaczowska“.

Początek wieku XVII. przyniósł radykalną zmianę; bitwa białogórska, która nawet godziny nie trwała,

zadecydowała o losach czeskiego narodu na całe wieki. Cesarz Ferdynand II. korzystając ze sposobności, nie poprzestał na złamaniu potęgi szlachty, ale postanowił ją, a wraz z nią cały naród wygładzić. W r. 1628, wydał on t. zw. odnowiony statut krajowy (*Vernewerte Landesordnung*) niszczący autonomję kraju, przyznający wyłącznie koronie prawo *legis ferendae*, a pozostawiający stanom zaledwie cień praw administracyjnych. Równocześnie podeptano prawa języka czeskiego, tak, że w księgach ziemskich po r. 1640 zapanowała wyłącznie niemczyzna.

Równocześnie wkrada się niemczyzna do izby sejmowej, najpierw nieśmiało, później czemraz natarczywiej, a od r. 1688, po złamaniu przez Sobieskiego potęgi tureckiej, zapanował w sejmie wyłącznie niemiecki język, stając się równocześnie językiem urzędowym władz. Trzydziestoletnia wojna zrujnowała kraj, duchowieństwo, szlachtę i miasta. Berno leżało w znacznej części w gruzach, w Ołomuńcu z 700 domów, zamieszkanych było zaledwie 138, a z 30.000 obywateli pozostało zaledwie 1675 mieszkańców! Ludność kraju, którą w XV. stuleciu liczono na 2 miljony, spadła po wojnie do cyfry 500.000. A daniny nie tylko się nie zmniejszały, ale rosły. Podczas gdy bezpośrednio po wojnie 30-letniej płaciły Morawy 100.000 złr. daniny, to z końcem XVII. wieku kontrybucja na kraj nakładana, wynosiła przeszło 1,000.000 złr. Odżył kraj nieco za rządów Karola VI., podniósł się handel i przemysł, rozszerzyły komunikacje; wybudowano dobre drogi z Berna do Wiednia, Ołomuńca i Igławy, urządzono regularną pocztę, popierano sukiennictwo, wyrób płótna i szkła, reformowano szkoły. Wszystko to jednak szło wyłącznie na korzyść żywiołu niemieckiego, a często na niekorzyść czeskiego ludu, jak n. p. budowa dróg, która na razie ogromnie zwiększyła ciężary i ofiary czeskiego chłopa. Wobec tego stanu kraju nie trudnem było dla Marji Teresy pozbawić stany resztek

znaczenia i wpływu i zmienić je w bezsilną dekorację.

Wpływ niemiecki utrwalił się na długie lata, a we Wiedniu oddawano się złudnej nadziei, że Morawy są najzupełniej zgermanizowane. Na oko wyglądała tak istotnie — wystarczył jednak słaby powiew wolności w r. 1848, ażeby rozbudzić poczucie narodowe. Walka była tu o wiele trudniejszą, aniżeli w Czechach; Niemcy, materjalnie i moralnie byli o wiele silniejsi tu, niż nad Wełtawą, a i układ etnograficzny na Morawach był mniej korzystny. W Czechach ludność niemiecka była i jest terytorjalnie więcej skupioną, łatwiej więc było oznaczyć granice narodowościowe; na Morawach zaś, Niemcy osiedli w całym kraju, a głównie opanowali miasta, które prawie wyłącznie były w ich ręku. Szeroka więc masa czeskiego ludu nie miała punktów oparcia w naturalnych twierdzach narodowego ducha, nie miała wzorów organizacji i walki. W Czechach od pierwszej chwili stała się Praga ogniskiem ruchu narodowego; jej narodowa, literacka, dziennikarska i kulturalna praca, zasilała kraj cały. Na Morawach natomiast oba główne miasta, Berno i Ołomuniec były niemieckie — i to historycznie niemieckie; — pozostawał tylko lud, który też nie zawiódł. Jedyną ostoją języka, a co za tem idzie i narodowości, był Kościół katolicki. Duchowni morawscy pierwsi zrozumieli i spełnili swe narodowe zadanie, stając w szeregu najgorliwszych budzicieli ludu i najenergiczniejszych opiekunów ojczystej mowy. O tej zasłudze nie zapomniał lud morawski i po dziś dzień otacza swe duchowieństwo czcią, na jaką ono w zupełności zasługuje. W tej też wytężającej, patrjotycznej i pełnej poświęcenia pracy duchowieństwa, tkwi potęga „klerykalizmu“ ludu morawskiego, tak nienawistna postępowcom z Królestwa czeskiego. Czesi z Królestwa nie rozumieją dobrze, a może nie chcą rozumieć swych pobratymców morawskich, nie chcą uwzględnić

odrębnych ich warunków życia i bytu. Stąd częste nieporozumienia, wygładzające się jednak w miarę jak polityka czesko-morawska zyskuje na sile i znaczeniu.

Rzućmy okiem na niedawną przeszłość.

Z początkiem ery konstytucyjnej Morawianie nie tylko nie uważali się za Czechów, ale niecierpieli ich. W r. 1848 nie było w miastach morawskich dostatecznej ilości inteligencji narodowej, a wieś nie utrzymywała żadnych związków z ludnością miejską. Już przedtem zniesiono uniwersytet ołomuniecki, młodzież kształciła się wyłącznie w Wiedniu, a więc naturalnie w duchu antinarodowym. Naród czeski na Morawach składał się w owym czasie z dwóch tylko stanów; chłopa i księdza. Z całem poświęceniem pracowało duchowieństwo nad podtrzymaniem myśli narodowej i nad narodowem uświadomieniem ludu — ale o życiu politycznem nie można było jeszcze myśleć. Wprowadzenie alfabetu łacińskiego utrudniało zrazu ludowi, przyzwyczajonemu do gotyki („szwabachy") czytanie. Ruch narodowy ożywił się znacznie dopiero od czasu zjazdu welehradzkiego w r. 1863. Zaczęto zakładać czytelnie i kasyna („besedy"), urządzano zabawy i zebrania towarzyskie, na których propagowano myśl narodową. Rzecz prosta, że o spopularyzowaniu programu czeskiego prawa państwowego nie było wówczas jeszcze mowy: „było to jeszcze ponad siły ludu morawskiego" [1]).

Przewódcy narodu w Czechach nie są bez grzechu wobec Moraw; błędny ich opór przeciwko ustawom szkolnym z r. 1868, poddał stan nauczycielski pod wpływ nieprzyjaciół ruchu narodowego, abstynencja parlamentarna otwarła wolne pole uciskowi i fatalnemu dla interesów ludu ustawodawstwu. Niemcy doskonale umieli te epokę wyzyskać: owładnęli zarządem gmin, a gdzie mimo prześladowań

[1]) Dr. Šromota: „Poměry politycke na Moravě" (w dzienniku Hlasy z Hané).

rośli Czesi w siłę, tam zawsze Niemcy znaleźli pozór do rozwiązywania instytucji ekonomicznych lub finansowych, a zwłaszcza towarzystw zaliczkowych, niszcząc odrazu ekonomicznie setki rzemieślników i przemysłowców. Podkopawszy ekonomiczną samodzielność czeskiego mieszczaństwa, mieli ułatwione zadanie z niemczeniem zarządów miejskich i szkół; niektóre miasta zmuszone zostały zmienić czeski język wykładowy w swych szkołach na niemiecki..., a wreszcie korzystając z braku odporu, poczęli Niemcy przykrawywać okręgi wyborcze w myśl swego interesu.

Zrozumiano wreszcie na Morawach szkodliwość dotychczasowej polityki czeskiej; dwaj patrjoci dr. Fanderlik i Alojzy Pražak, skłonili w r. 1873 kraj do zerwania z polityką abstynencji. Rezultaty okazały się szybko: za rządów Taaffego przybyło narodowcom morawskim 12 mandatów, tak, że w sejmie rozporządzali 35 głosami, a w kraju rozpoczęto intenzywną walkę o zarząd gminami...

W tym mniej więcej czasie przeniósł się sejm morawski do nowego gmachu, o którym wspomnieliśmy powyżej. Zewnętrzny jego wygląd odpowiada znaczeniu instytucji: jest poważny i harmonijny. Piękną jest zwłaszcza fasada. Sala posiedzeń jest znacznie mniejszą od naszej, ale za to akustyczniejszą i wygodniejszą; ubikacje wszystkie jasne, duże, wesołe. Piękny lokal ma bogate archiwum krajowe, posiadające liczne rękopisy łacińskie, niemieckie i czeskie, a wśród tych ostatnich legendy o św. Aleksym i św. Katarzynie, sięgające XIV. wieku. Archiwistą jest dr. Bretholz, koncypistą zaś młody uczony czeski dr. Navratil. Przy archiwum znajduje się pokaźna bibljoteka z pracownią, dostępną codziennie dla pracujących.

Czasy od r. 1861—1883 były dla Czechów morawskich niesłychanie ciężkie; narażeni oni byli na najbrutalniejszą majoryzację ze strony Niemców,

zarówno z obozu liberalnego jak postępowego. Dosyć przeglądnąć karty sprawozdań sejmowych; zarówno marszałkowie kraju: hr. Emanuel Dubsky, ks. Hugo Salm-Reifferscheidt, br. A. Widmann, jak i ich zastępcy, aż po rok 1871, rekrutowali się wyłącznie z Niemców, toż samo, aż po rok 1883 z wyjątkiem jedynym r. 1871, gdy w czasie usunięcia się Niemców, funkcje zastępcy marszałka spełniał br. Alojzy Pražak. Dopiero w VII. perjodzie sejmowym w r. 1884 zdobyli Czesi na stałe miejsce zastępcy marszałka krajowego. Od tego czasu, aż po dzień dzisiejszy marszałkiem krajowym jest hr. Felix Vetter van der Lilie, jego zaś zastępcami byli kolejno dr. A. Šrom, opat Benedykt Korčian, a od r. 1903 dr. Jan Žaček. Jednakże, aż po r. 1906, spoczywa przewodnictwo w Wydziale krajowym w ręku niemieckiem.

Dopiero od tego roku nastały pomyślniejsze dla Czechów czasy[1]).

Szybki rozwój narodowy Czechów zmusił Niemców do ustępstw, zakończonych t. zw. „paktem“ sejmowym z r. 1906. Język czeski zrównano w urzędowaniu wewnętrznem z językiem niemieckim, uregulowano sprawy szkolne w ten sposób, że dzieci można zapisywać tylko do szkoły, której język wykładowy należycie rozumieją (*lex Perka*), a na gminy nałożono obowiązek utrzymywania szkół dla mniejszości. Reformę ustawy wyborczej oparto na „katastrze narodowym“, który zapewnia Czechom 89, a Niemcom 59 mandatów, co dla tych ostatnich jest rzeczą bardzo korzystną. Czesi mają więc stanowczą większość, ale nie są przecież absolutnymi panami sytuacji, gdyż nowa ustawa zawiera przepis, że w ważniejszych sprawach narodowych uchwały zapaść mogą jedynie w komplecie 121 członków — mogą więc Niemcy w danym razie zdekompletować sejm i nie dopuścić

[1]) W dniu 23. grudnia 1906 mianowany został marszałkiem kraju Otto hr. Serényi, pierwszym zastępcą dr. Žaček, drugim Niemiec, dr. Fux.

w takich wypadkach do uchwały. Mandaty te rozkładają się w sposób następujący: w kurji wiejskiej mają Czesi 39, a Niemcy 14 mandatów, w miejskiej po 20 (Berno i Ołomuniec mają reprezentantów mniejszości czeskiej), a w powszechnej Czesi 14, a Niemcy 6 mandatów.

Z chwilą zawarcia tego paktu rozpoczęło się różniczkowanie stronnictw na Morawach. Jak długo czescy wyborcy musieli wytężać wszystkie swe siły dla obalenia kandydatów niemieckich, tak długo solidarność narodowa była rzeczą konieczną. Dziś, gdy niebezpieczeństwo minęło, stronnictwa występują do walki. Dotychczas prym wodzili Młodoczesi, mający najlepszą organizację i najhałaśliwszą prasę, obecnie jednak na pierwszy plan wysuwają się katolicko-narodowi i agrarjusze. Znawcy stosunków miejscowych sądzą, że Młodoczesi wejdą do nowego sejmu uszczupleni i że kierującą rolę w przyszłej izbie grać będą przewódcy klerykałów dr. Hrůban i ks. Stojan[1]). Obok młodoczechów, klerykałów i agrarjuszy, wystąpią też do walki wyborczej staroczesi, postępowcy i socjaliści. Tym ostatnim przepowiadają zdobycie 6—7 mandatów.

Na zakończenie tego poglądu pozwolimy sobie przytoczyć kilka dat statystycznych odnośnie do Moraw. Powierzchnia kraju wynosi 22.222 klm.^{2}, nieco mniej niż $^1/_3$ część Galicji; Morawy więc w stosunku do powierzchni monarchji stanowią 7·46%, podczas gdy Galicja 26·16%. Ludność Moraw, według spisu z r. 1900, przedstawia się w cyfrze 2,436.706, w czem Niemców 675.492 (27·90%), Czechów 1,727.270 (71·35%), Polaków 15.560 (0·65%). Wogóle lu-

[1]) Przewidywania te spełniły się w zupełności. Przy wyborach, które odbyły się w listopadzie i grudniu 1906 ponieśli Młodoczesi dotkliwą klęskę. Do sejmu weszły stronnictwa w zmienionej sile; najliczniejsze jest stronnictwo katolicko-narodowe w liczbie 24, socjalistów weszło 5, agrarjuszów 13, młodoczechów 16 i t. d.

dności stanowią: katolicy 95·40% ewangielicy 2·72%, Żydzi 1·82%.

W stosunku do spisu w r. 1890 wzrosła znacznie ilość Polaków, głównie przez napływ naszych robotników do zagłębia ostrawskiego.

Obok gmachu sejmowego znajduje się piękny plac t. zw. Raduita, pełen kwiecia i zieleni. Nazwę swą zawdzięcza bohaterskiemu obrońcy Berna przed Szwedami, Ludwikowi Raduit des Souches, którego zwłoki spoczęły w poblizkiem kościele św. Jakóba.

W pobliżu gmachu sejmowego znajduje się piękny gmach czeskiej bibljoteki ludowej i „Dom niemiecki“, rodzaj kasyna politycznego, zbudowany w roku 1891. Mają też Niemcy berneńscy wcale piękny teatr „miejski“ przy ulicy Cesarskiej, dzieło Fellmera i Hellmera, wzniesiony w r. 1882. Był to pierwszy w Europie teatr, który wprowadził elektryczne oświetlenie.

W pobliżu gmachu sejmowego na t. zw. placu Lazańskiego, (byłego gubernatora Moraw i Śląska, znanego i w Galicji biurokraty), mieści się w ponurym, ciężkim gmachu namiestnictwo, posiadające ciekawe archiwum, w którem złożone są także więzienne księgi Grajgóry. Gmach namiestnictwa mieści się w zabudowaniu poaugustyńskiego klasztoru i łączy się z kościołem pod wezwaniem św. Tomasza. W grobowcach tej świątyni złożone są zwłoki dwóch ostatnich samoistnych margrabiów Moraw, a zarazem fundatorów klasztoru i kościoła — Prokopa i Joszta, odrośli Przemyślidów. Nieco dalej, przy ulicy Kościelnej znajduje się najpiękniejszy w Bernie kościół, pod wezwaniem św. Jakóba.

Najstarsza część świątyni powstała jeszcze w XII. wieku, główna jednak budowa pochodzi z końca XIV. i początku XV. wieku. Twórcami jej byli Henryk i Piotr z Gmund, którzy pracowali także przy budowie tumów w Kolinie i Kutnej Horze. Styl gotycki, pojedynczy, skromny a wykwintny; sklepienie opiera

się na podwójnym rzędzie smukłych kolumn, a nad głównem wejściem wznosi się wysoka, ostro zakończona wieża, 92 metrów w górę. Wieża ta, którą widać już z daleka, z którejkolwiek strony przybywamy do Berna, jest niejako znamieniem miasta i jego dumą. Tu, obok ołtarza spoczął wspomniany już obrońca Berna, des Souches, uczczony pięknym nagrobkiem. Przy kościele jest niewielka, ale ładna bibljoteka, bogata w malunki miniaturowe. Obok kościoła św. Jakóba, wznosi się kościół garnizonowy, dawniej OO. Jezuitów; jest w nim piękny cykl „marjański" z 8 obrazami — dzieła weneckiej szkoły. W kościele św. Michała, dawniej dominikańskim, znajduje się pięknie rzeźbiona kazalnica z wyobrażeniem buntu i upadku aniołów (barok). Uwagi godnym jest obecny kościół OO. Augustynów na Starem Bernie, w stylu gotyckim. Kościół ten istniał już w XIII. w., a OO. Augustynom oddany został w r. 1782, w zamian za odjęty im kościół i klasztor św. Tomasza. Są tu piękne dzieła Rottera i Roba, a nadto cudowny ołtarz, obraz N. Panny, malowany według podania przez św. Łukasza. Obraz ten otrzymał margrabia Joszt od cesarza Karola IV., dla ufundowanego przez siebie kościoła św. Tomasza. Augustyni przenosząc się zabrali ze sobą obraz, który jest przedmiotem gorącej czci wiernych. W pobliżu tego kościoła znajduje się duży szpital Braci Miłosierdzia, a nieco dalej cmentarz staroberneński. W szpitalu tym dokonał życia pełnego ciężkiej, a pożytecznej pracy, znakomity slawista Józef Dobrovsky, a jego śmiertelne szczątki spoczęły na poblizkim cmentarzu (1829). Zajmującym jest szczegół, że Dobrovsky zachorował w Bernie w czasie podróży do Krakowa, którą odbywał w zamiarze studjowania rzeczy polskich.

Oprócz wyżej wymienionych, ma Berno całe jeszcze mnóstwo bardzo pięknych i uwagi godnych budynków, zwłaszcza szkolnych. Do tych ostatnich należą gmachy *Vesny*, wzorowej szkoły dla dziewcząt,

połączonej z pensjonatem. Szkoły *Vesny* cieszą się w całym kraju żywem uznaniem i wielkiem zaufaniem.

Berno, jak już powiedzieliśmy, ma w miejscu dawnych fortyfikacyj piękne bulwary, otaczające półkołem śródmieście; zdobi je cały szereg pomników, które mniej może miały na celu uczczenie wielkich poetów, jak zadokumentowanie, że Berno jest niemieckiem miastem. Czescy mężowie pracy i zasługi, jak Dobrovsky i Suszil, muszą się zadowalać nagrobkami na cmentarzu — przynajmniej na razie! A przecież mają Czesi jeden pomnik i to z odległych czasów, pomnik świadczący, że oni tu ojczycami! Pomnikiem tym jest t. zw. Słup Zderada, ukryty w ogrodzie strażnicy akcyzowej, ażeby nie rzucał się zbytnio w oczy. Stoi on na krańcu miasta, na ul. Krzeszowskiej niedaleko mostu, a przypomina dramat z r. 1090.

Zderad ze Szwabenia, przyjaciel ks. Wratysława czeskiego, był naczelnym wodzem armji, oblęgającej zbuntowanego księcia berneńskiego Konrada w zamku na Grajgórze. Przy armji tej znajdował się i syn Wratysława, Brzetysław, młodzieniec niesforny i zuchwały. Skarcony przez Zderada zabił go z zemsty, nasyłając nań siepaczy. Wratysław ukarał syna wygnaniem, a wiernemu słudze wystawił ów pomnik.

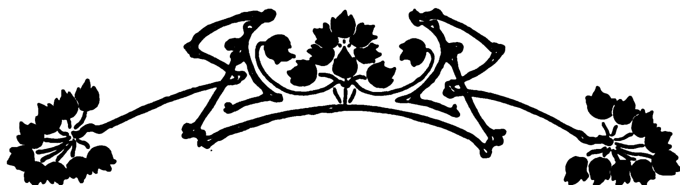
Obok parku na górze Franciszka, w którym ustawiono obelisk na pamiątkę pogromu Napoleona (1815) wymienić należy piękne spacery Grajgóry i urządzony w angielskim stylu park t. zw. „Lużanky“, połączony z miastem koleją elektryczną, niegdyś posiadłość Jezuitów, którą Józef II. po konfiskacie „ofiarował“ obywatelom Berna. Była to naturalnie ciekawa ofiarność cudzym kosztem, niemniej przeto, bardzo się miastu przydała. Ogród utrzymany starannie ma wyborną restaurację, kawiarnię i piękne sale dla licznych zebrań.

Berno otoczone jest szczelnie wieńcem podmiejskich gmin, w których kupi się głównie ludność ro-

botnicza. Niektóre z nich, jak n. p. połączona z Bernem tramwajem gmina Kralevo-Pole, liczy z górą dziesięć tysięcy mieszkańców, Husowice i Żydenice powyżej 8 i t. d. Są to niby placówki czeskie, okalające fortecę niemczyzny, czemraz ciaśniejszym pasem — aż ją wreszcie zdobędą. Dosyć spojrzeć na stosunki narodowościowe w tych gminach, o ile je ujawnił spis ludności n. b. przez Niemców i w niemieckim interesie przeprowadzony. W Królewskiem Polu na 10.143 mieszkańców było Niemców 767, w Żabowrzaskach na 2367 tylko 18, w Husowicach na 8764 tylko 375 Niemców, w Żydenicach na 8922 — zaledwie 264, w Juljanowie na 2410 było Niemców 13! W dwóch tylko gminach: w Czerniowcach i Komarowie mają jeszcze Niemcy większość.

Te osady, to przednia straż dzielnej — a da Bóg — zwycięzkiej armji czeskiej, której sprawa jest tem słuszniejszą, że nie walczy zaborczo, jeno to chce odzyskać, co narodowi brutalna przemoc wydarła. Niechajże na murach Berna zabrzmi jak najszybciej hymn świętowacławski.





VII.

Grajgóra i okolica Berna.

Golgota wolności; z dziejów zamku; podziemne piekło; Józef II. w kaźni skazańców; tajemnice podziemia; izba tortur; pamiętne miejsca; *Galizische Abtheilung;* znakomitsi więźniowie; margrabia Moraw; Kmicic XVIII. w.; ofiary intryg dworskich; Węgrzy i Włosi; romantyczna przygoda; *Silvio Pelicco; Drouet;* męczennicy polscy; ks. kardynał książę biskup krakowski Albin Dunajewski; Henryk Schmitt nauczycielem historji; Robert Nabielak; Juljan Goslar; górale z Chochołowa; piosenka więźni; Rzeczpospolita Grajgórska; koniec męczarni; uczcijmy pamięć cierpień; okolica; Pisarki; klasztor w Rajgrodzie; Turzany; gród Wiewiórczy; zamek Pernsteinów; Biała dama w Piekielnym Proteuszu; legenda o Cisie; Wilhelm z Pernsteinu; morawska Szwajcarja w miniaturze; jary Ponikvy; macocha; turystyka czeska; Sloup i jego podziemia; legenda herbowa Boskoviców.



Na zachodniej stronie stolicy Moraw widnieje wzgórze, ongi zupełnie nagie i strome, dziś splantowane, zamienione w piękny ogród spacerowy.

To Grajgóra, owa Golgota nie tylko nasza, ale i innych ludów austrjackich, które, pamiętne swej przeszłości i swych praw, bez walki wydrzeć ich sobie nie dawały...

Są nazwy, które samym dźwiękiem budzą grozę i przerażenie, wywołują straszne widma z łez i krwi

— do ich rzędu należy niewątpliwie Grajgóra, której posępne mury do dziś sterczą ku niebu, niby kamienny akt oskarżenia, tak blizkiej nam jeszcze przeszłości.

Skaliste wzgórze, panujące nad dolinami rzek Świtawy i Szwarcawy, należy do najstarszych osad na Morawach. Już w IX. wieku istniał tam upewniony gród, który w dokumentach pojawia się po raz pierwszy w roku 1028, jako gród żupy berneńskiej. Staje się on najpierw siedzibą książąt na Bernie, w czasach, gdy Morawy były udziałem różnych Przemyślidów, później markgrafów morawskich, miejscem zebrania stanów i sądów ziemskich, bywa często rezydencją królów czeskich, jak Ottokara II., Wacława, Jana i Zygmunta luksemburskich, aż wreszcie, po nieszczęśliwej dla Czechów bitwie pod Białą górą, zmieniony zostaje na więzienie, najpierw dla przestępców politycznych, a od roku 1673 i dla skazanych za zbrodnie zwykłe.

I później widziała Grajgóra w swych murach wielu dostojnych gości: odwiedzali ją cesarz Franciszek, Józef II., Ferdynand IV., król neapolitański i Napoleon wielki, który w r. 1809 kazał w powietrze wysadzić najsilniejsze forty. W kronice Grajgóry spisanej przez p. Costa-Rossetti[1]), czytamy, że bramy jej otwarły się dla polskich przestępców stanu w r. 1829, na podstawie dekretu kancelarji nadwornej z dnia 25. kwietnia t. r. Z dalszych zapisków kronikarza dwa są szczególniej ciekawe:

W r. 1847 zapisuje, że nastąpiło rozszerzenie więzień *„zur Unterbringung von revolutionären Polen"* (t. zw. tych, których nie dosięgła ręka nasłanych przez rząd morderców w r. 1846), a o pamiętnym r. 1848 pisze dosłownie: „1848 revoltirten die Gefangenen des Strafhauses auf der Zeile. Es kamen da-

[1]) Der Brünner Spielberg von Anton Costa-Rossetti Edler v. Rossanegg res. k. u. k. Oberst des Genie-Stabes. 7 Auflage, Brün 1903.

mals viele *verwilderte Gesellen* auf den Spielberg, dessen Gefängnisse damals sehr überlegt waren".

Dopiero w roku 1855 zniesiono więzienia grajgórskie, przeznaczając cały gmach na pomieszczenie wojska. Aż do r. 1809, t. j. do czasu częściowego zniszczenia fortów przez Francuzów, była Grajgóra potężną twierdzą, która w swoim czasie nawet Torstensonowi się oparła; dziś pozostały z niej ślady w postaci potężnego muru, okalającego olbrzymi kompleks gmachów, zabudowany w dosyć regularny prostokąt, otoczony drzewami i trawnikami. Idziemy wygodną, ale i dziś jeszcze dosyć stromą drogą od ulicy Elżbiety; na ostatnim skręcie widnieje z cierniska figura, przedstawiająca św. Jana. Płyta kamienna u jej stóp ma wklęsłości wyżłobione kolanami skazańców, którzy tu odmawiali ostatnią na wolności — a najczęściej i ostatnią na bożym świecie modlitwę. Jeszcze jeden skręt i wchodzimy — na dziedziniec straży, której komendant wskazuje uprzejmie przychodzącemu, gdzie należy nabyć bilet wstępu do kazamat. Dochód z opłat, pobieranych przez zarząd wojskowy, pokrywa koszta utrzymania tych niemych świadków groźnej przeszłości. Byłyby one już zupełnie zniszczały, gdyby nie usilne starania wspomnianego pułkownika sztabu inżynierji, Antoniego Costa-Rossetti, który wydobył od rządu trochę pieniędzy na zachowanie tego dokumentu dziejowego. Zaopatrujemy się w bilet i widokówki (gdzieby ich nie było!) i schodzimy do fortecznej fosy, poprzedzani przez wymowną ciceronkę z olbrzymią pochodnią. Silnie okute drzwi skrzypią pod naporem klucza, grobowe powietrze owiewa nas nagle, a wilgotne zimno, mimo ciepłej narzutki, przejmuje aż do kości. Jesteśmy w dolnych kazamatach, które leżą zupełnie pod ziemią...

Kazamaty, zarówno dolne, jak górne, znajdują się na linji dłuższych boków prostokąta; trakt północny nazywa się traktem józefińskim, trakt połu-

dniowy, traktem leopoldyńskim. Ten ostatni jest dziś tylko dużym, pustym korytarzem, przez który prowadzi kanał, mający co kilkanaście kroków otwory.

Służyły one, jako miejsce — poprawy!...

Opornych lub burzliwych więźniów rozbierano do pasa i wpuszczano połową ciała do takiego otworu na 2—6 godzin. Były to tortury straszne... więźniowie powracali do swych cel z nogami ogryzionemi przez szczury!

A przecież nie były to jeszcze najstraszniejsze katusze! W trakcie józefińskim wchodzimy najpierw do trupiarni, a następnie do wązkiego korytarza, w którym po obu stronach były klatki dla więźniów w liczbie trzydziestuczterech. Klatki te miały 1·9 m. szerokości, 1·9 m. głębokości i 3·2 m. wysokości; drzwi, wiodące do tych grobów dla żywych, były zaledwie 0·9 wysokie. Światła naturalnie ani śladu, gdyż nawet otwór, służący do podawania chleba i wody, a znajdujący się ponad drzwiami, bywał szczelnie zamykany. Jedna z tych cel utrzymana jest do dziś w niezmienionym stanie...

Dantejski obraz!

W wilgotnej ścianie znajduje się wydrążenie na głowę i ramiona więźnia, który w postaci siedzącej przykuty był dwoma żelaznymi obręczami, otaczającymi pas i szyję; obręcze te były tylko bardzo rzadko zdejmowane. Ponadto miał więzień łańcuchy na rękach i nogach, przytwierdzone do trzeciego łańcucha, który zwieszał się od sklepienia. Gdy więzień z bolu lub rozpaczy krzyczał, — był na to środek zarówno prosty, jak okrutny: wkładano mu w usta rodzaj gruszki blaszanej z otworami, wypełnionej pieprzem...

Wszystkie te straszne szczegóły objaśnia nam przewodniczka na manekinie, przy pomocy przechowanych do dziś dnia narzędzi męki. Cela, w której jesteśmy, miała cesarskiego gościa...

Józef II. zwiedzając podziemne kazamaty (w roku 1783) w towarzystwie pułkownika, hr. Franciszka Rozenberga, kazał sobie jedną z pustych chwilowo cel otworzyć, a wszedłszy tam, polecił, ażeby go według przepisów okuto i pozostawiono przez godzinę... Zbladły ze strachu dozorca spełnił rozkaz cesarski...

Po godzinie wyszedł cesarz, również jak trup blady: „Byłem ostatnim człowiekiem — zawołał — który przekroczył te okropne progi! Od dziś więzienia te przestają istnieć!...“

Był to niewątpliwie najpiękniejszy czyn Józefa II.; od tej chwili opustoszały te straszne cele. Raz tylko, jak twierdzi podanie, niepoparte dowodami, a mianowicie w r. 1820 straszna ta kaźń otrzymała gościa. Był nim jakiś „Bezimienny“, który miał wykonać zamach na wysoką osobistość. Do zwykłych katuszy dodano jeszcze inną: nad głową jego umieszczono rurę, z której sączyła się nieustannie woda dużemi kroplami. Po kilku miesiącach zmarł, oszalawszy poprzednio; zwłoki pozostawiono w celi, którą zamurowano.

Tak opowiada nasza przewodniczka. Pułkownik Costa-Rossetti w swem suchem sprawozdaniu notuje, że przy robotach 1879 r. odkryto w końcu korytarza zamurowaną celę w której znaleziono kości ludzkie. Nad głową skazańca znajdowała się zardzewiała rurka, służąca, zdaje się, do puszczania wody.

Jest to jedna z tajemnic Grajgóry!

W tych strasznych, pozbawionych światła i powietrza, a pełnych wilgoci klatkach, ludzie szybko żyli; wspomniany już pułkownik w swym lapidarnym wojskowym stylu, konstatuje: *„selten kam ein Malificant lebend heraus...“ „mit dem Ueberschreiten der Thürschwelle, musste er der Welt ein schauriges Lebewohl sagen...“* Według zapisków więziennych, przeważna część więźniów ginęła szybko; nieszczęśliwi już po kilku miesiącach tracili wzrok i zmysły, a nie-

bawem kończyli życie; — przeciętnie wytrzymywali 12—18 miesięcy. W kaźniach tych zamykano głównie morderców i rozbójników, choć podania mówią także o ofiarach intryg dworskich.

Ostatnia cela służyła jako izba tortur: na dużej, pochyło stojącej drabinie, widnieje manekin, którego za pomocą maszyny podciągają do góry, obciążywszy wprzód nogi ogromnemi żelazami. Obok znajduje się piec, na którym rozgrzewano obcęgi do szarpania ciała, lub zapalano kwacze do przypiekania boków. W innej celi są t. zw. „hiszpańskie buty", które, bądź rozpalone wkładano na nogi, bądź gnieciono za ich pomocą nogi i ręce skazańców. Straszne te więzienia zniesiono dekretem Leopolda w r. 1791. Używano cel jednak i później, jako środka dyscyplinarnego — a to nawet wobec więźniów politycznych!

Kazamaty górne różnią się od kazamat dolnych tylko wielkością i odrobiną światła, które cieniuchnym promieniem dostawało się przez małe, silnie okratowane okienko, umieszczone pod sufitem celi, na równi z poziomem podwórza. Zresztą ta sama wilgoć, ta sama przerażająca cisza — i ta sama prawie ciemność...

Na niektórych ścianach widnieją różne znaki, nazwiska, nawet całe zdania, darte w kamieniu paznokciem więźni: od murów zdają się dochodzić ciche szepty skargi i rozpaczy. Są tu cele pojedyncze i zbiorowe; w tych ostatnich skazańcy przykuwani byli na noc osobno jeszcze do wspólnego łańcucha, którego drugi koniec, puszczony przez ścianę, znajdował się w izbie straży. Czuwający żołnierz pociągał co godzinę za łańcuch, budząc tych, którzy na chwilę usnęli.

W rzędzie, jedna za drugą, od pierwszej poczynając, mieszczą się cele, w których przebywali ongi słynni więźniowie: Trenk, Marroncelli, hr. Filanghen, Silvio Pellico, a prócz tego cele innych, interesujących więźniów, jak niewinnie skazanego leśniczego,

Antona i słynnego rozbójnika Babińsky'ego. Oprócz tego są kaźnie wspólne i lokale dla straży. Na trakcie leopołdyńskim znajdują się głównie kaźnie wspólne, przeznaczone ongi dla kobiet, odsiadujących więzienie, izby dla straży i izba tortur. W jednej z cel znajduje się łoże więzienne: prosta kanciasta prycza, bez żadnego posłania; bardzo tylko chorym dawano nieco słomy. Na zachodniej stronie mieściły się, naturalnie już na powierzchni ziemi, szpitale i mieszkania straży — poza mieszkaniem straży na podwórzu było miejsce tracenia.

W rogu na północnym-wschodzie, na pierwszem piętrze była cela, do której przeniesiono hr. Silvio Pellico, gdy ciężko zachorował; w trakcie Józefińskim jest nadto otwór w podłodze, którym spuszczano dyscyplinarnie ukaranych więźniów do kazamąt dolnych. Tuż obok na pierwszem piętrze mieściły się mieszkania oprawców, którzy z reguły używani byli do bicia więźniów. Jeszcze z końcem XVIII. wieku znano na Grajgórze trzy stopnie więzienia; najcięższe polegało na tem, że więzień przykuty był do ściany żelaznym obręczem w pasie, a na szyi miał obrożę, do której przykuty był gruby łańcuch, przeprowadzony przez blok na powale; drugi koniec tego łańcucha musiał więzień trzymać w rękach, gdyż inaczej, opadając własnym ciężarem, podciągał obrożę i kaleczył podbródek i tył głowy. Prócz tego na rękach i nogach miał kajdany. Kara ta była oznaczoną § 25. kodeksu karnego z r. 1787. Obrożę z pasa i z szyi zdejmowano bardzo rzadko; żelaza z rąk i nóg — nigdy! Pożywienie więźniów składało się wyłącznie z chleba i wody.

Więźniowie drugiego stopnia, byli tak samo przykuci, z tą różnicą, że na rękach i nogach mieli lżejsze żelaza i dostawali dwa razy w tygodniu pół funta mięsa. Ci odbywali karę — o ile starczyło miejsca — w kazamatach górnych. Przy trzecim stopniu odpadały obie obroże, zostawały natomiast kaj-

dany na nogach i rękach; pożywienie, jak przy drugim stopniu.

Prócz tego, aż do roku 1792, więźniowie byli piętnowani i karani publicznie chłostą. Od tego czasu otrzymywali wszyscy skazańcy ciepłą strawę i derki na posłanie. Podług Silvio Pellico (Le mie Prigioni) były w roku 1822 dwa rodzaje więzień: ciężkie, przyczem skazaniec miał kajdany na rękach i nogach i zmuszony był do pracy i bardzo ciężkiej, a wówczas więzień przykuty był łańcuchem do ściany swej kaźni.

Począwszy od roku 1842, mieli wszyscy aresztanci kajdany tylko(!) na nogach, dostawali codziennie ciepłą strawę i $1^1/_2$ f. żytniego chleba. Kontrolowanie więźniów odbywało się trzykrotnie: wieczór, o północy i rano, lekarz odwiedzał więźniów trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki. Śmiertelność wśród skazańców była aż do ostatnich czasów bardzo znaczna; przeciętnie umierało rocznie $40^0/_0$ ogólnego rocznego przyrostu. Najczęściej jako przyczyna śmierci figuruje udar mózgowy i wycieńczenie; z pomiędzy zwykłych więźniów, którzy zamknięci zostali w roku 1845 w liczbie 54, zmarło tego jeszcze roku nie mniej jak 26, bez żadnej epidemji! Jak różnem było grono więźniów, wystarczy, jeżeli z jednego roku wyjmiemy powody skazania; są to: rabunek, morderstwo, dzieciobójstwo, podpalenie, fałszowanie monety, należenie do tajnych związków, opór przeciw władzy, bunt, zbrodnia stanu...

Galicyjscy zbrodniarze (zwykli) zamykani byli w kazamatach Grajgóry od r. 1788, a mianowicie skazani na ciężkie kary, którzy byli zbyt słabi, aby mogli być użyci do ciągnienia okrętów na Dunaju. W rzędzie pospolitych zbrodniarzy z Galicji figuruje nazwisko Michała Suchorowskiego, adwokata, liczącego lat 35, doktora praw, filozofji i sztuk pięknych, skazanego w roku 1839 za morderstwo na 20 lat ciężkiego więzienia. W nocie odnośnej figuruje on

jako człowiek „von sehr bösartiger Gemüthsbeschaffenheit“ — zresztą nazwisk polskich w tym dziale bardzo mało; natomiast w dziale politycznych „zbrodniarzy“ roi się od polskich i włoskich, a później i węgierskich nazwisk.

Więźniów polskich po roku 1845 było tak wielu, ze musiano dla nich dobudować osobne skrzydło przy trakcie Józefińskim; cały ten trakt nazywa się od tego czasu do dziś już nie józefińskim, ale *„galizische Abtheilung“*.

Wśród więźniów Grajgóry było wielu takich, którzy budzić muszą szczególniejsze zainteresowanie; dosyć wymienić patrjotę włoskiego, hr. Silvio Pellico, który grozę więzień grajgórskich tak wymownie przedstawił w cytowanem już dziele. Ale prócz niego było wielu, bardzo wielu innych, którzy nie mniej, jak on cierpieli.

Jakkolwiek Grajgóra dopiero po bitwie białogórskiej stała się oficjalnie więzieniem przestępców stanu, to jednak już i przedtem nie brakło jej ofiar. Jedną z pierwszych był margrabia Prokop, rządca Moraw, schwytany podstępnie przez swego kuzyna, cesarza Zygmunta luksemburskiego, szwagra Jagiełły, i osadzony 1410 w więzieniu, w którem niebawem, — prawdopodobnie otruty — zakończył życie.

W czasach wojen husyckich siedzą tu panowie morawscy i czescy, między innymi Herald z Kunstatu i Bogusław z Szwambergu; w czasie późniejszych wojen religijnych, po bitwie białogórskiej, członkowie rodzin Waldsteinów, Kauniców, Schleiniców, Riczanów i w. i. Nie brakło też oficerów, którzy należeli do przyjaciół słynnego Wallensteina, jak pułkownicy: Schärfenburg i br. Schaaffgotsche, obaj straceni (1630) na podwórcu więziennem, podczas gdy trzeci, podpułkownik Hämmerle, umarł w więzieniu.

W r. 1680 zajął cele skazańców hr. Stefan Szirmay, ponieważ zbyt dokładnie znał tajemnicę,

łączącą dwór wiedeński z Tökölym, mógł się zaś stać niebezpiecznym z powodu grożącej z W. Portą wojny. Ofiarą polityki był również saski marszałek polny v. Schöning, który swego pana i przyjaciela, Kurfürsta Jana Jerzego IV., chciał związać z Francją przeciw Austrji. Czy tak było istotnie — nie wiadomo; dosyć, że nie przeczuwającego nic złego pochwycono podstępnie w Cieplicach gdzie się leczył i odstawiono na Grajgórę. Kurfürst saski, pragnąc ocalić swego oficera, wysłał cesarzowi w pomoc 12.000 wojska i dał 400.000 fl. subwencji wojennej; ani to jednak, ani uroczyste protesty na sejmie Rzeszy nie pomogły: uwolniono Schöninga dopiero po śmierci Jana Jerzego (1696).

Bardzo interesującą postacią wśród więźniów grajgórskich jest austrjacki cechmistrz polny, hr. Klaudjusz Aleksander Bonneval, rodem Francuz, spokrewniony z Burbonami. Przeznaczony najpierw do stanu duchownego, uciekł rodzicom do marynarki, w której wnet zasłynął jako żołnierz dumasowskiego pokroju. Młodzieńcem walczył zaszczytnie pod najsłynniejszymi wodzami we Włoszech i Niederlandach, ale gdy rywal jego, protegowany pani Maintenon, ubiegł go w stopniu, opuścił po gwałtownej scenie z ministrem wojny i po skazaniu go na karę śmierci Francję, zaciągając się do służby austrjackiej pod rozkazy ks. Eugeniusza Sabaudzkiego. Pod jego wodzą odbył zaszczytnie kampanię 1710—1712, a następnie 1716—1718, zyskując przyjaźń i zaufanie ks. Eugeniusza. Ale... mieszał się zbyt wiele w prywatne życie i stosunki ks. Eugeniusza, który, chcąc go się pozbyć, wyznaczył mu stanowisko w Niderlandach. Niespokojny Bonneval nie mógł się zgodzić z austrjackim wielkorządcą w Brukseli, markizem de Prie, skutkiem czego odwołano go i pod błahym pozorem schwytano w czasie powrotnej podróży, osadzając w Grajgórze. Przesiedział tam rok cały, kpiąc ze swych sędziów i wypisując na nich pa-

szkwile, które odczytywał komendantowi twierdzy i jego żonie. W końcu udało się przyjaciołom przedstawić jego sprawę Leopoldowi II., który widząc, że wina Bonnevala nie jest tak ciężką, poprzestał na wydaleniu go ze służby. Nie tracąc humoru, udał się uwolniony więzień do Turcji, przyjął islam i wstąpiwszy do wojska, zasłynął wkrótce pod nazwiskiem Achmeta Paszy (1730), jako reformator tureckiej artylerji. Odznaczywszy się w wojnie z Rosją i Persją, został niebawem gubernatorem wyspy Chios. Koniec życia nie był, z powodu ciągłych walk z wezyrami, spokojnym. Bonneval zapragnął wreszcie powrócić do ojczyzny; prośba jego została załatwioną przychylnie, ale — otrzymawszy w dniu 27. marca 1747 tyle upragnione pozwolenie — z wielkiej radości zmarł nazajutrz, licząc 72 lat. Portret jego w pięknym tureckim stroju, wisi w celi, w której ongi siedział jako więzień Grajgóry.

Podobną ofiarą niewdzięczności wielkich tego świata był polny marszałek, Jerzy Oliwier hr. Wallis, syn pułkownika, i to pułkownika dzielnego w armji austrjackiej. Odznaczywszy się pod Zentą, Chiari i Mantuą, został 1704 r. podpułkownikiem. I znów zbiera laury w Tyrolu, zdobywa Kufstein, cytadele Mantui, podbija całe Abruzzy z Pescarą, zdobywa Orbittello, Talmone, S. Stefano, księstwo Piombino, a wreszcie Messynę, gdzie zostaje mianowany gubernatorem. I tu odznacza się zarówno jako wódz, jak i administrator, a wreszcie zostaje powołany na komendanta Węgier i gubernatora Serbji. Wybucha jednak wojna z Turkami, a Wallis, mając słabe siły, cofa się i zawiera pokój w Białogrodzie. To jedno niepowodzenie, dzięki intrygom, przekreśla wszystkie poprzednie zasługi i czyni go więźniem Grajgóry 22. lutego 1740 r. Więzienie to nie trwało długo; po śmierci Karola IV., Marja Teresa uwolniła go i przywróciła do godności.

Jednym z najbardziej interesujących typów w galerji znakomitych skazańców Grajgóry jest Franciszek br. Trenck, drugi tom Kmicica XVIII. wieku, w mundurze austrjackim! Urodził się w Kalabrji 1714 roku, jako syn pułkownika i komendanta Lewoczy, dziedzicząc po śmierci ojca (1743) znaczny majątek i dobra w Slawonji. Utalentowany niezwykle (mówił siedmioma językami), wykształcony nad ówczesną miarę, miał temperament niezwykle burzliwy. Olbrzymiego wzrostu, okazałej postawy, człek rycerski, wstąpił za młodu do wojska i już w 22 roku życia, jako oficer rosyjski w wojnie z Turkami zdobył szlify majora. Niebawem jednak przyszedł do awantury: widząc dogodną sposobność w czasie bitwy, prosił pułkownika, by go jak sokoła puścił na Turków. Pułkownik zgromił go i kazał stać w szeregu. Trenck, uniesiony żądzą boju, nie usłuchał rozkazu, rzucił się na nieprzyjaciela, rozbił go — a gdy pułkownik czynił mu następnie wymówki, przejechał go szpicrutą przez twarz i nazwał go moskiewskim tchórzem. Stawiony przed sąd wojenny, skazany został na śmierć przez rozstrzelanie, w uwzględnieniu jednak okazanego męstwa ułaskawiony i przeniesiony do innego pułku. Niebawem jednak i tu przyszło do podobnej awantury; ponownie skazany na śmierć, został znów ułaskawiony, ale zarazem wydalony z armji.

Skorzystał z toczącej się właśnie sukcesyjnej wojny austrjackiej i otrzymał na swą prośbę (1740) pozwolenie utworzenia pułku ochotniczego pandurów. Była to zbieranina samych opryszków i zbójów, których Trenck umiał jednak utrzymać w karności żelazną dyscypliną.

Na czele tego dzikiego oddziału wpadł do Bawarji, gdzie okazał się niezrównanym partyzantem, ale równocześnie splamił się rzezią w Cham.

O genezie tej krwawej rzezi przechowała się następująca legenda: Trenck, ujęty wdziękami córki

kasztelana zamku Cham, zakazał swym pandurom wszelkiego nadużycia i zdobywszy zamek, poprzyjaźnił się z jego panami i załogą. Z wdzięczności pan zamku urządził ucztę, na którą zaprosił Trencka i jego oficerów. Tymczasem córka kasztelana, ujęta dobrocią i miłością Trencka, ostrzegła go, że bal ten ma być zakończony otruciem jego i oficerów i zaklęła, ażeby żaden z nich po północy nie brał do ust wina. Oburzony Trenck poprzysiągł zemstę i obstawił pandurami wszystkie wyjścia. O północy wzniósł pan domu toast na cześć zwycięzcy i podał kielich Trenckowi; ten, patrząc bystro w oczy gospodarza, poprosił go o zamianę kieliszków. Gdy gospodarz pobladł i niechciał tego uczynić, Trenck widząc w tem dowód zdrady, dał znak pandurom, którzy wpadłszy nagle, wymordowali wszystkich biesiadników, a między nimi i córkę kasztelana...

Kiedy później nieprzyjaciele Trencka postanowili go zgubić, jednym z głównych atutów w ich ręku było obwinienie o rzeź w zamku Cham. Nieprzyjaciele byli silni i możni, a rekrutowali się głównie z pomiędzy arystokratycznych oficerów, których Trenck napędził, jako niezdolnych; na ich czele stał kapitan, hr. Gossau.

Trenck kpił sobie z przeciwników i lekceważył dwór.

Wezwany do Wiednia celem usprawiedliwienia się, skazany został przez Marję Teresę na areszt domowy. Wyrok przyjął, ale nie myślał się do niego zastosować; rozbijał się po Wiedniu wspaniałym zaprzęgiem, a wieczorami siadywał w teatrze naprzeciw loży cesarskiej. Byłoby mu może to uszło, gdyby nie gorsza awantura: pewnego dnia, przyszedłszy jak zwykle do teatru, ujrzał w loży parterowej zaciekłego swego wroga, Gossau'a, siedzącego tuż naprzeciw loży dworskiej, w której była Marja Teresa. Nie licząc się z niczem, wpadł do loży kapitana, obił go należycie, porwał go za kark i byłby go rzucił

na parter, gdyby nie służba i publiczność, które temu przeszkodziły.

Ta scena zaprowadziła go przed sąd wojenny, który za obrazę monarchini skazał go na dożywotnie więzienie na Grajgórze! Trenck przyjął wyrok spokojnie; w więzieniu był bardzo przykładnym i nabożnym — nie rozłączał się z różańcem. Uzyskawszy poprzód pozwolenie na rozporządzenie swym majątkiem, zażył w dniu swych imienin 4. października 1749 truciznę i wyspowiadawszy się, umarł. Z majątku swego przeznaczył: 4000 fl. Kapucynom w Bernie, 3000 fl. na uposażenie kaplicy więziennej, 30.000 fl. na utrzymanie trzydziestu ubogich, w pierwszym rzędzie ofiar rzezi w Cham, 4000 fl. dla córki swego dozorcy, 1400 dukatów zastępcy komendanta twierdzy, br. Kotulińskiemu, 6000 fl. swemu lekarzowi, 600 fl. swym dwom sekretarzom, 100 dukatów na msze św., tyleż oficerowi straży, Prodeckiemu, 1000 fl. swemu służącemu, mniejsze legaty służbie więziennej, a wszystkie dobra swemu bratankowi.

W myśl ostatniego życzenia, pochowany został w stroju więźnia i z kajdanami u Kapucynów w Bernie, gdzie do dziś dnia oglądać można zwłoki doskonale utrzymane. Różaniec jego znajduje się w berneńskiem muzeum im. Franciszka, portret zaś w celi więziennej. W stotrzynaście lat później r. 1862 komendant 53 pułku piechoty br. Dahlen-Orleburg, przy pewnej uroczystości oficerskiej, pił na cześć tego samego skazańca, podnosząc w swym toaście: „Z dumą zaznaczam, że my, Jego Ces. Mości pułk 53, jesteśmy pułkiem pandurów Trencka! Kim Trenck był, opowiada historja, mogą opowiedzieć Prusacy, świadczą bohaterskie jego czyny pod Lincem, Deggendorfem, Cham, Budziejowicami, Bryzgowicami, Cosel, Ourte i t. d. W tych bitwach pobrał Trenck 4000 jeńców, a wśród nich 9 generałów, 58 oficerów, 45 dział i 15 sztandarów. Cześć przodkowi pułku, cześć pamięci Trencka“.

Czasy się zmieniają!... Z cywilnych dostojników byli na Grajgórze: tajny sekretarz, Wilhelm Menzel i stanowy czeski sekretarz, Karol David.

Wilhelm Menzel bawił i w Polsce, jako sekretarz króla Augusta III. Wina jego polegała w tem, że za pieniądze sprzedał posłowi pruskiemu korespondencje króla z Austrją i Rosją, co przyspieszyło wybuch wojny siedmioletniej. Widząc, że zdrada została odkrytą, uciekł do Pragi. Schwytano go tu i osadzono na Grajgórze, gdzie pozostawał aż do zawarcia pokoju w Hubertsburgu r. 1763. Wydany później w ręce Augusta, zamknięty został w Königsteinie, gdzie też zakończył życie 1796.

Do rzędu ciekawych przestępców należał też austrjacki oficer inżynierji, porucznik Jan Łukasz Ludwik de Toux, rodowity Francuz, założyciel „Bractwa krzyża gwiazdzistego“, które zajmowało się alchemią i poszukiwaniem „kamienia mądrości“, tudzież „eliksiru młodości“. Niewinne to stowarzyszenie zadenuncjował w r. 1744 jeden ze stowarzyszonych, oficer dragonów Karol Glomminger von Glomberg, a sąd nie dopatrzył się wprawdzie w działalności de Toux nic niebezpiecznego dla państwa, ale mimo to skazał go na karę śmierci! Marja Teresa zmieniła karę śmierci na karę więzienia i w ten sposób de Toux i kilku jego towarzyszy dostali się na Grajgórę.

Z węgierskich więźniów najsłynniejszymi byli: głośny poeta, Fran. Kazinczy i dr. Franciszek Verseghy, literat, osadzony z tego samego powodu. Obaj po kilkuletniem więzieniu odzyskali wolność. Franciszek Kazinczy był jednym z najznakomitszych pisarzy węgierskich i gorliwym członkiem loży wolnomularskiej. Był on, rzec można twórcą węgierskiej sceny, dla której przełożył cały szereg utworów z obcych języków. Wmieszany w wojskowy spisek Martinowicsa, skazany został na karę śmierci 1794 r. Ułaskawiony jednak, przesiedział 3 lata w Grajgórze, później w Kufsteinie i Munkaczu.

Uwolniony wreszcie, ożenił się z córką hr. Törek. Umarł r. 1831 na cholerę.

Dr. Franciszek Verseghy, kapelan wojenny, aresztowany został z tegoż samego powodu i przebył 9 lat w więzieniu. Władał on 9 językami, a w spuściźnie po nim zostało przeszło 40 tomów prac naukowych; uwolniony w r. 1804, umarł w r. 1822.

W czasach Karbonaryzmu roiła się Grajgóra więźniami włoskimi (1820—1836). Jedną z pierwszych ofiar była piękna hrabina Filanghieri, która tu spędziła lat dziesięć, najznakomitszymi zaś byli hr. Gwido Pallavicini z Medjolanu, który na Grajgórze przesiedział 10 lat, a później w r. 1862 był ministrem w Piemoncie, hr. Confalionieri siedział lat 11, hr. Fortunato Orboni, który zmarł w więzieniu.

Wśród wymienionych powyżej więźniów włoskich, prawdziwie romantyczną postacią jest markiz Jerzy Gwido Pallavicini-Trivulzio. Aresztowany pod błahym pozorem agitacji przeciw Austrji w r. 1824, skazany został na karę śmierci, zmienioną później w 20-letnie więzienie. Przesiedziawszy dziesięć lat na Grajgórze, został ułaskawiony, jako ciężko chory, ale równocześnie internowany w Pradze, gdzie każdego trzeciego dnia musiał się przedstawić w policji. W Pradze poznał córkę winiarza Kollmanna, która rozkochana w pięknym więźniu, ułatwiła mu ucieczkę rozstawionymi do granicy saskiej końmi. Ucieczka, — mimo iż hrabia był jeszcze chory — udała się i Pallavicini znalazł się bezpiecznym w Paryżu. Teresa Kollmann pospieszyła tam niebawem na jego wezwanie i oddała mu swą rękę. W r. 1848 osiedli małżonkowie w Turynie, a w r. 1859 margrabią mianowany został senatorem. Stał się on prawą ręką Cavoura, — raz tylko, gdy chodziło o ustąpienie Nicei, głosował przeciwko niemu. W r. 1860 powołał go Garibaldi na prodyktatora Neapolu, który to urząd pełnił aż do objęcia zdobytego królestwa przez

rząd Piemontu. Pallavicini przechowywał zawsze kilka ogniw łańcucha, który dźwigał na Grajgórze. Zmarł on w r. 1878 w Rzymie, a Włochy długo opłakiwały w nim jednego z najlepszych swych synów.

Margrabina Teresa, z którą żył bardzo szczęśliwie, umarła wkrótce po nim.

Przedewszystkiem jednak interesują postacie obu przyjaciół hr. Orboniego, poeci: Maroncelli i hr. Silvio Pellico.

Obaj oni zamknięci byli w podziemnych kazamatach traktu Józefińskiego. Maroncelli skomponował wiele poematów, cyzelując je w pamięci, w czem osiągnął ogromną wprawę. Nabawiwszy się reumatyzmu, musiał się zgodzić na amputację nogi i po latach cierpień opuścił więzienie złamanym kaleką.

Szczęśliwszym był jego znakomity ziomek i przyjaciel, hr. Silvio Pellico. Urodzony w Saluzzo na Sardynji 1790, wcześnie stanął w szeregach męczenników ojczystej sprawy. Skazany na śmierć, ułaskawiony został następnie, ze zmianą kary na 15-letnie więzienie. Aresztowany r. 1820 w Medjolanie, przebył śledztwo pod osławionymi dachami ołowianymi więzień weneckich, a 10. kwietnia 1822 zamknięty został w dolnej kazamacie Grajgóry, jako więzień nr. 303. Curriculum jego życia streszczono jak następuje: Lat 32, katolik, stanu wolnego, były sekretarz, małego wzrostu, słabej budowy ciała, ciemne włosy, ciemny zarost, niebieskie oczy, regularny nos, małe usta; mówi: po włosku, francusku i łacinie, nieco po niemiecku". Okuty w kajdany (na nogach) przechodził straszne cierpienia, które tak barwnie opisał w swem głośnem dziele *„Le mie Prigioni"*. Słabego zdrowia, zapadł szybko na febrę i zaczął plwać krwią, skutkiem czego dozwolono mu używać koca na posłanie. Ostatecznie na prośbę gubernatora Moraw, Mitrowsky'ego, przeniesiono go na pierwsze piętro, a później dopuszczono do niego Maroncellego i pozwolono im mieć dwie włoskie

książki. Jeszcze później, dzięki wstawiennictwu tegoż gubernatora, dano mu papier i przyrządy do pisania. Skorzystał z tego, ażeby napisać swe pamiętniki i tragedję „Leoniero da Dertona“. Pociechą obu więźni był ich spowiednik, ks. kapucyn Baptysta, o którym Pellico z wielką czcią wspomina. Po ośmiu latach cierpień fizycznych i niewysłowionych katuszy moralnych, odzyskał w r. 1830 wolność — wychodząc na świat, który młodzieńcem opuścił, jako schorzały i złamany starzec.

W celi, w której przebywał wraz z Maroncellim, znajdują się portrety obu przyjaciół, poetów-męczenników. Kiedyśmy tam byli, oba wizerunki uwieńczone były świeżymi kwiatami. Zapytana przewodniczka objaśniła nas, że trzy dni temu było tu — jak się to często zresztą zdarza — jakieś włoskie towarzystwo, które przyniosło te kwiaty. Wśród nich — mówiła — była jakaś pani, która przyniosła te kwiaty i sama je upięła; później uklękła przed wizerunkiem i długo, długo się modliła. „Wieczną ich jest pamiątka — albowiem żyją swemi cierpieniami“.

O politycznych więźniach polskich piszemy osobno, tu wspominamy jeszcze o jednym więźniu, który dzięki powieści Ridderstrada, p. t. „Czarna ręka“, stał się popularną osobistością.

Był nim Jan Baptysta D r o u e t, pocztmistrz z St. Menehould, deputowany konwentu paryskiego. Był to ów człowiek, który w r. 1791 przeszkodził ucieczce Ludwika XVI., poznawszy go mimo przebrania i zarządził jego odstawienie do Varennes. Za tę usługę otrzymał od narodowego zgromadzenia gratyfikację w kwocie 30.000 fl. Drouet głosował później, jako deputowany, za straceniem króla, a w r. 1793, dostawszy się do niewoli, jako komisarz armji północnej, zesłany został na Grajgórę. W r. 1795 został z innymi wymieniony za córkę Ludwika XVI., późniejszą ks. Angouleme i należał do najzacieklejszych rewolucjonistów. Po powrocie Burbonów, wydalony

z Francji, zmarł w Szwajcarji 1824 pod nazwiskiem Merger.

. . . .

Żaden jednak z narodów znajdujących się pod jarzmem austrjackiem nie dostarczył Grajgórze tylu ofiar sprawy wolności, co naród polski. Podobnie jak po procesach, wywołanych wyprawą Zaliwskiego, szły całe kolumny polskich męczenników zaludniać ponure cele Kufsteinu, tak po katastrofie w r. 1846 dążyły ku Bernu długie szeregi wozów pocztowych, wiozących skazańców polskich. A było ich tam już niemało, zesłanych po różnych procesach w latach 1841—1847; w ich liczbie byli: Henryk Hubicki, ks. Mik. Hordyński, Wład. Czaplicki, Henryk Bogdański, Leonard Stawski, Eugeniusz Chrząstowski, Leander Pawlikowski i późniejszy kardynał, książę biskup krakowski Albin Dunajewski. Ten ostatni był aplikantem trybunału krakowskiego, a później sekretarzem Adama hr. Potockiego. Przywieziony został do Grajgóry 20. stycznia 1845; podczas pobytu tamże postradał narzeczoną Dorotę Kramkowską, która jego wywiezienie przypłaciła życiem. Wówczas w zbolałem sercu więźnia zrodziła się myśl przywdziania szaty kapłańskiej, z którą zresztą się nosił będąc w gimnazjum sądeckiem. Na Grajgórze siedział z Chmielewskim, chorym i poranionym od kajdan i z drugim towarzyszem niedoli, którego doznane cierpienia przywiodły w melancholję. Z nieszczęsnym tym obłąkańcem, któremu ustawicznie przywidywały się różne dziwy, przebył Dunajewski później sam na sam półtora roku. Umarł jako książę biskup krakowski, uczczony purpurą kardynalską w dniu 18. czerwca 1894 r.

Grono to, powiększyło się w lipcu 1847 o stupięćdziesięciu przeszło ziomków, skazanych wyrokami barbarzyńskich sądów na dłuższe lub krótsze więzienie. Mieścili się oni w osobnym pawilonie od strony dzisiejszej Thalgasse, a chociaż przerażające

to były więzienia, to wydały się one po norach, w jakich ich trzymano w kraju, a zwłaszcza we Lwowie, o wiele lepszemi! To może być miarą tortur, jakie przechodzili na własnej ziemi! W kaźniach mieściło się po czterech zazwyczaj więźniów, chociaż były i większe, urządzenie ich składało się z łoża i półki nad niem, na której leżały: grzebień, szczotka, szklanka i biała „szlafmyca“, obok półki wisiał ręcznik. Ubranie opatrzone numerem składało się ze zgrzebnej koszuli, kurtki, drelichowych pantalonów i długiej kamizelki. Ubranie było w jednej połowie białe, w drugiej ciemne prążkowane; strój uzupełniała biała perkalowa chustka na szyi, biały kapelusz — a wreszcie kajdany, których nie zdejmowano nawet chorym więźniom. Bieliznę i pościel zmieniano raz w tygodniu; każdy z więźniów musiał dać ogolić brodę i wąsy. Z powodu tej brutalnie wykonywanej, a upokarzającej operacji, przychodziło często do gwałtownych zajść między więźniami, a personalem, które naturalnie kończyły się smutno dla pierwszych, gdyż opornych osadzano w podziemnych wilgotnych i ciemnych kazamatach, w których rujnowali doszczętnie zdrowie. Jedną z ofiar takiego zajścia był Henryk Hubicki, który za opór stawiany przy goleniu zarostu, wtrącony został na pięć tygodni do podziemnych kazamat i dostał tam wybuchu krwi. Pozostawiono go bez pomocy lekarskiej i dopiero po piątym krwotoku wyniesiono nieprzytomnego już do kaźni na parterze, gdzie w kilka godzin później skonał 17. lutego 1847.

Wikt więzienny, po lwowskim, wydawał się męczennikom naszym nieskończenie lepszym; z własnych pieniędzy nie wolno im było jednak czynić żadnych zakupów, prócz owoców, sprzedawanych przez rodziny służby więziennej. Więźniów dzielono na oddziały; każdy taki oddział odbywał razem godzinną przechadzkę na dziedzińcu, razem uczęszczał do kaplicy więziennej, razem pracował — słowem

stanowił dla siebie świat osobny. Smutne życie skazańców opisywali Czaplicki, Pruski, Nabielak, Bogdański, a dosyć szczegółowy jego obraz dał ś. p. Schnür Pepłowski w swych gawędach „Z przeszłości Galicji". Pierwsze tygodnie upływały więźniom na wzajemnych opowiadaniach, lecz później brak odpowiedniego zajęcia i dostatecznej ilości książek, dał się ogromnie odczuwać. Wówczas starsi i wykształceńsi więźniowie, wpadli na pomysł urządzenia rozmaitych kursów dla młodszych, lub mniej wykształconych. Znany historyk, Henryk Schmitt, uczył historji i geografji w jednym oddziale, a Apolinary Stokowski, znany i szanowany powszechnie, późniejszy senior lwowskiej Rady miejskiej, podówczas akademik, powtarzał te wykłady w drugim oddziale. Ignacy hr. Komorowski, właściciel dóbr ze złoczowskiego, wychowaniec szkoły krzemienieckiej i zagranicznych zakładów naukowych, były oficer wojsk polskich, wykładał język francuski i teorję leśnictwa, Romański Franciszek i Toruński Franc. wykładali agronomję, Ludwik Stokowski i Robert Nabielak udzielali współtowarzyszom nauki... robienia pończoch, — regulamin bowiem więzienny wymagał od skazanych, by każdy z nich co tygodnia zrobił parę grubych wełnianyah pończoch, pod groźbą kar dyscyplinarnych. Pomimo tych groźb jednak, robieniem pończoch zajmowali się ci tylko, którzy z powodu słabego wzroku nie mogli czytać. Oprócz tych wykładów na szerszą skalę, tworzyły się kółka specjalne, poświęcające się naukom przyrodniczym i matematyce. Wszystkie te, tak niewinne i szlachetne usiłowania korzystnego wypełnienia czasu, spotykały się z wielkiemi utrudnieniami ze strony zarządu więziennego, który w najbłahszych nawet sprawach odnosił się do Wiednia. Z niemałym trudem można było zdobyć jakąś książkę naukową, z wykluczeniem dzieł historycznych i powieści; pozwolono n. p. na zakupno dzieł geograficznych, ale zabroniono użytku map

lub atlasów; pozwolono uczyć się matematyki — ale nie pozwolono mieć papieru, pióra, ołówka lub tabliczki i rysika. Pomysłowi więźniowie obchodzili ten śmieszny zakaz w oryginalny sposób: pisali na kawałkach łupku, znalezionych w czasie przechadzki, lub na okładzinkach książek, które posmarowane tłuszczem i posypane piaskiem, zastępowały im tabliczki. Na inne rozrywki nie pozwalano; figury szachowe lub warcabowe znaki wyrobione z chleba, konfiskowano natychmiast. Wieczorem krzepili się skazańcy wspólną modlitwą, śpiewaniem pieśni pobożnych, narodowych i okolicznościowych, komponowanych w więzieniu, najzwyklej przez Juljusza Goslara, zwanego „wieszczem Grajgóry". „Młody, niewielkiego wzrostu — opisuje go Pepłowski — szczupły, bardzo miłej powierzchowności, odznaczał się łagodnością usposobienia i żelaznym hartem ducha. Skromnością i miłością swoją ku Polsce, był Goslar prawdziwym apostołem świętej sprawy, gotów za nią każdej chwili ponieść śmierć męczeńską". Tak się też stało. Goslar powróciwszy w r. 1848 do kraju, wziął czynny udział w ówczesnym ruchu w kraju, a następnie we Wiedniu. Schwytany w dniu 29. stycznia 1849 r. skazany został na pięcioletnie więzienie w Kufsteinie, które jednak, ułaskawiony, już po roku opuścił. Przybywszy do kraju, znów rozpoczął robotę konspiracyjną, popierany przez Adama Potockiego z Krzeszowic i Albina Dunajewskiego. Wskutek tego znowu został aresztowany w dniu 31. maja 1851 i odstawiony do Wiednia, gdzie skazany przez sąd, zginął na szubienicy w dniu 2. lutego 1852 r. Śpiewano utwory Goslara obok pieśni narodowych; jedna z najulubieńszych śpiewek jego zaczynała się od słów: „Kiedyż rzucim te więzienia?" Śpiewał tam:

„Wywieźli nas w zachód słońca,
Gdzie Szpilberga gród,

Lecz nasz związek niema końca
Bośmy jeden ród!

Daj nam Boże w lepszej dobie
Ścisnąć bratnią dłoń!
Lub też złożyć w ojców grobie,
Tę zbolałą skroń".

W popisach wokalnych brali udział Apolinary i Ludwik Stokowscy, Edward Rylski, Józef Wysocki, Wojciech Włodek, Władysław Dydyński, Robert Nabielak, a w nabożnych śpiewach też dzielny organista z Chochołowa Jan Andrusikiewicz, wraz ze swoimi góralami Jacentym Koisem, wójtem z Chochołowa, Jankiem Koisem, przysiężnym i Jankiem Styrculą, którzy służyli sprawie narodowej pod wodzą zacnego kapłana ks. Kmietowicza Józefa.

W gronie więźniów był także hr. Franciszek Wiesiołowski, właściciel Wojsławia, gorący patrjota, który już był więziony za sprawę Zaliwskiego w r. 1832. W czasie rzezi schwytany wraz z innymi w Lisiej górze, dostał się na Grajgórę, gdzie energją swą ożywił upadających na duchu.

W niektórych oddziałach pozwalano więźniom po przechadzce przepędzić razem czas jakiś w kaźni. Dzięki temu powstała w ostatnich dniach grudnia 1847 r. z inicjatywy Józefa Wysockiego, w drugim oddziale złożonym z dziesięciu cel t. zw. „Rzeczpospolita grajgórska", doskonale zorganizowana pod przewodnictwem wspomnianego już Ignacego hr. Komorowskiego, właściciela Sasowa. Marszałkiem Izby był Henryk Schmitt, skazany na 20-letnie więzienie za udział w wyprawie narajowskiej, a prokuratorem Władysław Domaradzki, który w r. 1874 zmarł w Dąbrowie, jako notarjusz. Godność sędziego pokoju piastował zacny kapłan ks. Ludwik Gromadzki z Jasielskiego, a sekretarzem był Apolinary Stokowski...

Ale pozatem życie było strasznie ciężkie; zarządca więzienia Adelsberg, człowiek zły i głupi, dokuczał więźniom jak mógł, a za najmniejsze wykroczenie przeciwko regulaminowi, karał ich osadzeniem w kazamatach podziemnych, na wikcie pospolitych zbrodniarzy. Służba lekarska była niedostateczna i niedbała, chorzy zdani byli na łaskę Opatrzności. Więzień chorował i konał w kajdanach, a martwe zwłoki wrzucano do dołu cmentarnego bez trumny i księdza. Czterej zakuci w łańcuchy zbrodniarze i kilku strażników — oto cały orszak pogrzebowy!

Ofiar tego barbarzyństwa było niemało; między innymi młodziuchny Kajetan Dydyński, który popadłszy w suchoty, doczekał się wprawdzie amnestji, lecz niebawem życia dokonał.

. . . .

Wreszcie pewnego dnia, więźniowie, którzy nie wiedzieli nic o zmianach, jakie tak nagle zaszły w początkach wiosny 1848 r. — usłyszeli huczne wiwaty u podnóża góry i przez okna ujrzeli jakiś niezwykły ruch w mieście. Zrazu spoglądali dosyć obojętnie, nie przypuszczali bowiem, ażeby zaszło coś, coby na ich losy wpłynąć mogło. Ale już 20. marca nastąpiło wyjaśnienie zagadki. Zawezwano wszystkich więźniów polskich na dziedziniec, gdzie po niejakim czasie zjawił się ówczesny gubernator Moraw Leopold hr. Lazańsky z aktem amnestji w ręku. Dygnitarz ów, znany i we Lwowie, gdzie był gubernjalnym wiceprezydentem, a osławiony został przez Borkowskiego Leszka w „Parafiańszczyźnie" jako donżuan, uważał za stosowne w przemowie swej rzucić więźniom w oczy zarzut komunizmu. Sławiąc dobroć cesarza, zarzucił naszym bojownikom wolności, że „występowali jako komuniści, kraj łupili (plündern), rabowali i chcieli sobie przywłaszczyć majątek dobrze myślących obywateli". Przeciw nikczemnym tym zarzutom zaprotestowali więźniowie nasi natychmiast po powrocie do kraju.

Radość więźniów, kiedy opadły kajdany, była niezmierna; mąciła ją jednak wiadomość, że od amnestji wyłączeni zostali niektórzy więźniowie, a mianowicie: Justyn Begejowicz i Eram Czajkowski, skazani za zamach na Gutha r. 1839, Józef Siekierski i Leon Szymański, towarzysze Kapuścińskiego z zamachu pilzneńskiego, tudzież Władysław Czaplicki z powodu sprawy w Horożanie. Uwolnienie ich nastąpiło znacznie później. Ludność Berna, która tak sympatycznie była usposobioną dla internowanych tam Polaków po rewolucji listopadowej, i tym razem serdecznie witała więźniów, obnosząc ich na ramionach po całem mieście. Gniewało to rząd morawski, który starał się jak najszybciej wyprawić niemiłych gości.

Na dworcu berneńskim przemówił do obywateli imieniem Polaków Juljan Goslar, dziękując za współczucie i sympatję: wśród gromkich okrzyków berneńskiej publiczności „Es leben die Polen", ruszył pociąg, unosząc męczenników ku Ojczyźnie, gdzie z tęsknotą ich oczekiwano.

Ale i po roku 1849 nie brakło znów Polaków na Grajgórze!...

. . . .

Przetrwaliśmy — i da Bóg przetrwamy!

. . . .

W rzędzie zwykłych zbrodniarzy, którzy tu pokutowali za swe winy, jedną z najbardziej interesujących postaci jest leśniczy Anton, który przesiedział niewinnie lat ośmnaście. Leśniczy ów, człowiek młody i przystojny, starał się o rękę córki bogatego tkacza, którą miał otrzymać jedynie pod warunkiem, że wykaże się posiadaniem 100 talarów. Anton miał niestety, tylko 50, ale w jakiś czas później, bogaty handlarz drzewa, który miał z nim stosunki, wzruszony jego kłopotem, dodał mu brakujących jeszcze 50 talarów. Tegoż dnia, kiedy Anton uradowany przyniósł ojcu narzeczonej 100 talarów, znaleziono w lesie

zwłoki zamordowanego mosiężnika saskiego, który dzień przedtem nocował u młynarza wioskowego i miał przy sobie 600 talarów. Podejrzenie skierowało się przeciw łeśniczemu, zwłaszcza, że znalazł się fałszywy świadek, wróg leśniczego, który zeznał, że krytycznego dnia widział go w towarzystwie zamordowanego. Anton został stawiony przed sąd i skazany na 20-letnie więzienie, z czego 18 lat odsiedział. Wówczas zmarł właśnie ów młynarz, u którego zamordowany nocował, a spowiednik jego zgłosił się do sądu i oświadczył, że zmarły w chwili zgonu przyznał się do popełnienia morderstwa w celu rabunku. Nieszczęśliwy więzień, który paznokciami wydrapał na murze ośmnaście do dziś widocznych kresek — był to jego kalendarz — opuścił więzienie i pospieszył do ukochanej.

Przybywszy do wsi, dowiedział się, że narzeczona, którą zmuszono, ażeby rękę swą oddała młynarzowi, przed szesnastu laty otruła się w dzień wesela. Zrozpaczony, osiadł Anton tuż przed cmentarzem i całymi dniami siadywał u grobu ukochanej. Jeszcze w tym samym roku (1834) zmarł jesienią i stosownie do swego życzenia, pochowany został obok swej narzeczonej. Anton jest bohaterem wielu powieści ludowych.

Maniakiem-mordercą, jak się zdaje, był jeden z ostatnich więźniów Spielbergu, Filip Smutny, osadzony w r. 1850 za morderstwo. Smutny był najpierw pomocnikiem rzeźniczym, a później dzierżawcą karczmy obok Sławkowa (Austerlitz); żył w szczęśliwem małżeństwie z żoną Franciszką i miał troje dzieci w wieku 6, 3 i $^1/_2$ roku.

Pewnego dnia skończyło się to szczęście; Filip, mimo iż kochał swą żonę, sprzeniewierzył się jej, czego później gorżko żałował. Żona dowiedziawszy się o tem, mimo próźb i zaklęć, nie chciała z nim mieszkać i oświadczyła to proboszczowi. Łagodny z natury, Filip, pod wpływem tego uporu żony, wpadł

w szał i w nocy zamordował żonę i dwoje starszych dzieci... a po krótkiej walce ze sobą i trzecie. Po tym strasznym czynie, oddał się sam w ręce żandarmów i wyznał swą zbrodnię. Stawiony przed wprowadzony wówczas właśnie trybunał przysięgłych, skazany został w uwzględnieniu łagodzących okoliczności na 20 lat więzienia w Grajgórze.

Po krótkim pobycie tu, zdziczał strasznie i omal nie zamordował jednego z dozorców; w ten sposób, jak sądzono, chciał ściągnąć na siebie wyrok na śmierć.

Ponieważ jednak dozorca nie umarł, skończyło się na dyscyplinarce i obostrzeniu kary. Bóg był łaskawszym jednak, niż ludzie: Smutny, który prawdopodobnie dawno już był anormalnym człowiekiem, popadł w obłąkanie i zmarł po czterech latach więzienia.

Mordercą z miłości był osławiony kłusownik, Vincenz, który pokochał córkę bogatego młynarza. Dziewczyna była mu przychylną, ale ojciec, dowiedziawszy się o schadzkach, wyszczuł go psami. Dziki strzelec poprzysiągł mu zemstę i w kilka dni później zastrzelił go z zasadzki. Długo krył się w górach, aż wreszcie, wiedziony tęsknotą, zakradł się nocą pod okna swej wybranej; schwytany i odstawiony do sądu, skazany został na 20 lat ciężkiego więzienia, które w całości odbył w podziemnej kazamacie i w dzień przed końcem kary — umarł! Na jego prośbę, pozwolono mu zatrzymać przy sobie książkę do nabożeństwa, którą niegdyś otrzymał od ukochanej; z książeczką tą nie rozstawał się nigdy i z nią też został pochowany.

Ciekawą postacią jest też fabrykant skrzypiec, Winter, którego uwięzienie było niegdyś senzacją we Wiedniu. W poniedziałek Zielonych Świątek r. 1807 znaleziono we własnem mieszkaniu zwłoki oficjała rachunkowego Wartesheima, które wskazywały na to, że padł ofiarą morderstwa. Wartesheim był cichym

i spokojnym człowiekiem, który żył ze skromnej swej płacy i powszechnie był lubianym. Wypadek był tembardziej zagadkowy, że w mieszkaniu znaleziono wszystko w porządku, biurko i kaseta nie były naruszone, a z rzeczy, stanowiących własność zmarłego, nic nie brakowało. Zamordowany ubrany był w świąteczny strój, a obok niego leżała książką do nabożeństwa, co wskazywało, że właśnie miał iść do kościoła. Rany były tego rodzaju, że samobójstwo musiało być wykluczone, a inne okoliczności świadczyły, że zamordowany nie uległ bez walki. Jedyną poszlaką, która musiała naprowadzić na ślad sprawcy, było kilka ciemnych włosów, które znaleziono w lewej ręce ofiary, a które pochodziły widocznie z głowy mordercy.

Wszystkie jednak poszukiwania okazały się bezowocnemi, na nikogo nie padło nawet podejrzenie. Śledztwo prowadził komisarz Heider, który nie wątpił i był pewny, że schwyta zbrodniarza, dzięki... kluczykowi od zegarka, który znalazł u progu drzwi ofiary.

Pod pozorem, że chce stworzyć towarzystwo, celem pomszczenia zamordowanego i odkrycia sprawcy, zaprosił wszystkich, o których tylko wiedział, że utrzymywali z ofiarą stosunki, do siebie na wieczór. Poważny zazwyczaj komisarz był niezwykle ożywiony, bawił swych gości sztukami, a nareszcie, zapowiadając coś „nadzwyczajnie ciekawego“, poprosił, ażeby wszyscy oddali mu swe zegarki wraz z kluczykami.

Okazało się, że tylko jeden gość miał zegarek bez kluczyka, a był nim fabrykant skrzypiec Winter. Znaleziony w pokoju ofiary kluczyk, zupełnie się nadawał do jego zegarka, a włosy Wintera miały ten sam kolor, jak włosy, znalezione w dłoni zamordowanego. Od tego czasu poczęto go bacznie śledzić i przekonano się, że Winter ukrywa coś w altanie i codziennie tajemniczy ów depozyt ogląda. Aresztowano go, przeszukano altanę i znaleziono 8 starożytnych, rzymskich monet, owiniętych w kopertę, adre-

sowaną do Wartesheima. Winter przyznał się do morderstwa, które popełnił li w tym celu, ażeby posiąść owe rzadkie monety, których Wartesheim nie chciał mu odstąpić za żadną cenę. Winter skazany został na karę śmierci, którą mu jednak zmieniono na dożywotnie więzienie na Grajgórze.

Najromantyczniejszą jednak postacią w galerji pospolitych zbrodniarzy jest Wencel (Wacław) Babinsky, słynny zbójnik czeski z pierwszej połowy XIX. wieku, znany do dziś wśród ludu, jako „Wenc Pokraticki". Urodzony w r. 1796, odbył kilkuletnią służbę wojskową, ożenił się w Łodzi, w Królestwie Polskiem, a później złożywszy bandę, począł rozbijać w górach czeskich. W ciągu długiej karjery rozbójniczej, nie zabił nikogo, a dla biednych był zawsze miłosiernym. To też lud ochraniał go i umyślnie mylił pogoń, lub ostrzegał go dosyć wcześnie. Grał on czasami rolę „ex machina". Raz dowiedział się, że pewien nielitościwy lichwiarz trzyma w swych szponach ubogą rodzinę i groźbą ruiny chce zmusić ojca do oddania mu ręki ślicznej córki, która — naturalnie — kochała innego. Babinsky, ubrany elegancko, odwiedził lichwiarza, kazał sobie wydać wszystkie weksle owej rodziny, oświadczenie, że pretensje są załatwione, a dla siebie „za fatygę" — ponieważ nie było gotówki — wystawić weksel na 4000 złr. Weksel ten zrealizował za kilka dni, a lichwiarz był tak przerażony, że nie ośmielił się go zdradzić. Pewnemu ubogiemu górnikowi darował 300 złr., aby się mógł ożenić ze swą wybraną i wyprawił im huczne wesele. Innym razem dowiedział się, że jakiś niesumienny poborca kazał pod błahym pozorem uwięzić ubogą wdowę, aby w jej nieobecności nastawać na cześć córki. Babinsky zaczaił się obok domu, a gdy ów poborca zbliżył się, kazał go swoim chłopcom porwać, uwiózł go z miasteczka w góry, gdzie postem i porządnem biczowaniem starał się wygnać z niego złe żądze, poczem go puścił z ogoloną głową.

Głównie rabował poczty i kasy rządowe, nie czyniąc zresztą ludziom nic złego. Urządzono wreszcie na niego obławę i pochwycono, gdy zraniony w nogę, upadł. Stawiony przed sąd, skazany został na 20 lat więzienia. Tu zachowywał się wzorowo, był cichy, spokojny, odrabiał za drugich prace, a użyty przez lekarza, jako dozorca chorych, stał się wkrótce prawdziwą ich opatrznością. Chodził zawsze z różańcem, który odmawiał w wolnych od posług chorym chwilach; po czternastu latach przebytej kary, chciano go ułaskawić, prosił jednak, ażeby mu w całości pozwolono odpokutować grzechy. Gdy zniesiono więzienie na Grajgórze, odesłano go do Kartuzów w Czechach, gdzie odbył resztę kary, t. j. siedział do r. 1861. Opuścił więzienie starcem, liczył bowiem 65 lat — ale starcem rzeźkim i krzepkim. Otrzymał później posadę ogrodnika w klasztorze Sióstr Miłosierdzia w Repy, obok Pragi, gdzie też w zgodzie z Bogiem i ludźmi zmarł, licząc 83 lat. Do końca życia zachował dobry humor i pogodny umysł i chętnie opowiadał o dawnych swych czynach, potępiając je jednak bezwzględnie.

Kaźń, w której odbywał karę na Grajgórze, zdobi jego wizerunek, wykonany według współczesnego portretu, staraniem wzmiankowego pułkownika Costa-Rosetti. Babinsky żyje do dziś dnia w pamięci ludu i jest bohaterem „strasznych“ romansów, na których przedsiębiorcy tandety literackiej robią lepsze interesy, niż on na rozbojach.

. . . .

Wychodzimy z kazamat i oddechamy głęboko. Jakież piękne to słońce i ten świat Boży — jak straszne to piekło, które opuściliśmy co tylko. Tu dopiero czuje się, że ludzkość kroczy naprzód i że w ciągu drugiej połowy XIX. wieku uczyniła krok olbrzymi. Te straszne czasy nie powrócą już nigdy!

Tem większy jednak obowiązek nasz czcić pamięć tych, którzy przeżywali to piekło na ziemi, nie za zbrodnie, ale za cnoty, nie za złoczyny, ale za

poświęcenie. Grajgóra staje się zwolna bardzo ciekawem muzeum, dokumentem historycznym, który oglądają corocznie tysiące ludzi z różnych stron świata. Razem z nami było jakieś liczne amerykańskie towarzystwo. Dowiedzieli się oni o więźniach stanu wszystkich narodowości, o interesujących zbrodniarzach pospolitych — a o Polakach tylko tyle, że było tu „galizische Abtheilung“. W jedynym opisie Grajgóry jest tylko 8 nazwisk polskich i to mylnie podanych, z dodatkiem, że traktowanie ich „war eine humane“ (!). Należałoby stworzyć galerję portretów polskich więźniów stanu na Grajgórze, co dziś byłoby rzeczą bardzo łatwą, gdyż we wielu rodzinach przechowują się te drogie pamiątki, a o dobrą kopję przecie nie trudno. Oprócz tego, mógłby który z naszych ofiarnych artystów-malarzy uwiecznić pendzlem takie sceny, jak n. p.: skazanie Albina Dunajewskiego, późniejszego księcia biskupa-kardynała, lekcję dziejów ojczystych w kazamatach Grajgóry (na podstawie współczesnych pamiętników), ogłoszenie amnestji w dniu 21. marca 1848 więźniom polskim — (wszystkie te obrazy mogłyby być częściowo i portretami), lub wreszcie „powrót górali chochołowskich z Grajgóry do wsi rodzinnej“. Portrety i obrazy takie przemawiają do widza skuteczniej i trwalej, niż suche opisy i daty biograficzne, które nie każdy czyta, a z czytających nie każdy rozumie ich znaczenie. Brak pamiątek polskich niemile uderza, a i szkodę moralną nam wyrządza. Wszak powinniśmy dbać o to, ażeby męczennicy nasi byli czczeni, ażeby świat wiedział, że Polacy byli, są i będą wszędzie, gdzie się walczy lub cierpi za Ojczyznę, Wolność i Prawo!

. . . .

Okolica Berna zarówno bliższa jak i dalsza jest bardzo piękną a miejscami nawet zasługuje na miano powabnej; obfituje ona w malownicze widoki, urocze zakątki i miejsca pamiętne w dziejach. Obok Berna, połączona z niem koleją elektryczną, leży osada Pi-

sarki (Schreibwald), letnie schronisko krezusów berneńskich, którzy zbudowali tu formalne miasto will, wykwintnie urządzonych. Za Pisarkami znajduje się t. z. „Kamienny młyn“ z jeziorkiem, należącem do klubu niemieckich wioślarzy. Dalej nieco leży drugi cel wycieczkowców, miasteczko Lisen, słynące uprawą owoców i jarzyn, które piękne „Lisenki“ roznoszą po całej okolicy. Miasteczko jest od r. 1827 własnością hr. Belcredi, którzy tu mają piękny pałac, a w nim ciekawy zbiór wykopalisk znalezionych w okolicy; w zamku jest także stół, przy którym pracował Napoleon I. w gospodzie Kandji obok Lisenu przed bitwą austerlicką. W Rajhradzie (Reigern) dokąd dojeżdża się koleją Północną w 16 minut, znajduje się imponujący rozmiarami i bogaty w zbiory klasztor Benedyktynów, założony 1048 przez ks. Brzetysława I. Widział on u swych bram Mongołów i Kumanów, słyszał okrzyki Husytów, cierpiał opresje od Szwedów i Węgrów, a i Francuzi w czasie wojen Napoleońskich niemało mu wyrządzili szkody. Kościół św. Piotra i Pawła o pięciu kopułach ozdobiony jest pięknymi freskami, naprzeciwko zaś kościoła stoi prałatura, której sale zdobią malowidła, a między niemi także dzieła Salwatora Rosy i Łukasza Cranacha, tudzież piękne miedzioryty wysokiej wartości. Krużganki ozdobione są portretami proboszczów, opatów i członków zgromadzenia, wśród których było wielu wybitnych mężów. Do tych należał Jan z Holeszowa, urodzony około r. 1336, wykształcony w Paryżu, komentator drogiej sercu Czechów pieśni św. Wojciecha: *„Hospodine pomibug ny!“* uczony przeciwnik Hussa, który też przeciw czeskiemu reformatorowi występował na sądzie w Konstancji. Zmarł w r. 1436. Zasłynęło tu też kilku Polaków jak: Adam Benedykt Baworowski, Jan Michał Biliński, którzy tu w XVII. wieku piastowali wysokie godności. W późniejszych czasach należeli do zgromadzenia: Bonawentura Piter, historyk, Grzegorz Wolny, topograf, a także głośny

historjograf morawski Beda Dudik, urodzony w Kojetynie 1815, a zmarły tu w r. 1890. W bibljotece liczącej przeszło 30.000 tomów, są cenne rękopisy, jak n. p. brewiarz i historja męczenników z XI. w. Znajduje się tu także bardzo kunsztowny „globus", dzieło mnicha rajhradzkiego V. Slouka, nad którem kilkanaście lat pracował. Obraca się on w ciągu 24 godzin około swej osi, znacząc godziny, dnie, tygodnie, miesiące i lata, a równocześnie położenie ziemi w stosunku do słońca. W zbiorach klasztornych znajdują się również liczne wykopaliska, znalezione w tej okolicy, zwłaszcza w latach 1838 i 1872.

Klasztor ten był dawniej filją klasztoru w Brzewnowie; od r. 1813 ma własnego opata, który jest równocześnie morawskim prałatem i miał miejsce w sejmie, obok biskupów. Mnisi tutejsi zapisali się w dziejach Moraw usilną pracą nad ekonomicznem, kulturalnem i religijnem podniesieniem okolicznej ludności.

O półtorej godziny od Berna leży piękna miejscowość Turzany, (do której dostać się można także koleją Północną przez Iwanowice w ciągu 30 minut) gdzie w kościele poświęconym czci M. Panny, znajduje się Jej wizerunek, przyniesiony rzekomo przez św. Cyryla i Metodego, cel pobożnych pielgrzymek. Tutaj to wiódł wielkorządca Moraw, biskup ołomuniecki kardynał Dietrichstein tysiączne tłumy ludu, celem podziękowania Bogu za zwycięstwo na Białej górze. Ani on, ani ci, którzy szli za nim, nie przeczuwali zapewne, jak straszne będą skutki tego zwycięstwa dla narodu czeskiego.

I dalsza okolica warta zwiedzenia.

Pójdziemy przedewszystkiem brzegami Szwarcawy, a raczej Svratki. Od zachodu strzegą jej brzegów strome skały, które ciągną się raz długą ścianą, to znów spiętrzone w potężną masę strzelają w górę; na tych samotnych szczytach widnieją zazwyczaj ruiny starych zamków, których nie brakło w okolicy miasta.

Do najpiękniejszych ustroni należy jednak doskonale utrzymany „Gród wiewiórczy“ (Burg Eichhorn — Na Veveře), obecnie własność br. Foresta. Svratka zwęża się tu tak, że tworzy prawie wąwóz, ponuro-romantyczny, w którym na starym cyplu widnieje gród „Wiewiórczy“; — nazwa trafna, bo nim utworzono wygodne drogi, trzeba było istotnie zwinności tego zwierzątka, by dostać się na górę. Zamek składa się właściwie z dwóch części: z grodu opatrzonego potężną wieżą strażniczą, która króluje nad całą okolicą i z obszernego przedgrodzia, połączonego z zamkiem śmiało rzuconym kamiennym mostkiem ponad głęboką fosą. Silne mury przedgrodzia mają trzy potężne baszty, mniejsze jednak od głównej, grodowej. Właściwy zamek otacza sierpem wielkie podwórze, łącząc się z drugiej strony z brzegiem prawie prostopadle spadającej ku rzece skały. Przeciwległy stok góry splantowano dziś znacznie i zmieniono w piękny cienisty park i ogród kwiatowy. Zamek ten powstał w XI. wieku, a był siedzibą dozorców lasu królewskiego, później obwarowano go silnie, tak, że mógł oprzeć się Husytom, Węgrom i Szwedom; dopiero Prusacy zdobyli go w r. 1745 i doszczętnie złupili. Wszędzie i zawsze jednacy!

Dążąc dalej brzegami Svratki, stajemy niebawem na ziemi, która ongi należała do możnego i słynnego rodu panów na Pernštynie (Pernstein). Wnet za Tišnovem widnieje wspaniały, a doskonale utrzymany zamek, który był uczestnikiem wielkich burz, jakie nad tą ziemią w ciągu wieków szalały i wyszedł z nich dosyć obronnie. Był świadkiem wielkich klęsk narodowych, jest też dziś świadkiem odrodzenia, powrotu do dawnej siły i zamożności narodu czeskiego. Stoi na wysokiej, lasem porosłej górze, sokolim wzrokiem przepatrując całą krainę, którą niegdyś władali jego panowie, a ziemi tej ojczyce. Styl pierwotny zniknął tu skutkiem licznych dobudowań i przystawek; pełno tu wieżyczek, wystających koszów i balkonów, wyż-

szych i niższych budynków, dostrojonych do właściwości dziwacznego terenu, który sprawia, że zamek jest szerszym u góry niż u dołu, gdyż wyższe piętra dobudowano w ten sposób, że opierano je na wystających skałach. A jednak całość wygląda przyjemnie dla oka, tworząc oryginalny obraz. Patrząc na mury, które noszą wyraźne ślady siekier i toporów oblężniczych, podziwiać musimy siłę tego „skalistego“ iście zamczyska.

Trzeba przejść przez trzy bramy, nim dostaniemy się do najstarszej części zamku. Stoi tu potężna wieża strażnicza, w której wnętrzu mieści się więzienie. Ludowe podanie twierdzi, że w czasie rządów „świętej Femy“ odbywały się tu posiedzenia owego straszliwego trybunału, a ofiary jego wyroków znikały na zawsze w podziemnych lochach. W starem zamczysku nie może brakować duchów; ma też i ten swoją „Białą panią“, przepowiadającą swem pojawieniem się klęskę lub nieszczęście. Erasmus Franciscus, w dziele swem p. t. „Piekielny Proteusz“ opowiada, że ojciec Drochovius, Jezuita, w misyjnej swej wędówce zawadził o Pernstein w roku 1626 i pewnego dnia w jednej z komnat spotkał się ze zjawiskiem oko w oko. Biorąc je za jedną z dam pałacowych, przedstawił się i otrzymał na swe powitanie lekkie skinienie głową. Drugi raz spiesząc do kościoła, w którym miał kazać, ujrzał ją znowu przy lustrze, zajętą trefieniem włosów. Skarcił ją tedy, że w dzień uroczysty bawi się zalotnie, zamiast słuchać mszy św. i wezwał, ażeby szła na nabożeństwo. Nie ujrzawszy owej kobiety w kościele, oskarżył ją przed kasztelanem zamkowym, który dopiero go objaśnił, iż to była „Biała pani“ — widmo zamkowe.

Gorzej o wiele, jak zapewnia nas wspomniany Erasmus, wyszedł na podobnem spotkaniu pewien dworzanin. Dowiedziawszy się, że owa dama jest młodą i piękną, przysiągł, że skoro ją tylko spotka, nie puści bez siarczystego całusa. Jakkolwiek przy-

tomni zuchwalstwu starali się go odwieść od tego zamiaru, wystawiając mu niebezpieczeństwo na jakie się naraża, młody człowiek nie zmienił swej myśli. Istotnie też spotkał niebawem „Białą panią“ i odważnie porwał ją w ramiona, ażeby spełnić swe postanowienie. Czy je spełnił, niewiadomo. Uścisk jednak jaki mu oddała zaczepiona był tak silny, że nazajutrz znaleziono już tylko zwłoki zuchwalca.

Komnaty zamkowe wykładane są marmurem, którego było podostatkiem w poblizkich łomach; z pomiędzy czterdziestu dziś jeszcze mieszkalnych izb, żadna nie jest do drugiej podobną; z jednej sali do drugiej prowadzą schody to w dół, to w górę. Szczególnie piękne są narożniki i ganki zuchwale w przepaść spoglądające, z których odsłania się piękny widok na dolinę i spływające ku niej z gór strumienie. Podobnie jak izby, tak i okna są zupełnie różne: na sto okien, nie znajdzie się dwóch jednakich. Wspaniała jest sala rycerska z portretami panów Mitrovskich, obecnych właścicieli zamku, ładną terasa, urządzona zupełnie w stylu XVI. wieku, interesującą zbrojownia, w której każda epoka coś pozostawiła po sobie. Historycznie ciekawą jest t. zw. sala spiskowców (sala spiklencû) gdzie zbierała się na obrady szlachta przeciwna Ferdynandowi II. Prócz tego piękna kaplica z XVI. wieku, obfita, przeważnie francuska, bibljoteka, zbiory przyrodnicze, a wreszcie i galerja obrazów z portretem „Białej pani“ i ostatniego potomka słynnego rodu, Wratysława Pernsteina, zmarłego w r. 1631. Wychodzącym z zamku zwraca „pan zamecky“ uwagę na odwieczny, wspaniały cis, rosnący tu przy zewnętrznym murze...

Ma on swą legendę.

Kiedy rozpoczęto budowę zamczyska, przyszedł jakiś pobożny pątnik z Ziemi świętej i widząc zuchwałe przedsięwzięcie, zdające się przechodzić ludzkie siły, wyraził powątpiewanie, czy dzieło się uda.

A gdy budowniczowie starali się go przekonać, odrzekł, wkładając laskę do szczeliny skały:

— Jak ta sucha gałąź wszczepiona w rozpadlinę nie okryje się liściem, tak wy nie zbudujecie tu zamku.

I oto w mgnieniu oka laska pokryła się zielenią i urosła w potężne drzewo! Los jego złączony jest z losem zamku: gdy cis uwiędnie, padnie zamek w gruzy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, przed laty uschła jedna gałąź cisu, a prawie równocześnie zawalił się jeden z wystających balkonów zamku, co w umysłach ludu dodało legendzie wiele powagi.

Z zamkiem tym łączy się wspomnienie wielkiego męża, godnego syna swego kraju, Wilhelma z Pernšteinu, urodzonego w r. 1435, który działalnością swą wypełnił więcej niż pół wieku dziejów Morawy. Wierny zwolennik Jerzego, pogodził się po jego śmierci z królem Maciejem, zajmował najpierwsze stanowiska, a później był gorliwym stronnikiem Władysława Jagiellończyka i usilnie się starał, ażeby Węgrzy wybrali go swym królem. Pernstein, który umarł w podeszłym wieku (1521), był wprawdzie katolikiem, ale odznaczał się niezwykłą na owe czasy tolerancją i wyrozumiałością wobec innowierców. Ostro karcił niezgody i walki, jakie zwłaszcza zapanowały w czasie małoletności Ludwika II.: przepowiadał swym ziomkom, że dzięki niezgodzie popadną ostatecznie w niewolę obcych. Doskonale scharakteryzował go Fr. Palacky w *Dziejach narodu czeskiego*: „Jako rycerz i bohaterski wojownik, należał jeszcze do wieków ubiegłych, jako myśliciel i mąż stanu był dzieckiem nowej epoki, jako mąż rozumny i szlachetnego charakteru należy do wszystkich pięknych epok ludzkości“. On pierwszy należycie zrozumiał znaczenie przemysłu i handlu, które usilnie krzewił i popierał, był znakomitym gospodarzem i właścicielem największej w ziemiach czeskich fortuny.

Mawiał, że wolałby dzieci swe widzieć w mękach konania, niż w pohańbieniu, a królowi zalecał, ażeby sprawiedliwość czynił nie według dostojeństwa winowajcy, ale według jego winy. Wierze katolickiej pozostał wierny, fundował i uposażał klasztory i kościoły, ale żył z kalikstynami i bronił ze względów narodowo-politycznych braci czeskich. Słowa jego: „z Rzymianami wierzę, z Czechami (t. j. kielichowcami) trzymam, z braćmi umieram“ stały się rodzajem aksjomatu narodowego.

Zamek Pernsteinów dostał się z początkiem XVII. wieku, jako wiano, hr. Mitrowskim z Mitrovicy i do dziś pozostaje w ich ręku, troskliwie utrzymywany.

Bogatszą jeszcze w piękności przyrody jest okolica doliny Svitavy, którą można nazwać Krasem morawskim. Dewoński wapień, który stanowi podłoże tego terytorjum, przedstawia się niby gąbka pełna otworów, szczelin, grot tajemniczych wypełnionych „kapnikami“ i stalaktytami przedziwnych form i kształtów, mająca nawet podziemne, niknące czasowo wody.

Udajmy się najpierw do położonej na północ od Berna stacji kolei państwowej, Adamów. Wnet za stolicą żyzna kotlina berneńska znacznie się zacieśnia, zmieniając się następnie w skalisty wąwóz, przez który wije się Svitava. Pociąg nasz przesuwa się pomiędzy ścianami naturalnego krużganka, pokrytymi tylko tu i ówdzie zielenią lub skalnem kwieciem. Prowadził tu człowiek zaciekłą walkę ze skałami i pokonał je dopiero z wielkim wysiłkiem; gdzie nie szło inaczej, przebijał wskróś góry i ośmioma tunelami szukał sobie drogi ku miejscu, gdzie dolina znacznie się rozszerza i gdzie na lewem brzegu widnieją schludne domki Adamowa. Jest to własność ks. Lichtensteinów, słynąca od dawien dawna hutami i hamerniami, które żelazo przerabiają na lśniące złoto! Miasteczko to nadaje się na główną kwaterę dla

licznych i zajmujących wycieczek po tej części kraju, która na pocztowych widokówkach nazywaną bywa „morawską Szwajcarją“ — a ja dodałbym: „w miniaturze“. Stąd najlepiej zwiedzić Nowe Hrady, Czarci gród, Bečą czy Byczą skałę, potężny kolos z jaskinią pełną nacieków, prześlicznie przedstawiającą się w oświetleniu i kilka innych zajmujących grot w pobliżu. Tuż za Adamowem jest Blańsko, stare miasto, własność biskupów ołomunieckich już w XII. wieku, gdzie dolina Svitavy łączy się z doliną kapryśnej Ponikvy. Idziemy brzegiem tego strumienia, aż do „kamiennego młyna“, drogą dziwaczną, pełną niespodzianek, jak droga Dunajca w Pieninach. Często spostrzegamy wprost siebie skałę zagradzającą nam drogę i nie wiemy: pójdziemy li w prawo czy w lewo? dopiero tuż przed skalistą ścianą odkrywa się przed nami dalsza droga. Za młynem dzieli się rzeka na dwa ramiona, jedno nazywa się pustem, drugie suchem zlebem, ten ostatni, doprowadza nas nad brzeg przepaści. Charakter okolicy zmienia się nagle, dziczeje; z poblizkiego lasu dobiega ponury jakiś szum, brzmiący skargą; poszarpane skały otaczają nas ze wszech stron, a gdy staniemy na balkonie nad przepaścią, owiewa nas jakieś grobowe powietrze. U stóp naszych prawdziwa przepaść, głęboka około 200 metrów, niby olbrzymi kocioł, do którego dna nie dobiegają promienie słoneczne. Tylko w miejscu gdzie stoimy, opada skała prostopadle, w innych miejscach znacznie łagodniej się zniża. Na zboczach rosną karłowate sosny i marne krzewy, w górze tylko mchy i paprocie przystrajają nagie ściany. Na dnie przepaści są dwa małe jeziorka spojone Ponikvą, która przepływa pod skałą i jasną swą świeżą wodą zasila Svitavę. Było wielu śmiałków, którzy usiłowali wydrzeć podziemiom ich tajemnicę; udało się to jednak tylko częściowo i pole do dalszych badań zawsze jeszcze otwarte. Przepaść ta zowie się poprostu „Przepaścią“ lub — odnośnie do legendy o biednym pasierbie — „Ma-

cochą“. Naturalnie ruchliwy klub turystyczny czeski zbudował tu bardzo piękną gospodę („Utulna“), która z oddali dzięki pięknej wieżyczce z galeryjką, wygląda niby kapliczka, wieńcem sosen smukłych otoczona. Obok „Utulny“ duży ogród z ławkami i stołami dla wycieczkowców. Kiedyż to doczekamy się takiego schroniska przy Morskiem oku! A jak tu pięknie i wygodnie wszystko urządzone! W sezonie, od kwietnia do końca października, o każdej porze, doskonałe jedzenie za mierną cenę; nocleg we wspólnej łożnicy kosztuje 80 h., w osobnym pokoju we trójkę po 1 K. 20 h., pokój osobny 2 K. 40 h. I w zimie można tu dostać mieszkanie i jedzenie, ma się rozumieć po cenie nieco wyższej i w mniejszym wyborze. Rzecz prosta, że drogi są doskonałe, a znaki orjentacyjne hojnie rozsiane. Co prawda, czeski klub turystyczny rozporządza innymi środkami niż nasze towarzystwo i na setki liczy członków.

Niedaleko stąd (dwie godziny wygodną drogą), znajduje się odpustowe miasteczko Sloup, niby nasz Milatyn, z kościołem Panny Marji. Kościół duży, o dwóch wieżach, pięknie odbija od tła ciemno-zielonych gór, panując nad szeroko rozłożoną osadą. Obok wioski płynie kryształowej czystości strumyk, który doprowadza nas do istnego labiryntu grot podziemnych i jaskiń. Strażuje im kolosalnych rozmiarów blok skalny, Hrebeneč, ozdobiony na szczycie znakiem krzyża św. Jaskinia jest wprost olbrzymia; z głównej sieci rozchodzą się na wszystkie strony tajemnicze przejścia do fantastycznych komór i sal, pełnych przepaści, tak, że bez przewodnika puszczać się tu niepodobna. W świetle wyglądają one przecudownie, choć znaczną część ozdób zabrano stąd na uposażenie wspaniałych ogrodów w Lednicy i Rajcach. Są tu „Pomniki“, „Wodospady“, „Strażnice“, „Laski“, „Dzwonnice“, wydające za uderzeniem srebrzysty ton dzwonu, „Wielka kortyna“, „Zaklęty książę“ — i inne fantazyjne przedmioty lub postacie. W jaskiniach tych

gościł kiedyś niedźwiedź, tygrys, rosomak razem z kuną i hjeną, pozostawiając szkieletem dowód swego istnienia.

Królową jednak podziemnych salonów na Morawach jest grota „Ochozska", przypominająca bogactwem i różnorodnością wieków grotę postojeńską, odkryta w r. 1831. Jakaż twórczość w tych okazach, jakże delikatnie wykonane są owe draperje, tkane od wieków przez przyrodę!

Dziwacznym zbiegiem odkryto tę piękną jaskinię.

W jednej z poblizkich wsi był obłąkany człowiek, który ciągle szukał drogi... do piekła. W ciągu włóczęgi swej po okolicy dostał się do tej groty wąziutką jeszcze podówczas szczeliną, a wyszedłszy z niej, opowiadał ludziom, że znalazł drogę do piekła, opisując równocześnie jego wnętrze. Zrazu śmiano się z niego, ale ktoś ciekawszy począł go śledzić i w ten sposób dowiedział się o istnieniu groty.

W pobliżu Sloupa gnieździły się niegdyś liczne rody szlacheckie, a wśród tych panowie z Kunštatu, których jedna gałąź wyemigrowała do Czech i od nowo nabytych dóbr zwała się z Poděbradu. Pochodził z niej słynny Jerzy, król czeski (1458—1471) i panowie na Boskovicach, wielki, wsławiony w dziejach ród, który miał w herbie srebrny grzebień na czerwonem polu. O praojcu tego rodu tak mówi legenda herbowa:

Książę Privina, pan na Grajgórze, polując w tutejszych borach, zbłądził i długo tułał się po lesie, aż wreszcie trafił do samotnej chaty i wprosił się na nocleg. Gospodarz, Welen, ptasznik przyjął go po słowiańsku, gościnnie poczęstował czem chata bogata, rano zaś rozczesał księciu jego bujny włos i wyprowadził na dobrą drogę. Podziękował mu książę i opowiadając się dworzaninem, zaprosił do siebie na Grajgórę. Welen skorzystał niebawem z zaproszenia i z niemałą radością dowiedział się, że jest gościem księcia. Ten zaś uczynił go rycerzem, kładąc

w herbie grzebień i obdarzając go obficie ziemią. Welen szedł tedy upatrzeć sobie miejsce, a że był bosy, skaleczył sobie nogę, z czego kpili dworzanie mówiąc:

— Oto rycerz, który pierwszą ranę odniósł... na pięcie!

A Welen dumny z łaski królewskiej odparł:

— *„Liż nepůjdu bosko vice!“* (Nie będę więcej boso chodził).

Z tego nazwa: — Boskovice.

Legenda ta, stojąca w sprzeczności z duchem języka, gramatyką, etymologją i logiką, dorobioną została naturalnie do nazwiska, które już dawno istniało.





VIII.

Słowacy na Morawach.

Towarzystwo w wagonie; autor „Kondelika"; flegmatyczna kolej; Węgierskie Hradyszcze; państwo Beneszowie; fotografja ś. p. Wysłouchowej; przyjęcie w winnicy; prowokacja niemiecka; u kolebki Moraw; spór o położenie pierwszej stolicy morawskiej; krytyka uczonych i tradycja; Mojmirowcy. ich potęga i upadek; tradycja Cyrylo-Metodyjska; Morawy przy Polsce; Velehrad i pierwsi osadnicy niemieccy; wojenne burze; walki religijne i ich skutki; zdobycze Czechów; dzisiejsze Hradyszcze; pamiątki przeszłości; kilka słów o zjeździe dziennikarzy słowiańskich; redaktor Kretz i jego etnograficzne zbiory; stroje ludowe i ich rozmaitość; fizyczny wygląd; djalekty i wymowa; królewska jazda; wycieczka na Velehrad; opat strachowski ks. Zavoral; znana nuta; nasze pieśni nabożne na Morawach; polskie pamiątki; z przeszłości katedry; zbiory; znaczenie polityczne Velehradu; skarga uciśnionych; duchowieństwo i jego szerokie zamiary; muzyka kościelna; Paweł Krzyżkowski; słowackie pieśni i poezja ludowa; o Janku i Marysi; okolica Hradyszcza; Komensky; Buchlov i krwawy „sąd łowiecki"; szlachetny filantrop; Brzecław i Lednica; czarowny park; groty i świątynie; Luhaczowice — Zakopane morawskie; Dušan Jurkovič; doktor o oryginalnem nazwisku; rozwój kąpielowego miejsca; zakończenie.



Berna wiodła mnie droga na Kijów (Kyjov-Gaja), do stolicy morawskich Słowaków: Węgierskiego Hradyszcza. Jest to poboczna linja, należąca do Tow. austr.-węg. kolei państwowych, posiadająca wszelkie właściwości podobnych dróg, tak pod względem wygody, jak szybkości. Dosyć powiedzieć, że na przebycie 105 klm. drogi potrzebowaliśmy z górą

pięć godzin czasu, nie licząc naturalnie początkowego opóźnienia. Na przestrzeni pomiędzy Bernem a Kijowem (58 klm.) zatrzymuje się pociąg nie mniej jak 16 razy, co wprawdzie pozwala gruntownie przypatrzeć się rzeczom i ludziom po drodze, ale nie zawsze jest przyjemnem. Tym jednak razem nie mogę narzekać, gdyż na dworcu spotkałem kolegów czeskich, dążących na zjazd dziennikarski, a w ich towarzystwie błyskawicą czas minął. Wśród nich był tyle nam sympatyczny, a zawsze przyjacielski i serdeczny pan Franciszek Hovorka, dusza Związku i długoletni tegoż, nieodżałowany sekretarz, dalej wytworny fejletonista, szczery bojownik słowiańskiej solidarności w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu p. Józef Kuffner, poważni politycy pp.: I. Holeček, z imponującą rozmiarami brodą, tudzież p. Cejnek, bardzo sympatyczni koledzy Heiret i Żalud i Vejvara i Miskovšky, a nadto po raz pierwszy, słynny powieściopisarz czeski, humorysta, autor znanego u nas Kondelika, p. Ignacy Herrmann. Postać to niezwykle sympatyczna i wyrazista, która zainteresować musi każdego, choćby nie wiedział kogo ma przed sobą. Na odnawianiu dawnych, a zawieraniu nowych znajomości, zbiegł czas bardzo szybko, tem bardziej, że tematu do gawędy nie zabrakło.

Do Węgierskiego Hradyszcza dobiliśmy ze znacznem opóźnieniem; gdzieś około północy, uprzejmi nasi gospodarze, — byliśmy bowiem rozlokowani w domach prywatnych — oczekiwali nas na dworcu z przewodniczącym komitetu miejscowego, redaktorem Kretzem i szczęśliwie dostawili do przygotowanych mieszkań. Dla nich, rzec można, noc ta była straconą; późniejszymi bowiem pociągami przybyli jeszcze koledzy od Brzecławia i Przerowa, tak, że ostatni, dopiero około 5 znaleźli się w mieście, a między nimi i mój współlokator, a miły kolega p. Aleksander Karcz, red. *Nowej Reformy*. Obaj byliśmy gośćmi pp. Benešów, którzy przyjęli nas z całą słowiańską

gościnnością, tak, że pobyt w ich miłym domu na zawsze zachowamy w pamięci. Pan Beneš jest inżynierem, że zaś służył wojskowo niegdyś w Krakowie i mówi nieco po polsku, przeto w Hradyszczu nazywają go Polakiem. Pani, osoba w kwiecie wieku — a niech mi wolno dodać: i piękności — jest jak mąż gorącą patrjotką i żywo interesowała się przebiegiem kongresu, biorąc nawet udział w jego obradach. W albumie jej znalazłem fotografję ś. p. Wysłouchowej, której osobiście nawet nie znała, którą jednak wysoko poważała jako gorącą Polkę i przyjaciółkę Czechów. Fotografję tę otrzymała od jednej ze swych rodaczek utrzymującej ze ś. p. Wysłouchową towarzyskie stosunki. Państwo Benešowie, jak i inni zamożni obywatele Hradyszcza, mają w pobliżu miasta, w słynącej znakomitem winem wiosce Mařatice, swą willę i winnicę. Nazywa się to w narzeczu obywateli hradyskich mieć swoją „budę". Zazwyczaj „budę" taką budują sobie dwaj właściciele do spółki; otóż taką spółkę stanowili nasi gospodarze z pp. Sedlačkami. W tych bardzo elegancko urządzonych „budach" zbierają się wieczorem w lecie często, rzadziej w zimie kółka znajomych, ażeby pobawić się lub pogawędzić przy szklance wybornego co prawda, ale silnego morawskiego wina. Byłem i ja z kolegą Karczem na takiej wieczornicy, w gronie miłych, a przyjacielskich ludzi, którzy chcą i umieją się bawić, a gościa z serca radzi widzą. Przy tej sposobności mieliśmy próbkę sąsiedzkich stosunków czesko-niemieckich i prowokacyjnej buty niemieckiej. Najbliższym sąsiadem willi pp. Benešów jest jakiś Niemiec, który wiedząc, że obywatele miejscowi przyjmują w owym dniu gości słowiańskich, przez cały wieczór wygrywał na fonografie to *„Wacht am Rhein"*, to *„Heil dir im Siegeskranz"*.

Miły sąsiad — nieprawdaż?

Panie zgrzytały drobnymi ząbkami i zachęcały mężów, ażeby przy nadarzającej się sposobności ku-

pili tę posiadłość i pozbyli się niemiłego sąsiedztwa. Myśli tej przyklasnęliśmy z całego serca.

Późnym wieczorem, odprowadzeni przez liczne grono nowych znajomych, znaleźliśmy się w domu, gdzie na stole złociły się prześliczne owoce, z ogrodu naszych uprzejmych gospodarzy i olbrzymie kieliszki, pełne „domowego“ wina — jak to mówią „do poduszki“. Skoro świt jednak byliśmy na nogach, spoglądając z naszych okien na olbrzymią równinę, przeciętą szeroką wstęgą wartkiej Morawy...

Znajdujemy się na klasycznej ziemi — u kolebki państwa morawskiego, w starem ognisku wiary i cywilizacji. Jakkolwiek o Hradyszczu słyszymy dopiero za Ottokara II., to nie ulega wątpliwości, że już w czasach Mojmirowców istniała tu osada, a że miejsce miało wielką ważność, było więc prawdopodobnie silnie obwarowane. W którem miejscu stał ten gród: czy w należącej do Hradyszcza Starej wsi, czy tam gdzie dziś isnieje Velehrad, czy zupełnie gdzieś indziej, to do dziś kwestja wielce sporna i nie naszem zadaniem ją omawiać. Kogo ta sprawa interesuje, niech przeglądnie krótką, a bardzo zajmującą rozprawę J. L. Červinki p. t. „Děvin a Velehrad — dva hrady velkomorawske. Kroměříž 1902“. Znajdzie on tam wszelkie argumenty za i przeciw i prawie dokładną bibljografję tej sprawy. Uczona krytyka bardzo surowo i bezwzględnie obchodzi się z tradycją; sięga w głąb ziemi, wyszukuje przedmioty od tysiąca lat w niej spoczywające i przyzywając na świadków geologję, geognozję, archeologję; paleontologję, historję i geografję, ciągnie tradycję przed trybunał wiedzy. Być może, że zwycięży!

Jednak tradycja jest tak piękną i poetyczną, przyniosła ludowi morawskiemu tyle namacalnych korzyści polityczno-narodowych, oddziałała tak głęboko na jego wyobraźnię, że pragnąć należy, ażeby krytyka okazała się mylną. Zresztą choćby uczeni po latach walk i sporów zgodzili się na jedno, szeroki

ogół jeszcze lat setki trzymać się będzie tradycji, która i nam do serca przemawia. Przedewszystkiem zaznaczamy położenie miasta. Leży ono nad jednym z licznych skrętów Morawy, na drodze wiodącej z Trenczyna do Przerowa i Berna; w północnej stronie, złączona dziś z miastem, leży wieś Stare Miasto, za rzeką zaś w niedalekiej odległości Velehrad. Historycy dawniejsi z W. Brandlem na czele sądzą, opierając się na kronice Dalomila i legendach Cyrylo-Metodyjskich, że pierwotny Velehrad leżał w miejscu dzisiejszego Starego Miasta, że tu był chram katedralny, do którego św. Metody zwoływał synody, a w którym następnie złożono jego zwłoki. Dzisiejszy zaś Velehrad, ma być ich zdaniem późniejszą osadą klasztorną.

Tak więc i tradycja i część historyków tu szuka początku wielkiego państwa morawskiego. Tu więc ongi rządzili Mojmirowcy, z którymi spotykamy się w dziejach w IX. w. W dynastji tej przejawia się wyraźnie myśl stworzenia wielkiego i silnego państwa słowiańskiego, przez połączenie wszystkich zachodnich Słowian, żyjących między czeskiemi górami, jeziorem Błotnem, a Tatrami. W tej myśli prowadzi Mojmir wojnę z księciem tatrzańskich Słowian, którego stolicą była Nitra, pozbawia go tronu, a jego ziemie łączy z Morawami. Naraża go to na długą wojnę z Niemcami, pomimo, iż Mojmir przyjął chrzest św. Po Mojmirze rządzi państwem jego syn Rościsław, który utwierdził dzieło ojcowskie, a przez powołanie św. Cyryla i Metodego, starał się uwolnić kraj od wpływu duchowieństwa niemieckiego, zatrzymując jednak związek z Rzymem. W r. 863 stanęli obaj święci bracia w Velehradzie i rozpoczęli natychmiast swą apostolską czynność. Rzecz prosta, że chrześcjanizm pod marką słowiańską był Niemcom solą w oku, duchowieństwo niemieckie raz po raz oskarżało św. Cyryla — a po jego śmierci w Rzymie — i św. Metodego o herezję, co jednak nie znalazło

u papieża posłuchu; owszem Adrjan II. wyświęcił Metodego na arcybiskupa Panonji z siedzibą w Velehradzie. Wobec tego Ludwik Niemiecki chwycił za oręż, ażeby się pozbyć niewygodnego, bo potężnego sąsiada słowiańskiego. Rościsław bronił kraju dzielnie, ale zdradzony przez swego bratanka i spadkobiercę Świętopełka, dostał się 870 r. w moc Niemców, którzy kazali go oślepić i wtrącić do klasztoru. Świętopełk nie odniósł jednak korzyści ze zdrady. Ludwik powierzył Morawy swym wielkorządcom Wilhelmowi i Engelszalkowi, margrabiom rakuskim, których bezwzględność i ucisk wywołały powstanie ludu pod wodzą księcia Sławomira. Wierni odwiecznemu swemu hasłu *„divide et impera“* wysłali Niemcy armję przeciwko buntownikom pod wodzą Świętopełka, licząc na to, że potrafi on znaczną część rycerstwa słowiańskiego przeciągnąć na swą stronę. Świętopełk jednak, który wogóle przedstawia się w dziejach jako człowiek bynajmniej nie skrupulatny, przejrzawszy zamiary Niemców, postanowił załatwić z nimi swój rachunek. Porozumiał się więc tajemnie ze Sławomirem i wydał wojsko niemieckie w jego ręce. Niemcy ponieśli srogą klęskę, a obaj wspomniani wielkorządcy polegli w boju. Wówczas Świętopełk objął rządy Moraw (871), a prowadząc szczęśliwie walkę z Niemcami, zmusił ich do zawarcia pokoju w Forchheim, w którym uznali go panem Moraw i zgodzili się na państwową i kościelną samoistność państwa.

Intrygi duchowieństwa niemieckiego trwały jednak dalej, a biskup solnogrodzki zwołał djecezjalny synod, na który wezwał św. Metodego, ażeby zdał sprawę ze swej działalności w Panonji, do której arcybiskup solnogrodzki rościł sobie djecezjalne prawa. Św. Metody udał się na synod i został tu zdradziecko uwięziony; dopiero energiczna akcja papieża Jana VIII. potrafiła mu przywrócić wolność. Św. Metody powrócił wówczas na Velehrad, gdzie niebawem ochrzcił czeskiego ks. Bożywoja i jego małżonkę Ludmiłę

z całym ich dworem. W miarę jak się rozszerzało państwo Świętopełka, rozszerzała się także djecezja św. Metodego i wpływ słowiańskiego duchowieństwa. Skutkiem tego, starcia z duchowieństwem niemieckiem, zagrożonem w swym stanie posiadania, mnożyły się i stawały częstszemi. Świętopełkowi walki te religijne nie były na rękę; uważał je za przeszkodę w swojej szeroko zakreślonej polityce i począł niechętnie spoglądać na energiczną działalność Metodego. Księża niemieccy, czując to, znów oskarżyli Metodego w Rzymie o szerzenie herezji i tym jednak razem Metody zdołał wykazać swą niewinność[1]) (879) i powrócił z Rzymu z dwoma biskupami-sufraganami, z których jeden miał rezydować w Nitrze. Rezydentem tym został Niemiec Wiching, jeden z poufałych Świętopełka, który intrygami swemi zdołał zupełnie poróżnić księcia z arcybiskupem. Czy Świętopełk zapatrywał się na św. Metodego w podobny sposób, jak dziś prof. Brückner, czy dał tylko folgę osobistej swej niechęci, nie wiadomo; dosyć, że książę zwrócił się energicznie i bardzo stanowczo przeciwko liturgji słowiańskiej i wygnał z górą dwustu księży i djakonów, wyszłych ze szkoły Metodego, z granic kraju. Wśród tej rozterki zmarł Metody r. 885 i pochowany został w katedrze Velehradzkiej. Następcą został jego zażarty przeciwnik, nitrzański biskup Wiching. Dzieło św. Metodego runęło wraz z jego śmiercią, a Morawy bardzo szybko dostały się pod wyłączny wpływ duchowieństwa niemieckiego. W politycznem natomiast działaniu Świępełk odnosił sukces po sukcesie; utrwalił swe panowanie w Czechach i na królu Arnulfie wymógł uznanie tego stanu rzeczy. W r. 894 umarł Świętopełk, a z nim skończyła się i świetność państwa! Niezgoda Mojmirowców i ciągłe rozterki domowe, rozluźniły szybko młody organizm państwowy i Niemcy znów odzyskali wpływ decydujący, a niebawem najazd Madjarów

[1]) Jak wiadomo inaczej sądzi działalność Metodego część historyków. Patrz prof. Brückner.

położył kres wielkiemu państwu i jego świetnej stolicy Velehradowi. Stało się to w r. 907. Od tej pory ginie nawet słych o Morawach. Dopiero w pół wieku później, klęski zadane Madjarom przez Ottona I. i jego sprzymierzeńca Bolesława I. czeskiego, wybawiły Morawy z jarzma obcego i złączyły je z Czechami państwowo, a po ustanowieniu w Pradze w r. 973 biskupstwa i religijnie. W związku tym pozostawały Morawy do r. 1003, t. j. do czasu, gdy wraz z Czechami dostały się pod berło syna Dąbrówki, wielkiego naszego Bolesława Chrobrego, który, jak niegdyś Mojmir i jego następcy, marzył o stworzeniu wielkiego i silnego państwa Słowiańskiego w środku Europy. Niestety, myśl ta nie została ani wówczas, ani później urzeczywistnioną; w każdym razie Morawy i Słowaczyzna zostały w połączeniu z Polską do 1029, t. j. do czasu, gdy Brzetysław czeski, korzystając z wewnętrznych zamieszek w Polsce, zajął Morawy. Brzetysław założył na dzisiejszej ziemi słowackiej miasto Spitygniew, które stało się siedzibą żupy, później nieco powstały dalsze żupy z centrami Hodonin, Brzetysław i Podiwin (około 1052). Odtąd Słowaczyzna prawie bez przerwy dzieliła losy Moraw, a za Karpatami losy Węgier; morawska jej część była widownią ciągłych walk wewnętrznych, w które obfitowały czasy Przemyślidów czeskich. W czasach Ottokara II. dowiadujemy się o założeniu klasztoru w Velehradzie (1202), w którym osiadają Cystersi, a w ślad za nimi zjawiają się pierwsi historyczni osadnicy niemieccy na Morawach: Altmann i Vrzmann, którzy tu przyciągnęli za zakonnikami. W jednaście lat później (1213) dowiadujemy się już, że niejaki Dietrich osadza kolonistami niemieckimi miasto Unców i w lasach, które miał prawo trzebić, zakłada dwie nowe wsie niemieckie: Diettersdorf (Dětřichovice) i Eisenberg (Nem. Ruda). W okolicy tej poczęto wówczas zakładać liczne grody, które miały bronić granic kraju przed napadami Węgrów.

Taką obronną basztą było też węgierskie Hradyszcze, obwarowane r. 1257 i Węgierski Bród (1272), a później i miasteczko Kijów, podniesione równocześnie do rzędu miast. Wszystkie te grody musiały być nieustannie w pogotowiu, gdyż czasy były groźne, a sąsiedzkie zamieszki nie ustawały. Ciężkie bo czasy przechodziła morawsko-słowacka ziemia na początku XIV. wieku po wygaśnięciu Przemyślidów, gdy państwem Trenczyńskiem owładnął Mateusz Czak, który zagony swe rozpuszczał aż po Berno. W czasach panowania Jana Luksemburskiego, wtargnął tu król polski Władysław Łokietek, który zajął kraj aż po Brzecław, dzisiejszy Lundenburg. Pokój zapanował dopiero za czasu rządów syna Jana, późniejszego wielbionego przez naród króla Karola IV., który też silną dłonią wprowadził porządek i położył podwaliny przyszłego rozkwitu miast w Czechach i na Morawach. Ale rozkwit ten trwał niedługo: husytyzm i tu wzniecił burzę, która długo niszczyła kraj słowacki. Dopiero od czasu układu między Władysławem Jagiellończykiem, a Maciejem węgierskim, który podówczas chwilowo był panem Moraw, zawartego w Igławie r. 1486, nastąpił spokój dłuższy, zwłaszcza, że po śmierci Macieja w r. 1490, Morawy połączone zostały z Czechami pod berłem Jagiellończyka. W owym czasie nauka Husa liczyła na Słowaczyźnie liczne zastępy wyznawców pod opieką panów na Strażnicy, z rodu Kravařów i panów z Cymburka, w rzędzie których najsłynniejszym był wspomniany już przez nas Scibor z Towačowa. Obok Jednoty szerzył się tu później luteranizm i najróżnorodniejsze sekty religijne, które powodowały ciągłe prawie wzburzenie w kraju, narażonym z zewnątrz na napady Węgrów, Turków i Tatarów. Reakcja, która nastąpiła po bitwie na Białej górze, zaciężyła i nad tą ziemią; dobra wydarte szlachcie narodowej oddawano Niemcom, lub zniemczałemu duchowieństwu. Brzecław, własność Władysława Velana z Zierotyna, dostał się

hrabiom z Meggavji; Czejkowice, własność Jana Adama z Vickovic — otrzymali Jezuici z Ołomuńca; Węgierski Ostróg, Łuka, Kunovice i Hluk, własność Jana Bernarda z Kunowic, otrzymał ks. Lichtenstein; Kaniowice Bernarda ze Zastrzyża dostały się kapitule ołomunieckiej i t. d. Prześladowano nie tylko szlachtę ale i mieszczaństwo; ofiarą ich, jak już mówiliśmy przy innej sposobności, padł także słynny syn tego kraju, Jan Amos Komensky, który młode lata spędził tu, w Strażnicy, zanim poszedł do wyższych szkół w Przerowie. Później widziała ta ziemia Szwedów pod Torstensonem, Węgrów pod Rakoczym, później Turków, którzy zapuszczali się aż pod Berno, następnie zastępy Tököly'ego...

Nie zaznała też Słowaczyzna spokoju w czasie wojny o dziedzictwo hiszpańskie, srodze przez „kuruców" pustoszona; nazwiska wodzów Rakoczego II., krwawo zapisały się w pamięci tutejszego ludu! Nie oszczędziła go też wojna siedmioletnia, ani burza napoleońska, ani epidemje, z których zwłaszcza cholera w r. 1831 spustoszyła kraj w przerażający sposób. Z katastrof tych dziejowych, spotęgowanych następnie przez ucisk Niemców, wyszedł jednak lud słowacki silnym i dzielnym, a dziś należy do najznamienitszych bojowników o prawa kraju. Słowacy z energją zabrali się do pracy i odbierali Niemcom jedno miasto po drugiem, tworząc z nich silne placówki narodowe. Z miast słowackich tylko Hodonin i Brzecław znajdują się w ręku Niemców; we wszystkich innych przeszły rządy do rąk Czechów, a i tamte dwa grody powrócą niebawem do swych dawnych panów, mimo wszelkich niemieckich wysiłków.

Węgierskie Hradyszcze dzieliło naturalnie w całej pełni wszystkie losy kraju; obroniło się zagonom madjarskim w r. 1315, 1334 i 1382, a zawsze wierne królom, otrzymywało czemraz korzystniejsze przywileje i ulgi. W czasie napadu węgierskiego króla

Macieja na Morawy i późniejszych z nim walk, wytrzymało miasto pięciokrotne oblężenie; uznał tę dzielność król węgierski i gdy w r. 1479 na zasadzie układu z Władysławem Jagiellończykiem stał się panem Moraw, nie tylko nie mścił się na mieście, ale nadał mu herb i prawo używania tegoż. W r. 1620 oblęgał bezskutecznie miasto Bethlen Gabor, w 1643. Szwedzi — również bezskutecznie; opanowali je dopiero 1742 r. Prusacy i — jak zawsze — doszczętnie złupili. Fortyfikacje, a raczej ich resztki, zniesione zostały dopiero z początkiem XIX. wieku. W ostatnich czasach wydało Hradyszcze jednego z najwytrawniejszych polityków czeskich nowszej doby; tu bowiem urodził się dr. Alojzy Prażak, późniejszy minister.

Dzisiejsze Hradyszcze jest nadzwyczaj rozległem miastem o własnym statucie, z nieliczną jednak ludnością. Wszystkich mieszkańców jest zaledwie 5½ tysięcy, z czego ośmiuset Niemców, a przeszło pięciuset Żydów. Czesi są więc w ogromnej większości. W mieście są dwa gimnazja, czeskie i niemieckie, (to ostatnie mieści się w bardzo pięknym gmachu), tudzież czeskie szkoły ludowe, szkoła przemysłowa, handlowa i szkoła kupiecka. Są tu pięknie urządzone publiczne czytelnie, a interesom narodowym służy doskonale redagowane pismo *„Słowackie Noviny“*.

Miasto jest czyste i bardzo starannie utrzymane; grupuje się ono około trzech ogromnych, czworobocznych placów, czyli rynków: Marjackiego, Komensky'ego i Palacky'ego. Pierwszy z tych placów zdobi kolumna, dłuta miejscowego rzeźbiarza Riga, wzniesiona ku czci „Niepokalanie Poczętej“ w r. 1716 przez obywatelstwo miejskie. W miejscu, w którem ulica Franciszkańska łączy się z placem, stoi klasztor OO. Franciszkanów, posiadający uwagi godny refektarz, wcale ładny księgozbiór i starożytną podobiznę króla Sobiesława czeskiego i tegoż syna. Klasztor ów zawdzięcza swe powstanie rycerzowi Janowi, który urodził się w husyckiej rodzinie prościejowskiej r. 1431,

był następnie kanclerzem króla węgierskiego Macieja, później biskupem waraždyńskim, doradcą króla Władysława Jagiellończyka — a pod koniec życia zrzekł się wszelkich godności, przybrał szatę zakonną i w pokorze mniszej, tutaj, w fundowanym przez siebie klasztorze dokonał życia (1509). Tu żył także i umarł jako mnich, Candidus Žizka z Trocnova, potomek sławnego Taboryty. Na rynku Komensky'ego stoi kościół Jezuitów, obok niego zaś gmach t. zw. redutowy, w którym mieszczą się sale na większe zebrania, przedstawienia amatorskie, bale etc. Naprzeciwko wznosi się piękny gmach miejski, ozdobiony wspaniałymi obrazami Uprki, w którym się mieści Kasa oszczędności; w skarbcu jej przechowuje się drogocenna, stara złota monstrancja kościoła farnego i piękny krzyż z kryształu. Najstarszym budynkiem jest ratusz, którego początki sięgają końca XIII. w.; środowiskiem jednak życia czeskiego jest Mieszczańska Beseda, piękny, przestronny gmach w ogrodzie, gdzie skupia się działalność licznych czeskich stowarzyszeń.

W tem to mieście odbył się VIII. Zjazd dziennikarzy słowiańskich w dniach 8. i 9. września r. 1906, przy współudziale około 80 delegatów słowiańskiej prasy w Austro-Węgrzech. O przebiegu kongresu nie myślę pisać obszernie; wystarczy jeżeli przytoczę krótkie sprawozdanie krakowskiego *Czasu:*

„Obrady zagaił w nieobecności prezesa Chylińskiego wiceprezes Holeček z Pragi; imieniem miasta powitał gości burmistrz dr. Pitra, poczem dokonano wyboru biura. Prezesem Zjazdu wybrano Hurbana Vajansky'ego, pierwszym wiceprezesem dra K. Ostaszewskiego-Barańskiego ze Lwowa, drugim zaś Janczikovicza z Osieka. Nadto wybrano trzech sekretarzy. Po podziękowaniu członków prezydjum za wybór, sekretarz Hovorka odczytał bardzo liczne telegramy z życzeniami dla Zjazdu. Po przyjęciu sprawozdania związku dzienni-

—

karzy słowiańskich za dwulecie ubiegłe, uchwalono zwrócić się do ministerstwa oświaty z żądaniem utworzenia katedry dziennikarstwa na jednym z uniwersytetów słowiańskich, tudzież wezwać redakcje pism słowiańskich, aby oświadczyły, jakich potrzebują korespondentów i z których okolic słowiańskich: zarząd związku ma prowadzić spis korespondentów, których polecać będą z każdej narodowości odnośne towarzystwa dziennikarskie. Na drugiem i ostatniem posiedzeniu Zjazdu, w niedzielę 9. września, po odczytaniu telegramów i życzeń dla Zjazdu, uchwalono rezolucję protestującą przeciw niemczeniu nazw miejscowości słowiańskich przez centralną komisję statystyczną w Wiedniu, oraz rezolucję p. Laskownickiego, wzywającą Wydział Związku dziennikarzy słowiańskich, ażeby na przyszły Zjazd opracował projekt nowego statutu Związku, opartego na organizacji międzynarodowego Związku stowarzyszeń dziennikarskich, a umożliwiającego zrzeszenie się w Związku wszystkich narodowości słowiańskich, a więc i tych, które mieszkają poza granicami monarchji austro-węgierskiej. Następnie poruczono wydziałowi Związku sprawę poruszoną przez p. Hovorkę, a tyczącą się kontraktów wydawców pism ze współpracownikami, podwyższanie płac co pięć lat etc. Wyznaczenie miejsca przyszłego Zjazdu przekazano również Wydziałowi Związku.

Po zamknięciu obrad Zjazdu podziękował dr. Ostaszewski-Barański komitetowi i burmistrzowi miasta za gościnne przyjęcie. Następnie odbyło się Walne zgromadzenie Związku dziennikarzy słowiańskich. Po załatwieniu spraw administracyjnej natury, dokonano wyborów. Prezesem Związku wybrano ponownie p. Michała Chylińskiego, a wiceprezesem p. J. Holečka; skarbnikiem wybrany został p. Miškovsky, sekretarzem p. Vejvara. Do Wydziału weszli z Polaków pp. dr. Ostaszewski-Barański, Br. Laskownicki i Wł. Prokesch, jako dele-

gaci Tow. Dzien. polsk., a pp. Kwaszewski i Smólski jako delegaci Związku literackiego polskiego we Wiedniu...“

Jakkolwiek z programu naszych Zjazdów wykluczone są sprawy polityczne, to jednak zdarzają się i zdarzać muszą momenty o politykę potrącające. Zdarzył się taki moment i w czasie zjazdu w Hradyszczu, a dotyczył on naszego stosunku do Rosji jako narodu i do Rosji, jako caratu i państwa czynowniczego. Otóż bardzo jasne i dokładne określenie naszego stosunku do Rosji, jako narodu i państwa w chwili obecnej, znalazło się w pełnej werwy i ognia mowie redaktora Laskownickiego, któremu też koledzy polscy serdeczną wyrazili wdzięczność. Dla wielu kolegów słowiańskich, którzy nie rozumieją charakteru naszego stosunku do Rosji, mowa ta była, rzec można, „otwarciem ich oczu“.

Gospodarze wysilali się, ażeby uprzyjemnić nam cząs pobytu, a przyjemności tych koroną było umożliwienie zbliżenia się do dzielnego ludu słowackiego. Z ludem tym zetknęliśmy się kilkakrotnie: widzieliśmy go przy pracy, modlitwie i zabawie, widzieliśmy go tłumnie zebranym na przesławnym Velehradzie, w czasie poważnych obrad. W Hradyszczu wogóle widzi się wiele ludu słowackiego, zwłaszcza w niedziele i jarmarki; słynne są zwłaszcza jarmarki tutejsze na konie i bydło. Ale i w zwykłe dnie targowe, w środy i soboty, widuje się tu setki włościan z całej okolicy, uderzających bogactwem i rozmaitością stroju, który tu, więcej niż gdziekolwiek, utrzymał się w dawnej swej czystości. Prześliczne są wzory wyszywek słowackich przeróżnych typów: bo acz podobne do siebie, przecież w każdej okolicy mają różne charakterystyczne cechy. Kto chce je poznać, niech uda się do sympatycznego redaktora Kretza, znanego działacza na polu narodowem. Kretz pracuje, rzec można, bez wytchnienia; pisze broszury, wydaje pismo, bierze udział we wszystkich niemal stowarzyszeniach, prze-

ga kraj cały, zbiera stroje, ubrania, naczynia, ądzenia domowe, obrazy, narzędzia pracy, słowem zystko, co dla historji ludu i jego życia ma warść i znaczenie. Redakcja jego, to prawdziwe muum, mimo iż najcenniejsze okazy jego zbiorów ajdują się już w publicznych muzeach Berna i Vehradu. U niego też przypatrzeć się można najrozaitszym odmianom słowackiego stroju narodowego: ażda bowiem okolica ma swe odrębności i swe właciwości, swe szczególniejsze kroje.

Znawcy rozróżniają trzy główne typy strojów udowych: a) typ rdzennie słowacki, w środku kraju,) typ hanacko-słowacki na zachodzie i c) typ woosko-słowacki na północnym zachodzie. W każdej ednak z tych głównych grup są poddziały — pierwszej 24, w drugiej 2, w trzeciej 2, razem zaś nie mniej jak 28 różnych rodzajów. W samym okręgu Hradyszcza inaczej się noszą polesowcy, inaczej spytyniowcy, jaroszowcy, bilowcy i t. d.[1]).

Kto więc chce poznać kostjumy, ten nie może się ograniczyć na zwiedzeniu kilku lub kilkunastu wsi; musi zobaczyć lud ten w jednem z licznych ognisk życia religijnego, jak Velehrad, św Antoni, Węg. Hradyszcze (w dzień Bożego Ciała), lub w Lanzhocie. Przedewszystkiem jednak Velehrad, gdzie się kupi lud z całego kraju!

Nie tylko jednak strojem różni się między sobą lud słowacki, ale i zewnętrznym, fizycznym wyglądem. Są okolice, gdzie widzi się postacie rosłe, o śmiałych twarzach, ostrych rysach, orlim nosie i pałającem oku, w innych okolicach widzi się ludzi małych, przysadkowatych, z okrągłemi, dobrodusznemi twarzami. Ciemny włos, czarne oczy, łatwo zapalny temperament, cechują przeważną część Słowaków. Popędliwość i zapalczywość ich tłumaczą winem, którego dawniej pijano naturalnie więcej niż w dzisiejszych

[1]) Jos. Klavana: *Lid na mor. Slovensku* w *„Pruvodce po Slovacku“*.

ciężkich czasach. Rozważnego i w hanackiem pojęciu „spokojnego“ człowieka, darmo tu szukać, ani też tej uniżoności, jaka cechuje wychowanych w ucisku Słowaków węgierskich. A jak kostjumem i fizycznym wyglądem, tak różnią się mieszkańcy słowackiej ziemi wymową, która znacznie się różni w poszczególnych okolicach. W Lhotkach obok Strażnicy słyszy się w ustach ludu starodawne aorysty jak n. p. *byuach* (byłam), *pásuach* (pasłam) lub brzmiące z ruska *„chodyty“* zamiast czeskiego *„choditi“*. Na północnym zachodzie mówią n. p. *chodija*, na zachodzie *chodijou* w środku kraju *chodiju*, a na południu *choda*. Są więc różnice i to znaczne. Powiedzieliśmy już, że Słowacy wierni zostali swemu strojowi; podziwiać to istotnie trzeba, gdy się zważy, że kraj ten leży przy ważnych i uczęszczanych drogach, że lud jest ruchliwy i względnie zamożny. Co prawda nie jest już ten strój strojem codziennym, bo na to byłby zbyt drogi. Na codzień nosi Słowak najczęściej białe, konopne ubranie, składające się z koszuli, spodni szerokich (gatě), kapelusza różnej formy i niebieskiego długiego fartucha. Kobiety noszą ciemne spodnice (šorec), które niby zapaski wiążą się około bioder, koszule z bufiastymi rękawami (rukavce) i rozmaitego kroju staniki (živoutek), a czasami i pstrą „turecką“ chustkę na głowie. Za to w niedzielę i święto wystrajają się i mężczyźni i kobiety „na ostatni guzik“, w stroje jaskrawe, pełne haftów i wyszywek, wstęg, błyszczących guzików i paciorków. Krój stroju wskazuje na sąsiedztwo z Węgrami: obcisłe spodnie w palonych butach, wyszywana bogato koszula, krótki serdak i kapelusz lub okrągła czapeczka z czerwonem denkiem, zdobna wstążkami lub piórami. Kobiety mają jeszcze jaskrawsze bufiaste spodniczki, takież koszulki z haftami u rękawów, tureckie wzorzyste chusty na głowach i wysokie zgrabne ciżemki. Zgrabnie i malowniczo w ubraniach tych wygląda młodzież, zwłaszcza mężczyźni, zamaszyści i junaccy, do tańca i różańca.

Starsi noszą dłuższe kabaty, bądź z białej, bądź z ciemnej flaneli; na zimę służy wszystkim kożuch, różnej formy, koloru i długości, ale zawsze prawie bogato wyszywany. Mężczyźni mają przeważnie krótko strzyżone włosy, tylko na granicy wołoskiej noszą długie na kark spadające włosy, rozczesywane w pośrodku głowy, a obficie maszczone tłuszczem. Dziewczęta noszą włosy splecione w warkocze, kobiety upinają je na głowie w różne kształty. Słowacy zebrani w większej grupie w pięknych swych strojach tworzą niezwykle piękny obraz, drgający prawdziwą orgją barw. Obraz taki, niezapomnianej piękności, przedstawił się nam po raz pierwszy na rynku w Hradyszczu, gdzie urządzono na cześć gości słowiańskich zabawę znaną pod nazwą „królewskiej jazdy". Jest to rodzaj turnieju wiejskiej młodzieży, we wspaniałych strojach „bajecznie" barwnych i bogatych, występującej na dorodnych, bogato przybranych koniach. Orszak stu jeźdźców popisywał się na ogromnej arenie, wykazując niezwykłą dzielność i pewność w jeździe. Z daleka cały ten, pełen barw obraz, wyglądał najzupełniej „po krakowsku" — tyle w nim było życia, werwy i zamaszystości, tylko okrągłe czapki słowackie zdradzały, że to nie nasi „krakusy". Rzeczywistość była tak piękną, że nawet mistrzowski obraz Józefa Uprki (Jizda kralů) musi wobec niej ustąpić.

Po raz wtóry zetknęliśmy się z masami ludu słowackiego na Velehradzie.

Wycieczka ta — to najefektowniejszy i najpodnioślejszy moment pobytu na morawskiej ziemi. Dwadzieścia powozów zaprzężonych w rącze i dzielne konie wiozły nas przez stare miasto, ku siedzibie czci i myśli św. Cyryla i Metodego. Po drodze spotykaliśmy nieustannie liczne kompanie i procesje pątników, nie tylko z Moraw, ale i z węgierskiej Słowacczyzny, które dążą tu, by się krzepić duchowo, religijnie i narodowo. U wstępu przy kaplicy, w której

ongi apostołowie mieli odprawiać mszę św. odbyło się powitanie przez reprezentację gminną. Córeczka naczelnika gminy, śliczne dziesięcioletnie dziewczątko, ubrana w piękny strój narodowy, wygłosiła serdeczne pozdrowienie od słowackich dzieci, a starsze dziewczęta, dawnym, słowiańskim obyczajem, podały gościom chleb i sól, z dodatkiem rozmaitych słodyczy i kwiatów. Otoczeni przeszło trzydziestotysięcznym łumem przybranego odświętnie ludu, szliśmy przy odgłosie dzwonów i śpiewów, przy huku moździerzowych strzałów, ku imponującej rozmiarami świątyni.

U progów jej, oczekiwał nas (w zastępstwie chorego chwilowo ks. Stojana, znanego posła do Rady państwa) opat strachowski, ks. Zavoral, w stroju pontyfikalnym i z pastorałem w dłoni, otoczony liczną rzeszą duchowieństwa. Ks. Zavoral — to postać niezwykle piękna, pełna dostojności i powagi, nie tej, która płynie ze świadomości władzy, ale z pokory i poświęcenia. Twarz piękna, pełna łagodności, ożywiona jasno-niebieskiemi oczami, wygląda prawie młodzieńczo; w istocie też „infułat, pierwszy prałat królestwa i stały jałmużnik królewskiego dworu“ (bo taki ma tytuł) jest człowiekiem jeszcze młodym i liczy zaledwie 40 rok życia. Poważny strój biały, jak naszych OO. Paulinów, potęguje jeszcze wrażenie postaci, samo przez się imponującej, a dźwięczny głos, zdradzający w owej powitalnej chwili serdeczne wzruszenie, dobiega do ostatnich szeregów tysięcznych tłumów. Każde jego słowo brzmi potężnym akordem wiary i przekonania; czuje się on w całej pełni pasterzem tego ludu, z którym związany jest pochodzeniem i przekonaniami, bolem i nadzieją, gotów dać z tą samą odwagą świadectwo prawdzie Bożej, jak myśli narodowej. Strzeże wiernie myśli swych poprzedników, którzy słowo święte głosili w języku narodowym i nie nadużywali krzyża do ujarzmienia słabszych.

Po krótkiem obustronnem powitaniu, staje na czele orszaku i wiedzie nas do świątyni, intonując hymn Cyrylo-Metodyjski:

Czy nas słuch nie myli?

Wszak to nasza, tak droga nam pieśń błagalna o wolność ojczyzny — „Boże coś Polskę!...“ Tak! ta sama nuta i myśl ta sama, choć słowa inne, ta sama prośba o dziedzictwo ojców!

„Bože cos račil před tisicy roky,
Rozžati otcum viry světlo blahe,
Jenžto jsi řidel apostolů kroky,
Z vychodu k' naši Moravěnce drahe:
{ K' tobě hlas prosby z teto vlasti vane
{ Dedictvi otců zachovaj nam Pane!“

Czy oni od nas, czy my od nich mamy ten śpiew, nie badamy w tej chwili! Z przepełnionych wzruszeniem piersi naszych płynie ta sama pieśń gorąca, to samo błaganie:

„Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Z pieśnią narodową [1]) weszliśmy do starej świątyni, w której nie brak i polskich pamiątek. Na prawo od głównego ołtarza widnieje wspaniały obraz mistrza polskiego malarstwa Jana Matejki, przedstawiający apostołów Słowiańszczyzny. Obraz ten darował artysta narodowi polskiemu, który przez swych reprezentantów postarał się o benedykcję Leona XIII. — (jak głosi odpowiedni napis) i ofiarował go kościołowi na Velehradzie w r. 1885, w czasie obchodu tysiącletniego jubileuszu Cyrylo-Metodyjskiego. Obraz ten w bardzo dobrej reprodukcji Jana Melicharka rozchodzi się rok rocznie w setkach tysięcy egzem-

[1]) Lud morawski śpiewa także naszą prześliczną, pełną rzewności i natchnienia pieśń Jana Kochanowskiego: „Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary“.

Pieśń ta brzmi w języku czeskim:

„Co žadáš od nas, Pane, za Tve hojné dary
Co chceš za dobrodini, které nemá miry...“

Prof. St. Dobrzycki sądzi, że pieśń ta przeszła na Morawy zapewne ze starych kancjonałów polskich wraz z podawaną w nich melodją.

plarzy i niema rodziny słowackiej, któraby nie posiadała podobizny daru bratniego narodu. Prócz obrazu jest tu kilka chorągwi polskich, a z tych najpiękniejszą chorągiew pielgrzymki wielkopolskiej z wyobrażeniem N. P. Częstochowskiej i Orła polskiego; stoi ona tuż u wejścia do prezbyterjum. Kościół ten pod wezwaniem Wniebowzięcia jest największym na Morawach; długość jego wynosi 86, wysokość do kopuły — która, jak i kościół, ozdobiona jest prześlicznymi freskami — 25 metrów. Wiek kościoła rozmaicie oceniają, w każdym razie zawadza on o wiek XI. Gdy stary Velehrad legł w gruzach za ostatnich Mojmirowców, nie zginął bynajmniej w pamięci ludu; był on dla narodu wspomnieniem sławy, potęgi, pamiątką niezależności. To też gdy nastały spokojniejsze czasy, margrabia Henryk Władysław z rodu Przemyśla, założył tu w XII. wieku klasztor Cystersów, a biskup ołomuniecki Jan, mając na pamięci starą Velehradu sławę, skłonił Urbana VI., że opatom velehradzkim nadał prawo używania pontyfikaljów (infuły, pastorału i pierścienia), jako że „sławny chram velehradzki miał niegdyś godność metropolji, a był niby matką i królową innych kościołów morawskich“. Przywilej ten nadany został w r. 1379; prałat velehradzki miał następnie pierwsze miejsce po biskupie na sejmie.

Dzisiejszy kościół stoi na miejscu dawnego kościoła św. Jana, który tu miał istnieć już na początku XI. w. — podwaliny obecnej świątyni kładli jednak dopiero Cystersi. Kościół i klasztor należą dziś do OO. Jezuitów, u których podówczas bawił rodak nasz, ks. Cozel T. J. z Krakowa. Uwagi godnym jest główny ołtarz kościoła, cały z marmuru, wyśmienite dzieło rzeźby, ofiarowane r. 1863 przez arcybiskupa ołomunieckiego.

W klasztorze mieści się bogaty zbiór wykopalisk i starożytności słowackich, tudzież strojów, haftów, wyszywek, pochodzących w znacznej części ze zbiorów red. Kretza. Wszystko to starannie uporządko-

wane, skatalogowane i odpowiednio rozmieszczone, stoi pod opieką patrjotycznego stowarzyszenia „Velehrad“. Prześlicznym do tego obrazu sztafażem były owe tłumy ludu dorodnego, a gorąco przywiązanego do wiary ojców i starego obyczaju, który tu szuka nie tylko ukojenia, ale też czerpie stąd siłę i nadzieję. Jak nam Częstochowa, tak im Velehrad jest arką, unoszącą się nad wodami potopu bezprawia. Jest on skarbcem narodowej myśli w całem tego słowa znaczeniu, z niego też wyszła myśl odrodzenia narodowego. Lud słowacki dowiaduje się tu nie tylko o tem, kto byli owi apostołowie Słowiańszczyzny, ale też o ich ciężkiej walce z germanizmem i opowiadaniem tem się rozgrzewa i krzepi. Tu otrzymuje on rady, wskazówki, pociechy. Jeżeli lud słowacki po węgierskiej stronie tak dzielnie się trzyma mimo o pomstę do nieba wołającego ucisku Madjarów, to jest to w znacznej mierze zasługa Velehradu i jego patrjotycznego duchowieństwa. „Ojcze święty — śpiewa lud wielbiąc św. Cyryla — który od wieków wraz z Metodym chwalisz Pana w niebiesiech, wyproś u Niego, by po długim ucisku i niewoli, zeszło znów jasne słońce nad Twym ludem...“

A po modłach i śpiewie idzie ów lud na wiec i radzi o swych potrzebach, o doli i niedoli. Na taki wiec trafiliśmy właśnie w Velehradzie, a obrady jego były zarówno pod względem religijnym, jak i narodowym wielce interesujące. Mówiono przedewszystkiem o prześladowaniach ludu i duchowieństwa słowackiego na Węgrzech, w następstwie zaś uchwalono wysłać do Ojca św. następującą proźbę:

„Zebrani w Velehradzie wierni w liczbie 30.000, zwracają się do stóp tronu Waszej Świętobliwości z synowską prośbą, by Wasza Świętobliwość w ojcowskiej łaskawości raczył zmiłować się nad katolickim ludem słowackim na Węgrzech i przeszkodził prześladowaniu księży słowackich przez rząd i episkopat węgierski“.

Prożba — aż nadto usprawiedliwiona!

Już poprzednio mieliśmy sposobność podnieść wielkie zasługi duchowieństwa morawskiego w pracy nad odrodzeniem. Był czas, gdy cały ruch narodowy na Morawach skupiał się w kościele, a i odrodzenie literackie wyszło z grona duchowieństwa. Teologowie berneńscy tłumaczyli wyborne książki pobożne z języka francuskiego i niemieckiego, ks. Fr. Polaček, rektor fakultetu teologicznego w Ołomuńcu, wydał w czeskim przekładzie Pismo św. dla ludu, pisali wspomniani już ks. Fryczaj i ks. Sychra, a jednym z najbardziej płodnych i po dziś dzień cenionych beletrystów morawskich był również ksiądz, Wacław Kosmak. Pod firmą św. Cyryla i Metodego, szerzyła się oświata i rozwijał dobrobyt ludu, a gdy powstała następnie Macierz Morawska, duchowieństwo pospieszyło z jej uzupełnieniem zakładając: „Dziedzictwo św. Cyryla i Metodego“ towarzystwo, którego wydawnictwa idą między lud w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Nie mniejszą zasługę przyznać należy Velehradowi pod względem pielęgnowania muzyki kościelnej. Słowacy są wogóle ludem bardzo muzykalnym i zawsze z wielkiem zainteresowaniem uprawiali pieśń kościelną. Jest faktem, że ze zbiorów ich korzystał nawet Luter, któremu kancjonałów słowiańskich dostarczał przyjaciel jego, pastor Weiss. Słynna pieśń Lutra: „Bóg najpewniejszą twierdzą naszą“, wzięta jest żywcem z morawskiej pieśni pobożnej:

„Hrad přypevny jest pan Buh naš“.

Jest cały zbiór pieśni specjalnie Cyrylo-Metodyjskich (Hymn, Święci bracia, Przystąp Morawo, Huczą dzwony Velehradu, Nasi apostołowie, W górę serca etc.), a wśród nich interesująca pieśń z prożbą o połączenie wszystkich Słowian w kościele katolickim. Myśl ta, do dziś bardzo żywy oddźwięk w kołach velehradzkich znajduje i nieustannie bywa roztrząsaną.

Mówiąc o muzyce, nie możemy nie wspomnieć o jej wybitnym na Morawach przedstawicielu, którego życie ściśle łączy się z Velehradem!

W dziejach rozwoju muzyki czeskiej na Morawach, na pierwszem miejscu postawić należy nazwisko Pawła Krzyżkowskiego, Ślązaka, ur. r. 1820; pochodził on z rodziny wioskowych grajków, a że miał niepośledni talent, przeto po ukończeniu gimnazjum i kilku kursów filozofji, odbył nowicjat w klasztorze Augustynów w Bernie, złożył 1846 śluby zakonne i uczęszczał na teologję. Równocześnie studjował teorję muzyki i sztukę kompozycji. Jeden z pierwszych jego utworów, poświęcony młodzieży uniwersyteckiej Wiednia w r. 1848, odśpiewany w stolicy naddunajskiej przez akademików berneńskich, zjednał mu niemałą sławę. Narodowo był jednak mało uświadomiony; i w życiu i w muzyce był więcej Niemcem niż Czechem, dopiero w czasie studjów teologicznych, pod wpływem kolegów, obudziło się w nim poczucie narodowe. Franciszek Suszil zwłaszcza wpłynął na niego i wskazał mu drogę ku narodowej muzyce. „Studjuj swoje pieśni, wnikaj w ducha swego narodu“ — mówił mu — „nie rywalizuj z Niemcami i Włochami“. Usłuchał profesora swego Krzyżkowski, studjował pod jego kierunkiem ludowe pieśni i wnet zasłynął swemi kompozycjami. W roku 1850 napisał „Hymn na cześć św. Cyryla i Metodego“. Szerszemu ogółowi dał się poznać po r. 1860, gdy założono „Besedę berneńską“, dzisiejszą filharmonję tej samej nazwy, a obok niej „Musik-Verein“. Krzyżkowski stał się duszą „Besedy“, a jego zdolności kapelmistrzowskie i kompozytorskie ogromnie poziom instytucji podniosły. Z Besedy przeszły jego dzieła do licznych pokrewnych towarzystw i rozgłosiły nazwisko kompozytora „Utopionej“ po całej czeskiej ziemi. Utwór ten, wykonany pod jego batutą w Pradze, zjednał mu zachwyt całego muzycznego świata nadwełtawskiej, wybrednej muzy-

kalnie stolicy. „Utopiona“ stała się tak popularną, jak Szkrupowa pieśń: „Kde domow můj“, lub Tomašikova „Hej Slovane“ zapożyczone żywcem od nas. Wiekopomną sławę zjednała mu kompozycja do słów pieśni Soukupa: „*Ejhle svaty Velehrad už září*“, którą odśpiewano po raz pierwszy w czasie 1000-letniej uroczystości apostołów na Velehradzie w r. 1863. Śpiew wydobyty z duszy narodu, stał się najpopularniejszą kościelno-narodową pieśnią na Morawach. Drugim jego tryumfem było odśpiewanie hymnu na cześć św. Cyryla i Metodego, pod otwartem niebem w parku berneńskim „Na Łużankach“ p. t. „Gwiazdy dwie płyną ze Wschodu“, przez 1100 śpiewaków czeskich pod jego kierownictwem, w obecności 15.000 najprzedniejszych obywateli z Czech i Moraw w dniu 25. sierpnia 1863. Inną, niewątpliwie jeszcze uroczystszą przeżył chwilę, gdy w bazylice Velehradzkiej, w rocznicę tysiąclecia śmierci św. Cyryla — 1869 r. — przygrywał na potężnych organach tłumom, śpiewającym jego pieśń ułożoną do słów Soukupa: „Přistup Moravěnko, Přistup blíže“. Było to w czasie pielgrzymki czeskiej, w której wzięło udział 40.000 pątników, 1300 księży, z kardynałem praskim Szwarzenbergiem i jego bratankiem księciem-biskupem ołomunieckim Fürstenbergiem na czele! W r. 1872 powołany został do Ołomuńca dla zreformowania muzyki kościelnej tamże; pod koniec życia schorzały powrócił do swego klasztoru w Bernie i zmarł w nim r. 1885. Corocznie w dzień zaduszny, towarzystwa śpiewackie śpiewają przy jego grobie jedną z najpiękniejszych jego kompozycji: „Odpocznij w cichym chłodzie, po dusznych dniach żywota“.

Główne znaczenie Krzyżkowskiego leży w tem, że jest twórcą narodowej muzyki czeskiej na podkładzie pieśni ludowej. Czesi twierdzą, że wyprzedził go Smetana, który na tle pieśni ludowych komponował wcześniej, bo już 1837, gdy Krzyżkowski rozpoczął pracować nad narodowemi kompozycjami dopiero

1848 r. Biograf jednak Krzyżkowskiego [1]), przyznaje mu stanowczo prawo pierwszeństwa przed Smetaną, którego narodową barwę odczuwa dopiero w „Polkach“, z r. 1855, a więc w 7 lat po pierwszych dziełach Krzyżkowskiego napisanych.

Niemało też pięknych pieśni świeckich mają Morawscy Słowacy. Wiele w nich prawdziwej poezji, uczucia, wiele wspomnień dawno ubiegłych czasów. Jak piękną jest n. p. piosenka o ginącej młodości:

Veje vetor po doline,
moja mładost' len tak hynie,
len tak hynie, aj zahynie,
ako listok v Bukovině.

Moja mładost' i podoba
tak mi hynie ako voda:
voda zhynie, druhá pridě,
moja młodost' už ně pridě.

W odległą przeszłość cofa się pieśń o Nitrze:

Nitra miłá, Nitra,
ty vysoka Nitra!
Kděže su tie časy,
v którých si ty kvitła?
. . . .
Ty si boła někdy
všetkých krajen hława,
v ktorých těčie Dunaj,
Visła i Morava.
. . . .
Teraz tvoje słáva
v toni skryta leži,
tak se časy menia,
tak ten to svet beži!
. . . .

A oto jedna z powiastek ludowych, nowszej już doby, jak ją opowiada pięknie Michał Srubjan, w swym obrazku z morawskiej Słowacczyzny:

„Marysia i Janek znali się od dzieci; asystował jej, gdy jeszcze do szkoły chodziła. Później Janek

[1]) Karol Eichler: „P. Pavel Křižkovsky“. M. C. str. 221.

pojechał do szkół, ale o Marysi nie przestał myśleć, Każdej niedzieli otrzymywała długi serdeczny list, który przeczytawszy z biciem serca, starannie chowała. W czasie wakacji spędzali dni całe ze sobą — i rośli, a wraz z nimi i ich miłość. Janek chciał się wybić, uczył się doskonale, a idąc za radą profesorów, poszedł w świat, ażeby uzupełnić swe nauki. O Marysi myślał, ale nie miał czasu na pisanie słodkich słówek; listy były rzadsze, krótsze, a Marysia płakała, tęskniła i śpiewem przyzywała lubego:

„Prindi Janko premileny
prindi k' nám!
Ja ti za klobuček
pérko dám!
Za klobuček pérko —
rozmarinčok zelený!
Prindi Janko mileny“!

Ale Janko nie przychodził!

Zapadł gdzieś w szerokim świecie, jakby go czarownica omaniła!

Rok upływa — Janka niema — a od pół roku nie dał nawet znaku życia.

— Ach niedobry! — żaliła się w ciszy Marysia — może zapomniał... zapomniał!...

. . . .

— „Aha! czekaj na pana, czekaj! A on już sobie znalazł pannę! Ej! to te panny miejskie są jak kotki: czatuje, czatuje i — hop! a już ma wróbelka w pazurkach. A z nich się tak snadno Janek nie wydobędzie. Ho! Ho! Trzepocze się on już pewnie w łapkach miejskiej kotki, a ta go nie puści od siebie. A ty czekaj i czekaj, może cię kiedyś jaki wdowiec zechce“. Tak gderała matka Marysina, zła, że jej córka w panieństwie przekwita; Janek to już pan i wiejskiej dziewczyny nie zechce. A czyż to mało we wsi ładnych chłopców? Ot i ten i ten, i ładny i porządny i stateczny.

A Maryś nie i nie, jeno cięgiem na Janka czeka! Nie dba na dogryzki ludzkie i nosi go, niby świętość w sercu. A dziewczęta wiejskie żartują z niej i rają wdowca: Marysia uśmiechnęła się i odpowiedziała im słowacką piosenką:

„Staremu vdovcovi voni brada vinem,
ale šohajkovi voni rozmarynem!

Ale przecież i ją ogarniał żal i niepokój: — Byłżeby Janek zdrajcą, pytała sama siebie, dałby się usidlić innej, jakiejś miejskiej kokietce?... Ale nie! nie! on wróci, musi wrócić do tej, która go tak bardzo kocha!

A zresztą!

Dziewczyna słowacka nie umiera z sentymentu, szuka pociechy w pracy i śpiewa sobie na pociechę:

Dyż mě nechceš, tož nech tak,
šak ty budeš stał hapták,
až te bude tvoja žena
komandýrovat!

Będzie miał taką żonę, na jaką zasłużył!

. . . .

Ale słowacki chłopak nie rzuca lekkomyślnie szczęścia. Janek pokończył szkoły, znalazł miasteczko, w którem właśnie zmarł lekarz i osiadł i rozpoczął praktykować. I szło mu dobrze.

. . . .

A Marysia czekała i tęskniła. Raz szła muzyka po ulicach, zapowiadając w ten sposób balik wiejski; a grajki grali znaną pieśń o lubej, co za swoim tęskniła:

Ej za tu našu stodolenku
ej za tu našu stodolu!
Ej! plakala tam —
Ej! kvilela tam —
Ej! ma panenka
nade mnu!

Zaszło Marysi oko łezką i spojrzała przez okno.

— O Jezu! krzyknęła nagle i rzuciła się ku drzwiom.

— Co się stało? zawołała matka zaniepokojona.

A w tem drzwi się otwarły — i Marysia znalazła się w objęciach Janka!

Padł tam jeden całus, czy dwa, czy więcej, któż wiedzieć może! Ktoby tam zresztą rachował w tak radosnej chwili. Witano Janka serdecznie i gorąco, zbiegła się cała rodzina i ciotki i stryjki i stryjanki i wujki i przyjaciele i tych przyjaciół przyjaciele, — po chwili waliła cała wieś ku chacie Marysi, a przodem muzykanci, którzy grali:

„Taky pod'te na ten bal —
na ten bal —
zahrajem vam na cymbál
na cymbál".

I szedł Janek i Marysia, a niedługo była swadźba głośna i huczne wesele, jakiego dawno we wsi nie pamiętano. I jak nasze, tak i bajka Srubjana kończy się słowami:

„Já sem tam taky byl, jed' sem a pil, až po bradě mně teklo..."

Czas jednak pożegnać i sympatyczny lud słowacki i przesławny Velehrad.

Wieczór już był, gdy pożegnawszy ks. Zavorala, rektora OO. Jezuitów, chorego w celi ks. Stojana i „strażnika Velehradu" prof. Tvardovsky'ego, opuściliśmy Velehrad, serdecznie ze wszech stron żegnani. I już daleko byliśmy poza klasztorem, gdy jeszcze dolatywały nas słowa pobożnej pieśni, pełnej ufności w przyszłość:

„Ne zahyneš rode naš
Dokud Velehrad ti sviti!
Duchem jeho okřivaš,
Jako vesnou mlade kviti!
Vzhuru tedy v rajsky sad,
Na prosvatny Velehrad..."

. . . .

Hradyszcze nadaje się wybornie do licznych wycieczek po Słowacczyźnie, a jest tu wiele miejscowości i pięknych i pamiętnych: Nedakowice, gdzie lud pokazuje miejsce, na którem Żyżka miał ucztować z towarzyszami, Ostroh, silna forteca panów ze Stemberku, Strażnica, ongi główna twierdza husytyzmu, Hodonin, posiadający małe, ale bardzo ciekawe muzeum archeologiczno-etnograficzne, Węgierski Brod, miasto niegdyś kwitnące, zniszczone później przez Tökölego... Tu prawdopodobnie urodził się Jan Amos Komensky, który sam nazywał się „Hunobrodensis". Ojciec jego młynarz, pochodził z miejscowości Kromna i należał do sekty braci morawskich.

Na zachód od Hradyszcza jest ładne miasteczko Buchlowice, z pięknym zamkiem w stylu włoskim, a godzinę dalej, wznosi się na skalistem wzgórzu, dobrze utrzymany zamek Buchlow, nad którego bramą widnieją herby Peterswaldów i Serenyich z r. 1665 w otoku. Na terasie przed główną bramą wiodącą do wnętrza znajduje się czworogranny kamień, na którym osądzeni t. zw. „prawem łowieckiem" spożywali ostatni posiłek. Sąd ten, który fungował tu długo, jako zabytek odległej przeszłości, był równie straszny i tajemniczy, jak sąd świętej Femy. Był to formalny sąd przysięgłych, którego władza rozciągała się na 28 gmin, wsi i miasteczek. Kiedy popełniono na tem terytorjum jakiś złoczyn, schwytanego winowajcę posyłała gmina na zamek w Buchlowie, a równocześnie składała 21 białych groszy dla kata. Pan zamku zwoływał wnet sąd łowczy, który się składał z 12 członków ze wsi Strzybernicy, z trzech starszych gminy Poleszowice, trzech z Bożyc, tyluż z Buchlowa, a czterech z innych gmin — tudzież z syndyka i dwóch rajców miasta Hradyszcza. Posiedzenie zagajał pan zamku lub kasztelan, poczem oskarżyciel przedstawiał czyn oskarżonego w obecności tegoż. Podstawą prawną był kodeks miasta Hradyszcza, głosowanie rozpoczynał wójt buchlowicki. Wyrok

potwierdzał pan, poczem wpisywano go do czarnej księgi i ogłaszano publicznie; spełniał go zaś kat zamkowy. Sąd ten wyrokował zrazu tylko w sprawach szkód polnych, lasowych i w winnicach, później jednak rozszerzył swą władzę na wszelkie zbrodnie i ten zakres zachował aż do r. 1748. Do dziś utrzymały się urządzenia sali sądowej, izby inkwizycyjne i podziemne więzienie, a lud opowiada różne straszne z przeszłości sceny... U wejścia do zamku czytamy napis łaciński: „Najpotężniejszą twierdzą jest imię Pańskie“ i po czesku „Jan Ždansky z Zastřizl na Buchlovicich r. 1546“. Zamek trzypiętrowy ma dwupiętrowe skrzydła; w północnem najstarszem mieści się sala rycerska i sala biesiadna. Wesoło musieli tu ongi rycerze biesiadować, sądząc po puharach, jakie widzimy; są one różnej wielkości, różnych kształtów i z rozmaitego materjału: od małych weneckich kubków do olbrzymich puharów z rogu, które trzeba było oburącz trzymać. Jest tu też puhar t. zw. „Apostolski“, ozdobiony podobiznami dwunastu uczniów Chrystusa, z pobożnym napisem niemieckim:

Kto mną się co dnia godnie bawi,
Święta mu Trójca pobłogosławi
1351.

Są też tu stare zbroje i stroje, toaletowe przybory dam rycerskich, a obok husyckie cepy, siekiery i topory... Przechowują także szpadę, którą pchnięty podstępnie, zamordowany został jeden z panów tego zamku.

Nie tylko jednak wspomnienia hałaśliwych uczt i krwawych czynów łączą się z grodem: łagodzi je wspomnienie wielkiego filantropa i opiekuna ludu, Leopolda hr. z Berchtoldu, którego pracownia i księgozbiór dotychczas się zachowały. Był to myśliciel, szlachetny przyjaciel ludzi, oddany książkom i naukom, który tu osiadł po długiej wędrówce. Urodzony w połowie XVIII. w., odbywał w młodości liczne

podróże po Europie, Azji i Afryce, głosząc wszędzie braterstwo ludzi i propagując myśli o uszczęśliwieniu ludzkości. Czynem też stwierdzał swą miłość do niej: w Smyrnie pielęgnował chorych na dżumę studjując charakter i sposoby leczenia tej strasznej choroby; nikt potrzebujący pomocy lub rady nie szukał ich u niego bezskutecznie. W czasie klęski głodowej na Morawach w r. 1805, rozdzielił między ubogich z własnych funduszów 65.000 złr.; to też gdy umarł w r. 1809, zapanowała powszechna w okolicy żałoba. Potomność uczciła go przydomkiem: „Hovarda Moraw". Zwłoki jego spoczęły w poblizkiej kaplicy św. Barbary na górze Modla, zbudowanej w XVII. wieku. Ołtarze jej z czarnego drzewa, dziwnie ponure robią wrażenie.

W Buchlowie głęboko przejmuje nas prawda słów poety, „że miejsce, po którem stąpał szlachetny człowiek, uświęcone jest na wieki". Okolica zamku jest prawdziwie piękną i wierzyć się chce, że kiedyś modlili się tu ludzie do Boga — łowów, od którego nazwa miejscowości zdaje się pochodzić. Ze strażniczej wieży zamku, sięga widok na wschód od Karpat, na zachodzie pieści się zielenią morawskiej wyżyny. Niżej, u stóp góry zamkowej, widnieje błyszczący w słońcu Velehrad, a dalej biegnie wzrok ku Napejedlu z jednej, a Ostrogowi z drugiej strony. Wzgórza, na których się wznosi Buchlów, noszą nazwę gór Marsowych; stanowią one przejście od Karpat do morawskiej wyżyny.

. . . .

W południowej stronie Słowacczyzny, niemal u bram Wiednia, leży miasto Brzecław (Břeclav, Břeclava lub Břetislav, po niemiecku Lundenburg), które radzimy odwiedzić każdemu, kto jedzie do Wiednia, a może pół dnia poświęcić. Samo miasto, acz stare, nie przedstawia nic ciekawego, uległo bowiem gruntownemu pożarowi w r. 1742; ma wygląd zupełnie nowoczesny, a dzięki znakomitym połączeniom z Kra-

kowem, Bernem i Wiedniem, a bocznemi drogami ze Znojnem i Węgrami, stanowi ważny punkt handlowy. Natomiast połączone z Brzecławiem miasteczko Lednica (Eisgrub), jest osobliwością pierwszego rzędu — europejską w całem tego słowa znaczeniu. Jest to własność panującego ks. Lichtensteinu, który posiada tu wspaniały pałac i park, urządzony na trzęsawiskach Dyji (Thaja). Jest to jeden z największych i najpiękniejszych parków w Europie, jak zaś jest obszernym, dosyć powiedzieć, że na objechanie go dobrymi końmi, trzeba z górą dwie godziny czasu; na osuszenie bagien, trzeba było pracy przeciętnie 500 ludzi dziennie przez sześć lat (1805—1811)! Tak powstały cztery ogromne stawy, które połączone ze sobą rzeką, tworzą granicę Moraw i Dolnej Austrji, a stanowią trzecią część całego parku. Stopięćdziesiąt mostów łączy brzegi i wyspy, rozsiane na przestrzeni 250 morg.[2]

Pałac zbudowany jest na podobieństwo Windsoru, w t. zw. przez Anglików *florid-style*, a urządzony jest po królewsku. Werandy, balkony, oranżerje, terasy, zimowe ogrody pełne palm i egzotycznych kwiatów, dodają uroku wspaniałym salom, nad których przyozdobieniem pracowali najdzielniejsi malarze i rzeźbiarze. Czarujący wprost efekt robi duża sala zwierciadlana, odbijająca w olbrzymiej perspektywie cieniste aleje parku; wydaje się nam, jakobyśmy wstąpili do owych tajemniczych krain z powieści tysiąca i jednej nocy. Imponujące wrażenie sprawia sala rodowa, ozdobiona przez Amerlinga portretami przodków, a kokieteryjnym przepychem wabią apartamenty księżnej. A prócz tego bibljoteka, sala muzyczna ozdobiona posągami muz, jadalnia z artystycznymi świecznikami, sala pomarańczowa, w której około 900 drzew tworzy szpaler, aż do świątyni Muz — wszystko to wprost oszałamia.

A jednak pałac ten jest właściwie tylko przedsionkiem cudnego gmachu, na który złożyła się

i sztuka i natura — wspomnianego już parku. Cudowną zaiste jest ta mnogość roślin, barw i woni, które tu się spotyka; najrzadsze okazy kwiatów, krzewów, drzew, roślin i porostów — wszystko to tu się znajdzie. Cały świat składa się na tę jedyną w swoim rodzaju mozajkę.

W środkowym punkcie parku widnieje pełna wesołości i pogody „Świątynia słońca" z napisem: „*Rerum Productori, Entium Conservatori*". Świątynia ta, a raczej rotunda, oparta na kolumnach, stoi w punkcie, w którym stykają się topolowe aleje w liczbie 8. — główne drogi parkowe. Jeszcze piękniejszym jest widok na park z t. zw. Babilonu, wschodniej bogato rzeźbionej świątyni, w kształcie minaretu, ozdobionej cytatami z Koranu. Z galerji tej świątyni widzimy na kilka mil wokoło południową część Moraw i północną Austrję dolną, pomiędzy Mikołajowem, Brzecławiem, a Feldsbergiem. Na samej granicy obu prowincyj wznosi się krużganek arkadowy, oparty na pilotach, gdyż budowano go wówczas, gdy moczary nie były jeszcze osuszone. Równie piękną jest pagoda chińska, dom rybacki i t. zw. folwark, w którego stajniach stoją krowy przy żłobach z marmuru, świątynia Apollina nad stawem „mlecznym" z prześlicznemi rzeźbami Kliebera, joński cyrk Trzech Gracji, w którego niszach mieszczą się symbole sztuk i umiejętności, otoczony cudownym kobiercem kwiatów.

Dalej, gdzie park zmienia się już w zwierzyniec, wznosi się t. zw. Hasenburg, podobizna rycerskiego zamku, wzniesiona już r. 1807 na jednej z wysp, utworzonych przez kręcącą się wzdłuż całego parku Dyję. Hasenburg jest i wewnątrz ściśle historycznie urządzony. Piękny ten obraz ożywiają formalne stada zwierząt, a przedewszystkiem wspaniałe okazy jeleni, które tu bez obawy się zapuszczają. Wiernie też, według najlepszych wzorów starożytnych odtworzony jest łuk tryumfalny, na cześć bogini łowów, Djany, z napisem:

„Dianea venatrici eiusque cultoribus“.

A nadto różne kolumnady, groty, pomniki, jaskinie, tysiączne wodotryski, z których jeden kunsztowniejszy jest od drugiego, zegary rozmaitych czasów i kształtów, przystanie, porty pełne łodzi i bacików, kaplice św. Huberta, domki pasterskie i sztuczne ruiny!...

Kiedy zmęczeni długim spacerem usiądziemy w jednej z zacisznych altanek i staramy się uporządkować nasze wrażenia, pytamy się, co więcej podziwiać: przyrodę, czy dzieła ręki ludzkiej — czy też ową m y ś l, która tak harmonijnie potrafiła z przyrodą połączyć dzieła sztuki? Opuszczając ten prawdziwie czarowny zakątek ziemi, musimy sobie powiedzieć, żeśmy widzieli coś prawdziwie pięknego!

Ostatnim punktem programu pobytu naszego na Morawach, była wycieczka do Luhaczowic, piewszego miejsca kąpielowego na Morawach. Jest to, rzec można, morawskie Zakopane. Nie tylko ze względu na piękne położenie u stóp Karpat, nie tylko ze względu na znaczną frekwencję, ale przedewszystkiem dlatego, że jak Zakopane jest letnią stolicą całej Polski, tak Luhaczovice są ogniskiem towarzyskiem dla Słowaków z tej i tamtej strony Karpat. Uciskani srodze przez Węgrów, tu mogą spokojniej odetchnąć, ukoić swe żale i pokrzepić się nadzieją. W życiu słowackiem Luhaczowice są ważnym posterunkiem.

I jeszcze jedno podobieństwo.

Podobnie jak z Zakopanego, dzięki Witkiewiczowi i Matlakowskiemu, powiał nowy, ożywczy duch na naszą sztukę, a w szczególności w zakresie architektury i zdobnictwa, tak i Luhaczowice stały się dla Moraw odżywczem źródłem w zakresie budownictwa i sztuki stosowanej. Wyrabia się tam czysty, ludowy styl słowacki, stosowany szczęśliwie w całym kraju. W samych Luhaczowicach powabne, stylowe budynki słowackie, wypierają niezgrabne, ciężkie budynki. Wielką zasługę ma w tem p. Jurkovič.

Jurkovič Dušan jest to czesko-morawski Matlakowski i Witkiewicz, lecz sam architekt z zawodu. Studjował budownictwo ludowe, zwłaszcza na Walaszku (górskie okolice północno-zachodnich Moraw) i na Słowacczyźnie. Wydawane przez niego *„Pracé lidu našeho“* — lidové stavby, zařizeni, a vazdoba bydli, drobné práce — (od r. 1905), mają też wartość dla polskiego folkloru. Niejeden bowiem motyw zakopański, sięga daleko na zachód w karpackie góry. Zestawienie polskich i czeskich badań w tej dziedzinie, miałoby pierwszorzędną wartość dla postępu nauki i naprowadzi niewątpliwie na niejeden ślad do historji osadnictwa Karpat.

Luhaczowice znane są od drugiej połowy XVII. wieku. W opisie balneologa Tomasza Jordana z roku 1585, nie ma jeszcze wzmianki o tutejszych źródłach, które opisał dopiero słynny lekarz berneński XVII. wieku. Lekarz ten, który miał oryginalne i jak na lekarza szczególniejsze nazwisko *Hertodt von Todtenfelden*, jest sam przez się interesującą postacią.

Był on rodowitym berneńczykiem, a pochodził z czysto lekarskiej rodziny Hertodtów; cesarz Leopold cenił go tak dalece, że zlecił mu obowiązek wyszukania żony dla swego syna i następcy Karola VI. Za to też otrzymał szlachectwo z przydomkiem *von Todtenfeld* i z herbem, w którym obok orła cesarskiego widniał... kościotrup z łukiem w koronie. Zdaje się, że żaden z dzisiejszych lekarzy nie przyjąłby podobnego odznaczenia, zakrawającego na zjadliwą ironję.

Otóż ów doktor, którego po polsku nazwać by wypadało Pańśmierć z Śmierciopola był pierwszym, który opisał Luhaczowice w swej księdze *„Tartaro-Mastix Moraviae“*, za jego też namową urządził ówczesny właściciel hr. Serenyi prymitywne łazienki. Długo wiodły piękne te i bogate zdroje skromny żywot, aż wreszcie z początkiem bieżącego wieku, przeszły w ręce akcyjnego towarzystwa, złożonego głównie

z lekarzy; pod przewodnictwem obecnego właściciela, hr. Serenyi, potomka pierwszego twórcy zakładu. Teraz dopiero rozpoczął się istotny rozkwit. Po czterech zaledwie latach pracy, stanęły bądź nowe gmachy, bądź przerobiono dawniejsze, uwzględniając przytem wszystkie wymogi hygjeny, wygody, a nawet komfortu. Dzisiejsze Luhaczowice, oparte o zielone góry, zapełnione pięknymi budynkami, posiadające pierwszorzędne urządzenia lecznicze, całą sieć starannie utrzymanych spacerów, duże sale i wyborne restauracje, czynią wielce dodatnie wrażenie. Brak im naturalnie majestatu gór Zakopanego, ale natomiast uczyniono tu wszystko, co ręka ludzka dla upiększenia i wygody zrobić mogła. Wciśnione między Wielką i Małą Kamienną, na zachodnim krańcu karpackiego łuku, posiadają Luhaczowice wszelkie przyjemności i korzyści eleganckiego i pięknie położonego miejsca kąpielowego. W centrum, obok domu zdrojowego jest deptak, bardzo starannie utrzymany, zaś na dnie niepogody, duże, przestronne, kryte chodniki. Piękne sklepy i codziennie odbywające się targi, dają możność zaspokojenia wszelkich potrzeb. Wszystkie budynki oświetlone są elektrycznie i porządnie umeblowane; za duży frontowy pokój o dwu łóżkach w Domu zdrojowym płaci się w głównym sezonie 4 korony, w drugim (16. sierpnia do 1. września) 3, a w pierwszym i czwartym (maj i wrzesień) tylko 2 korony. W pierwszorzędnej restauracji za obiad z czterech dań (zupa, ryba, pieczyste, legomina) wraz z czarną kawą, płaciliśmy 1 kor. 60 hal.

Wody tutejsze zawierają chlorek sody, dwuwęglan sody, mniejsze ilości jodu, bromu, litu, żelaza i bardzo wiele kwasu węglowego wolnego, a częściowo więzionego. Smak wody przyjemny, kolor kryształowy, a temperatura 12^0 C. Leczą się tu chroniczne katary nosa, gardła i oskrzeli, exsudaty, kamienie żółciowe etc. Kwas węglowy występuje podczas kąpieli wskutek udoskonalonego ogrzewania

w tak wielkiej ilości, iż można tu nawet skutecznie leczyć choroby serca i zwapnienie tętnic. Oprócz kąpieli mineralnych, znajduje się pięknie urządzony, otwarty basen, kąpiele słoneczne w środku lasu, zupełnie nowy zakład wodoleczniczy, nowy zakład inhalacyjny i zakładowa mleczarnia, w której $^1/_4$ litrą wybornego mleka kosztuje 10 h., kefiru 20 h., maślanki lub kwaśnego mleka 8 h., a chleb z masłem 10 h. Przytaczam te cyfry jako miernik cen tutejszych, wcale umiarkowanych. W domach zakładowych jest 650 pięknie urządzonych pokoi w cenie od 0·50—6 koron za dobę, są też pensjonaty i mieszkania prywatne. Jest wreszcie ośm restauracyj (2 zakładowe) pod dobrą, nie zaś tylko formalną kontrolą. Taksa wynosi 16 kor. od głowy rodziny, a po 10 od dalszych członków, kto bawi tylko dni 14, płaci połowę taksy. Kąpiele mineralne kosztują od 1 kor. 30 h. do 2 kor. 40 hal.; kąpiele słoneczne i basen 0·50 hal. — wszystko z bielizną i usługą. Inhalacje we wspólnym lokalu 50 hal., osobno 1 kor., masaż częściowy 1 kor., całkowity 2 kor.

Życie towarzyskie ma tu wszelkie warunki; codziennie odbywają się dwa koncerty wybornej orkiestry teatralnej z Pilzna, raz w tygodniu wieczorne serenady i ognie sztuczne, prócz tego zaś koncerty symfoniczne, teatr, zabawy ludowe i wspólne wycieczki. Do dyspozycji kuracjuszów znajduje się dobrze zaopatrzona czytelnia, dwa pola tenisowe, kręgielnia, boisko dla dzieci, nad zdrowiem ich czuwa zaś ośmiu lekarzy.

Że publiczność czeska popiera swe miejsca kąpielowe, o tem wie każdy, kto ją zna, ale poparcie to nie jest bezwzględne i ślepe. Publiczność czeska umie energicznie żądać i domagać się, ażeby jej dano to, czego ma prawo wymagać. Tu mówi się nie tylko: „popierajmy“ ale i „żądajmy“; zakłady czeskie wiedzą, że na poparcie liczyć mogą tylko wówczas, jeżeli i swój obowiązek spełnią sumiennie — i dlatego tak pięknie się rozwijają.

Towarzystwo akcyjne nie skąpiło pieniędzy, ażeby Luhaczowice odrazu postawić na odpowiedniej stopie, to też ruch gości ożywił się zaraz znacznie, gdyż się potroił. W r. 1905, było w Luhaczowicach 3334 sezonowych gości, a 7000 przejezdnych, w rok później, już w czasie naszego pobytu w pierwszej połowie września dochodziła liczba stałych gości do cyfry 3500, a przejezdnych przekroczyła 7000. Przed sześciu laty frekwencja przedstawiała się o wiele słabiej; gości sezonowych w r. 1901 było zaledwie 1037.

Tak więc zasługa po obu stronach: spełnia swój obowiązek publiczność czeska i prasa i świat lekarski, ale spełnia też i zarząd przyjęte na siebie zobowiązania. Wśród gości znajdują się reprezentanci całego świata słowiańskiego, w r. 1906 było też 22 pacjentow polskich, głównie ze Śląska.

Położenie Luhaczowic jest bardzo szczęśliwe; z trzech stron od północy, wschodu i zachodu otoczone są górami, porośniętemi starymi lasami szpilkowymi i liściastymi; przecina je gęsta sieć doskonale utrzymanych dróg i ścieżek. Od południa widnieją zielone łąki pełne kwiecia, przecięte srebrzystą wstęgą Olszawy, a ożywcze powietrze rozbrzmiewa tonami leśnych śpiewaków, których pełne są lasy i ogrody. W pobliżu Luhaczowic są interesujące miejscowości wycieczkowe, jak n. p.: romantyczne ruiny Świetlowa, słynny kościół pod wezwaniem św. Antoniego, cel pobożnych pielgrzymek Słowaków, Lhota, siedziba słynnego malarza Uprki i t. d. i t. d.

W zdrojowych przewodnikach mieści się gorąca zachęta do zwiedzania polskich Tatr, Zakopanego, Pienin i Szczawnicy. Istotnie też, letnicy luhaczowieccy są częstymi gośćmi na naszej ziemi. Czyż i my nie moglibyśmy z Zakopanego tą samą drogą odwiedzać Luhaczowic, przez Smokowce i Słowacczyznę węg.?

Obecny kierownik zakładu, dr. Franciszek Vessely jest wielkim przyjacielem Zakopanego i gorącym rzecznikiem myśli nawiązania „sąsiedzkich“ stosunków.

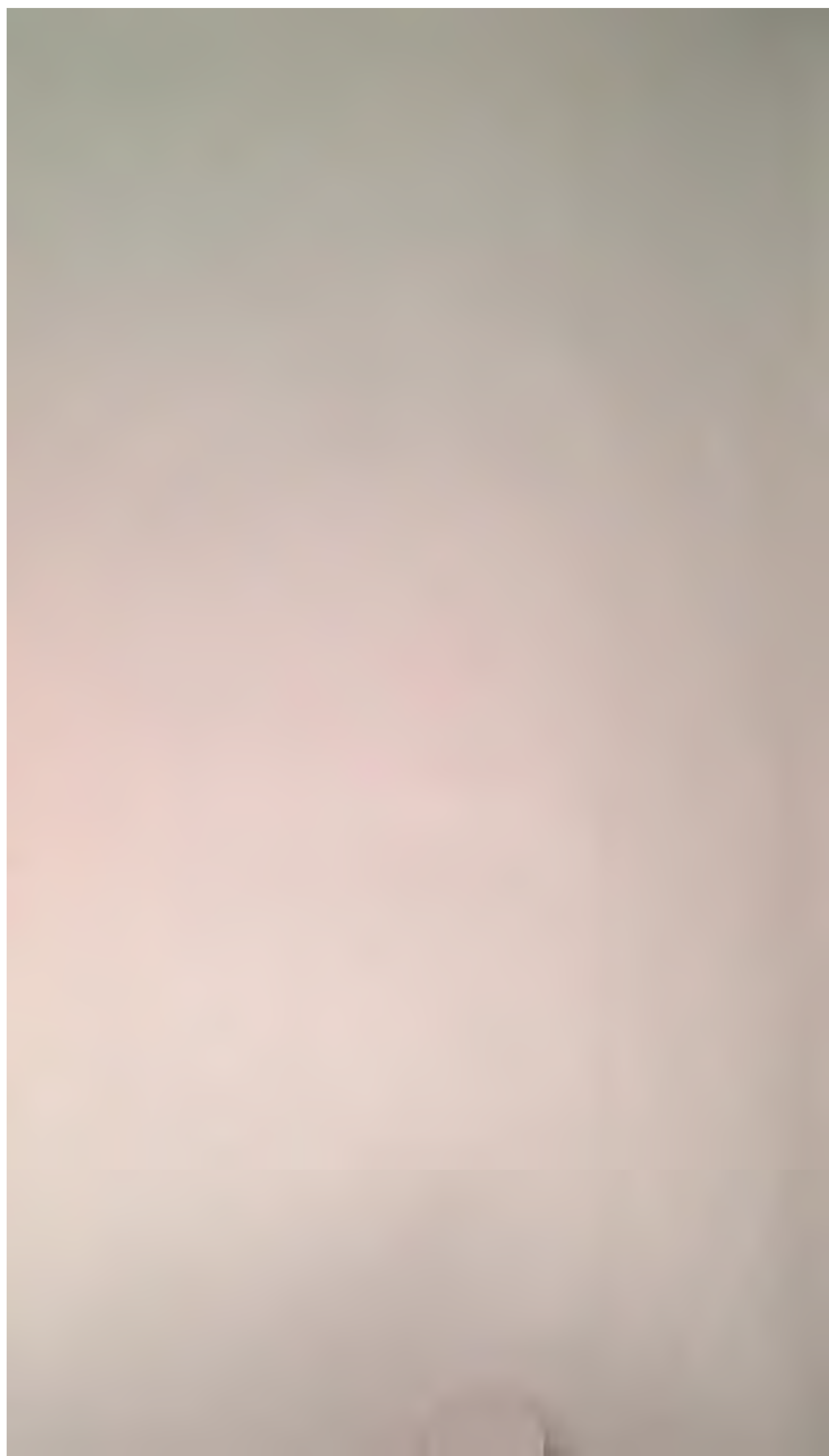
Staliśmy obaj na wzgórzu przy chacie słowackiej, spoglądając na leżące u stóp naszych Luhaczowice, kokietujące ze słońcem.

— Spojrzyj pan — mówił z radością i słuszną dumą dr. Vessely — na to dzieło kilkuletniej zaledwie naszej pracy. Luhaczowice w stosunku do Zakopanego, to jeszcze dziecko, ale po proporcjach jego członków i rozwiniętym układzie kostnym, można mieć wszelką nadzieję, że dziecko to będzie rosło zdrowo i urośnie na męża!

Niechże się tak stanie, niech czeskie Luhaczowice będą zawsze perłą czeskich Moraw!... A teraz, ostańcie z Bogiem! I Wy mili koledzy po piórze i Wy wszyscy, którzyście nas tak serdecznie gościli i umożliwili nam poznanie sporej części pięknej waszej ziemi i tego ludu dzielnego i świadomego nie tylko praw, ale i obowiązków wobec Wiary ojców, Ojczyzny i przyszłości!

Na zdar!







DATE DUE

